M.B. im. L.W. w Łodzi

- Wielka miłość i śmierć — str. 5
- Czy zabraknie energii cieplnej? — str. 7
- Bez gwiazd i dolarów w Sopocie — str. 9
- Co robią młodzi Polacy na emigracji? — str. 12
- Jacek Krakowski „Sodoma" — str. 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 14 (1514) ROK XXX 4 KWIETNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Foto: Grzegorz Gałasiński

W Ozorkowie popełniono zbrodnię...

Miasto pod strachem

ROMAN KUBIAK

Ozorkowski rynek jest tak duży, że z łatwością mógłby pomieścić wszystkich mieszkańców miasta. Na tym rynku ozorkowianie własnymi rękami ustawiliby szubienicę, by powiesić na niej ludzką bestię, która zamordowała szesnastoletnią Marzenę.

Ale zbrodniarz jeszcze upaja się bezkarnością, być może chadza mrocznymi uliczkami lub czai się gdzieś w ukryciu. Dlatego miasto żyje pod strachem. W ludziach pulsuje strach, zniewala ich myśli, każe przyśpieszyć kroku. Strach wdziera się do mieszkań przez zamknięte drzwi, napina nerwy do granic bólu. O nim się mówi w kolejkach, w tramwaju, przy pracy. Strach rodzi plotkę, która potęguje strach.

NAJBARDZIEJ BOJĄ SIĘ KOBIETY.

Jeśli nie muszą, o zmroku nie wychodzą na ulice i nie wysiadują w oknach. Te, które wracają z drugiej fabrycznej zmiany trzymają się razem albo czekają w portierniach na silne ramiona mężów. Te, które przyjeżdżają wieczornym pociągiem, formują zwarty pochód i dopiero wtedy ruszają z dworca ku miastu. W mieście tu i tam, szczególnie wieczorową porą, czuje się dyskretną obecność milicyjnych patroli. A mimo to nastolatki siedzą w twierdzach czterech ścian domów i nieśpieszno im do zabaw. Na ostatnim seansie kinowym widownia świeci pustką. Mężowie drżą o żony, ojcowie o córki. Tak żyje Ozorków i tak żyć będzie, póki sprawiedliwość nie dopadnie mordercy.

Świeżą mogiłę Marzeny przykrywa kopiec przemarzniętych kwiatów. Tych sprzed miesiąca i tych wczorajszych. Wiatr targa białymi szarfami wieńców od rodziców, rodzeństwa, babci, od koleżanek z drugiej klasy zgierskiej szkoły rzemiosł, od rówieśników z niedawno ukończonej podstawówki. Kwiaciarka spod cmentarnego muru powiada, że nigdy dotąd nie widziała tak wielkiego pogrzebu. Takiego bezkresnego morza ludzi, którego nie pomieściły ani cmentarne alejki, ani nawet plac przed bramą. Przyszedł chyba cały Ozorków — z gniewem i bezsilnością w oczach. Na blaszanej tablicze u grobu napisano, że dziewczyna zginęła śmiercią tragiczną. Ale tutaj każdy wie, co kryje się za tymi słowami.

ZBRODNIA WE MGLE

W czwartek 19 lutego 1987 roku pociąg osobowy z Łęczycy przyjeżdża do Ozorkowa punktualnie o 18.28. Na peron wysiada niewielka grupa osób, jest wśród nich szesnastoletnia Marzena M., uczennica szkoły zawodowej praktykująca w miejscowej piekarni. Stary ozorkowski dworzec kolejowy leży na peryferiach, od centrum miasteczka dzieli go odległość ponad kilometra. Tę drogę zazwyczaj pokonuje się pieszo, gdyż nie kursują tędy autobusy, a zimową porą taksówki należą do rzadkości. Ozorkowianie chadzają więc ulicą Prostą albo równoległą do niej Kolejową. O zmroku bezpieczniej jest na Prostej, ponieważ po prawej stronie stoi rząd parterowych domów, zaś po lewej w oświetlonych stróżówkach czuwają strażnicy składu opałowego, eskaeru i magazynu budowlanego. Prosta i Kolejowa dochodzą do ulicy Łęczyckiej. Na zakręcie jest kościół, dalej sklep spożywczy i mostek na strumyku, a jeszcze dalej zaczyna się zwarta zabudowa miasta. Większość przyjezdnych skręca w prawo asfaltową drogą do nowego osiedla, kilkoro zmierza Łęczycką ku starówce. Marzena idzie prosto. Jest godzina 18.40.

Tego wieczoru znów nie świecą uliczne latarnie. Panuje bardzo gęsta mgła, w której nie widać nawet żółtego gmachu zakładowej stołówki ani oświetlonego wejścia do stacji pogotowia ratunkowego na lewej stronie Łęczyckiej. Dziewczyna idzie prawą stroną wzdłuż łąki. Chodnik od jezdni odgradzają tu drzewa i wysokie zarośla. W ciemnościach i we mgle Marzena nie dostrzega przyczajonej w zaroślach sylwetki.

Kiedy samotna dziewczyna znajduje się na wysokości płotu okalającego część łąki, wysoka postać w kapturze gwałtownie wkracza na chodnik. Jest tuż za jej plecami. Miażdżącym chwytem zaciska ramię na szyi ofiary, dłonią zakrywając jej nos i usta. Zaskoczona nie może krzyczeć ani oddychać. Dusi się. Marzena jest średniego wzrostu, mocnej budowy ciała, ale nie dość silna, by wyrwać się z morderczego uścisku rosłego napastnika. Jeszcze chwilę trwa cicha szamotanina. Gdy ciało ofiary wiotczeje, zbrodniarz zaciąga je w głąb łąki. Tam zdziera z uduszonej odzież i bieliznę. Dokonuje gwałtu.

Dopiero następnego dnia rano, około godziny siódmej, porzucone na łące zwłoki dostrzegają dwaj mężczyźni idący do pracy w pobliskich zakładach bawełnianych. Nie mam odwagi, by opisać straszliwy widok, jaki wyłonił się z porannej szarugi i opadającej mgły. Podobnie wstrząsająca jest dokumentacja fotograficzna sporządzona na miejscu tragedii.

Ci, którzy o świcie byli na ulicy Łęczyckiej i ci, którzy choć przez moment rzucili okiem na fotografie, wiedzą, że mordercę dziewczyny trudno nawet nazwać zbrodniarzem — to bestia!

5

Na co stać nasz przemysł skórzany?
Zimowe buty dla rodaków Stephanii Harper.
Anglicy nie chodzą w sandałach, ale... chcą kupować

Buty dla „Adidasa"

Rozmowa z RYSZARDEM WINIARSKIM — dyrektorem generalnym Towarzystwa Handlu Zagranicznego „Skórimpex" Spółka z o.o.

— Czy umiemy dobrze handlować? Czy potrafimy być sprytni, przebiegli, nieugięci w dyskusjach o cenach choćby?

— Handlowców — myślę — mamy bardzo zdolnych i umiemy handlować, choć są i tacy, którzy naszą pracę zwą kupczeniem. Ale tym nie należy się przejmować. Podobnie jak niektórymi barierami, które, z pozoru śmieszne, często mają jednak wpływ na wynik transakcji.

— Jakież to bariery?

— Och, przyziemne bardzo historie, choćby „cienki" budżet reprezentacyjny czy poślednі hotel, w którym zakwaterowano polską ekipę. To drobiazgi, ale wiem, że kontrahenci zagraniczni i na takie szczegóły zwracają uwagę.

— Myślę, że istnieją jednak poważniejsze bariery hamujące rozwój naszego eksportu...

— Oczywiście, a te wymienione potraktujmy wyłącznie jako ciekawostkę. Brak precyzyjnego, dalekosiężnego programu eksportowego — tak bez owijania w bawełnę określmy podstawową ułomność naszego handlu zagranicznego. W eksporcie, podobnie jak rzecz jasna w imporcie — nie można działać z dnia na dzień, czy z tygodnia na tydzień. A u nas często jeszcze tak to się prezentuje. I druga, również ujemna cecha: brak konkretnej, precyzyjnej polityki zakupów i sprzedaży. Jest to wieczne skakanie i system „łatania dziur". Ot, prosty przykład: podniósł się krzyk — „Sprzedawać nadwyżki!". Jakie nadwyżki, ja się pytam, skoro w branży skórzanej prawie ich nie ma...

— Istnieje cały system zachęt, ulg podatkowych, kredytowych, byle tylko zachęcić przemysł do produkcji atrakcyjnych, poszukiwanych za granicą wyrobów...

— Tak, tak, tylko u nas te ułatwienia i zachęty zwykle niwelowane są przez różne przeciwstawne zjawiska, tak że w rezultacie brak argumentów, aby przekonać producenta by przekazał swe wyroby na eksport, by przekroczył magiczną barierę 25 procent produkcji eksportowej?

— A jednak udaje się producenta namówić?

— Ba, gdyby nie potrzebował czasem trochę dewiz na zakup choćby części do maszyn, w ogóle — podejrzewam — nie chciałby ze mną rozmawiać.

— Powszechnie uważani jesteście za porządną, bogatą firmę, która bez problemów wypracowuje korzystny bilans w korzystnych walutach. Niecałe czterdzieści lat temu zaczynaliście od skromnego wówczas importu surowców i materiałów. Przedstawmy w maksymalnym skrócie „Skórimpex" dziś...

— No cóż, najkrócej można by powiedzieć, że realizujemy od lat eksportowe i importowe cele branży skórzanej, przy czym, dla ilustracji, mogę podać, że w tym roku planujemy wartość eksportu zamknąć kwotą 250 milionów dolarów, a importu — kwotą 140 milionów dolarów. Sprzedajemy przede wszystkim obuwie oraz skóry futerkowe, trochę odzieży skórzanej i futrzanej. Import — to przede wszystkim skóry, niezbędne środki do garbowania i wykańczania skór, części zamienne do maszyn. Jako swoistą ciekawostkę podać można, że gros eksportu załatwiają

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 887. H-2.

Jedność w różnorodności

W opinii własnej i obcej uchodzimy za naród niezwykle patriotyczny. Nie brakowało nigdy w Polsce chętnych do obrony Ojczyzny. Patriotyzm rzadko jednak kojarzył się z pracą i codziennym wykonywaniem obowiązków. Polacy przeważnie nie rozumieją, że „Ojczyzna jest to wielki — zbiorowy — Obowiązek". Te słowa wielkiego poety przypomniał na III Wojewódzkim Zjeździe PRON sekretarz Komitetu Łódzkiego PZPR Grzegorz Misiewicz.

W sali posiedzeń Rady Narodowej m. Łodzi zebrało się w sobotę 355 delegatów spośród 385 upoważnionych do udziału w zjeździe. Przybyli ludzie należący do różnych organizacji, reprezentujący odmienne światopoglądy i postawy polityczne. Pluralizm poglądów wyraźnie zaznaczył się w dyskusji, do której zgłosiło się tak dużo osób, że prowadzący obrady musieli ograniczać długość wystąpień. Bardzo aktywni na zjeździe byli przedstawiciele stowarzyszeń katolickich.

Inicjatywy PRON powinny być znane. Pisano o nich na łamach dzienników i także w „Odgłosach". W poprzednim numerze naszego tygodnika przedstawiliśmy działalność Młodzieżowej Rady Osiedla na Radogoszczu — Zachodzie. Agendami PRON są m. in. Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia i Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Wszystkie komórki ruchu zajmują się działalnością interwencyjną i starają się organizować jak najwięcej ludzi do udziału w rozwiązywaniu ważnych problemów lokalnych.

PRON może i powinien być podstawą funkcjonowania w Polsce społeczeństwa obywatelskiego. Ale wciąż nie wykorzystuje wszystkich możliwości — podobnie zresztą jak rady narodowe. Większość bowiem społeczeństwa woli, żeby inni **dobrze** rządzili, a zdecydowana mniejszość pragnie współuczestniczyć w sprawowaniu władzy.

Przysłuchując się kilkugodzinnej dyskusji, odniosłem wrażenie, że stanowczo za mało było w niej krytycyzmu i samokrytycyzmu. W tych trudnych czasach spodziewałem się więcej głosów krytycznych. Poza tym zdziwiło mnie, że tylko niektórzy ustosunkowali się do opublikowanych projektów uchwał II Kongresu PRON. A przecież bardzo ważne znaczenie ma dokument pt. „Stanowisko II Kongresu PRON wobec problemów rozwoju Polski". Czytamy w nim między innymi: „Od dłuższego czasu rozwój gospodarczy naszego kraju jest mało efektywny, za drogo nas kosztuje. Nie gospodarujemy racjonalnie potencjałem intelektualnym, pracą, ziemią, surowcami, energią. Dziś posiadamy majątek produkcyjny znacznie zużyty i nienowoczesny. Wytwarzamy towary niższej niż inne kraje jakości. Spada nasz udział w handlu międzynarodowym. To wszystko ma miejsce w okresie, kiedy świat wkroczył w kolejną rewolucję technologiczną. Rodzi to dla nas wyzwanie. Musimy je podjąć i dorównać temu postępowi. To jedyna droga do utrzymania niezawisłości naszej Ojczyzny, umacniania więzi społecznych i narodowych, osiągnięcia awansu cywilizacyjno-kulturowego".

III Wojewódzki Zjazd PRON obradował w Łodzi pod hasłem: „Porozumienie — odrodzenie — rozwój". Ponadto w dyskusji powtarzały się dwa inne hasła: „Porozumienie przez działanie" oraz „Jedność w różnorodności". Można by do nich jeszcze dodać również dziś aktualne słowa Wincentego Pola: „Ludem, całym polskim ludem, o swej mocy musim wstać". Nie wolno nam tracić nadziei, że tak się stanie.

Przegląd prasy

Poniedziałkowe dzienniki przyniosły obszerny komunikat Ministerstwa Finansów o regulacji cen. Podwyżki są dość duże, lecz znacznie mniejsze niż planowano. Rząd zmienił pierwotne zamiary pod wpływem oświadczenia związków zawodowych.

Już wcześniej na łamach prasy sporo pisano na temat trudnej sytuacji ekonomicznej kraju. Jerzy Sieradziński napisał w „TRYBUNIE LUDU" (nr 70), że musimy przyzwyczajać się do życia z ciężarem długów. Nie możemy dalej żyć na kredyt. Podał on, że w latach 1971—1986 pożyczyliśmy w krajach zachodnich 46,9 mld dolarów (z tego 44,4 mld w okresie do 1981 roku). Natomiast zapłaciliśmy naszym wierzycielom — do końca 1985 roku — 39,8 mld dolarów w postaci rat kapitałowych i procentów. Pozostało nam jednak do spłacenia nie 7,1 mld, jak wynika z prostego rachunku, lecz 33,5 mld, ponieważ oprocentowanie kredytów wzrosło z 5—6 proc. na początku lat siedemdziesiątych do 15—20 proc. w latach 1980—1981.

W drugiej połowie poprzedniej dekady mieliśmy w handlu zagranicznym nadwyżkę importową sięgającą 3 mld dolarów rocznie. A teraz udało nam się osiągnąć nadwyżkę eksportową w granicach od 1 mld do 1,4 mld dolarów. Jest to za mało, aby powstrzymać dalszy wzrost zadłużenia. W tych warunkach — zdaniem autora — nie powinniśmy dziwić się i narzekać, że „eksport ma bezwzględne pierwszeństwo".

Jeśli uświadomimy sobie, że 33,5 mld dol. długu odpowiada w przybliżeniu aż 40 proc. naszego dochodu narodowego, to można dojść do wniosku, że gospodarujemy w sposób lekkomyślny. Niektórzy uważają, że „urocza beztroska" (A. Kępiński) charakteryzuje znaczną część społeczeństwa polskiego.

W dodatku obecnie mamy do czynienia z największą chyba w dziejach PRL dezintegracją społeczną. Taką tezę stawia prof. Józef Gierowski (rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego) w wywiadzie udzielonym Ewie Owsiany dla miesięcznika „ODRA" (nr 3). Znany historyk, członek Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa, mówi: *„Jeżeli nawet przyjmiemy, że bezpośrednio po wojnie znaczna część społeczeństwa z nieufnością przypatrywała się zmianom, to jednak znalazł się cel wyższy, który to społeczeństwo zjednoczył. A więc: odbudowa kraju, zagospodarowanie go, zasiedlanie Ziem Zachodnich. I chociaż był to czas bardzo specyficzny, jeśli chodzi o metody kierowania państwem, to jednak nie doszło do takiego stopnia dezintegracji, jaki obserwujemy dziś. Obejmuje ona całe społeczeństwo i poszczególne warstwy społeczne, nawet rodziny, i właściwie nie ma grup, w których na mniejszą czy większą skalę nie byłoby tego utrzymującego się podziału. Nie bardzo wierzę w możliwość jakiegoś współdziałania w tych warunkach, bo ono jest wtedy zwykle przypadkowe i rzadko kiedy nastawione na prawdziwe zespolenie społeczeństwa".*

Rektor UJ podkreśla, że mamy tradycje indywidualizmu. Nawet w okresie wojny indywidualizm zaowocował masą drobnych organizacji konspiracyjnych, które jednoczył tylko terror niemiecki. Polacy po prostu niezwykle wysoko cenią sobie wolność.

W stosunkach politycznych koniecznością jest odbudowa zaufania. Od tego zależy przyszłość państwa i narodu. Poza tym trzeba stworzyć wizję przyszłości. *„Społeczeństwo nie może się nastawić tylko na dzień dzisiejszy, to błąd ekipy Gierka. Oczywiście daleki jestem od niedoceniania spraw gospodarczych, mówiłem i jeszcze raz podkreślam, że nie wierzę w ogóle w możliwość zdobycia bardziej niezależnego stanowiska, większej niezależności przez państwo, jeśli jest ono słabe gospodarczo i gospodarczo zależne — obojętnie od kogo. To jest zupełnie nierealne i dlatego główny nasz wysiłek musi pójść w tym kierunku. Ale pracując, musimy mieć perspektywę: musimy wiedzieć, do czego chcemy kraj doprowadzić i czy ta perspektywa mieści się w czasie dostrzegalnym dla jednostki. Żeby człowiek mógł liczyć na to, że jeżeli nie dziś, to za pięć, dziesięć lat..."*.

Władysław Machejek relacjonuje również treść swoich rozmów z Kazimierzem Rokoszewskim i Jerzym Łukaszewiczem. Jest to fragment książki wspomnieniowej pt. „Nie będę lekarzem ani sędzią", która ma się niebawem ukazać w księgarniach.

Na zakończenie dzisiejszego przeglądu ciekawostka o psychospołecznych mechanizmach reklamy. Artykuł na ten temat przedrukował tygodnik „FORUM" (nr 18) z magazynu „Time". Okazuje się, że specjaliści od reklamy biorą pod uwagę cechy charakteru narodowego. Wiedzą oni, że we Francji na każdego działa kobieca nagość. Tutaj naga kobieta sprzeda wszystko. Dlatego nawet banki stosują w reklamie atrakcyjne wizerunki rozebranych pań. W maksymalnym stopniu wykorzystuje się francuską obsesję seksu.

Oto przykład reklamy: *„Sugestywnie wyglądająca blondynka — rozchylone wargi, oczy zapraszające, żeby podejść bliżej — wyłania się ponad napisem, który daje do zrozumienia, że przeżywa ona szczyt swojego libido. «Kto potrafi mnie zadowolić?» — pyta. W odpowiedzi chodzi nie o mężczyznę, ale o maszynę. Ponieważ ta kobieta o zachęcającym wyglądzie widnieje na francuskiej reklamie systemu łączności wydanej przez biuro Rank Xerox"*. W podobny sposób reklamuje się makaron, piwo, perfumy, dżinsy i inne towary.

Brytyjczycy natomiast chłodno odnoszą się do seksualnych symboli w reklamie. Podobno nie bez kozery popularna w Londynie rewia nosiła tytuł: „Tylko bez seksu, proszę. Jesteśmy Brytyjczykami". Wyspiarze lubią reklamy dowcipne, zabawne, zrozumiałe.

Włosi z kolei podatni są na symbolikę rodzinną i elementy satyryczne. Nagość zaś nie robi na nich wielkiego wrażenia. A w społeczeństwie zachodnioniemieckim — jak twierdzi pewien ekspert — *„reklamy przybierają charakter oświadczeń. Nie udaje się kusić konsumenta. Reklamy — zarówno w ich kształcie słownym, jak i wizualnym — mają tendencję do przybierania formy nakazów"*.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Ziemska opatrzność

Zapewne wielu ludziom u nas nieobca jest częsta zmienność nastrojów politycznych, od zwątpienia do nadziei, od gotowości natychmiastowego działania do zniechęcenia i apatii. Raz fala „ostrożnego optymizmu" wzniesie się na wieść o oczekiwanych decyzjach władz i uzyskanej poprawie na jakimś odcinku, kiedy indziej znów opada nagle pod wpływem błędów czy niepowodzeń.

Tym razem przeżyłem gwałtowny spadek nastroju pod wpływem ujawnionych w programie TV ludzkich postaw, których istnienie skądinąd nie jest niespodzianką, ale chciałoby się wierzyć, że są one w odwrocie. Oto jedna z rolniczych spółdzielni produkcyjnych prowadziła od dawna skandaliczną gospodarkę, jak to unaoczniały fotoreporterskie migawki, niezależnie od gospodarczego rachunku.

Wreszcie ogromny deficyt i brak wszelkich podstaw, by zaufać obecnemu kierownictwu oraz aktywowi spółdzielni, że zdołają podźwignąć się o własnych siłach skłonił naczelne władze spółdzielczości produkcyjnej do sprzedania całego majątku wraz z inwentarzem i narzędziami pobliskiemu, dobrze gospodarzącemu się PGR, który zdecydował się zatrudnić u siebie dotychczasowych spółdzielców, dając szansę tym, którzy zechcą solidnie pracować.

No i na tym mogłaby TV (a w ślad za nią i ja) tę relację zakończyć, ale coś „tknęło" telewizyjnego reportera, by zadać dwom pracownicom biurowym spółdzielni, narzucające się w tej sytuacji, pytanie, co by z nimi się stało, jak potoczyłyby się ich dalsze losy, gdyby w pobliżu nie istniał gospodarny i zasobny PGR. Bo i jaką posadę na tym podlaskim odludziu mogłyby znaleźć obie, ubrane z wielkomiejskim szykiem i wyraźnie zadbane, panie urzędniczki?...

Warto było zobaczyć i usłyszeć reakcję obu pań, wyrażającą niezachwiane przekonanie, że jest przecież w Polsce jakaś władza — państwowa czy spółdzielcza, która coś musiałaby wymyślić, żeby nie dać ludziom zginąć. Nieco inną, choć równie zaskakującą odpowiedź dał sam prezes wojewódzkiego zarządu spółdzielczości produkcyjnej, wypowiadając pewność, że i bez ratunku ze strony PGR znalazłaby się rada, rozwiązano by mianowicie tę deficytową spółdzielnię, a na tym miejscu, z tym majątkiem, inwentarzem i ludźmi powołano by nową spółdzielnię.

Jak trafnie skomentował dziennikarz TV, byłoby to jednak rozwiązanie pozorne i wszystko potoczyłoby się najpiewniej po staremu, czyli spółdzielcy żyliby sobie nadal na koszt państwa, w rzeczywistości byliby na naszym wspólnym utrzymaniu. Bo okazuje się, że w takiej, jak ta, sytuacji, owi osławieni „oni" uznawani są przez nierobów i nieudaczników za coś w rodzaju boskiej opatrzności...

No i właśnie to mnie przygnębiło, ta niesłychana niefrasobliwość urzędniczek i całkowity brak wyobraźni u prezesa, co dowodzi, iż do świadomości ludzi odpowiadających za nasze wspólne dobro i zobowiązanych do jego pomnażania nie dotarła jeszcze konieczność gospodarowania po nowemu, zgodnie z literą i duchem reformy gospodarczej. Jak silnie bowiem zakorzenił się w umysłach zastarzały nawyk oczekiwania pomocy od państwa, nawet jeśli się samemu sobie nie chce pomóc! Po prostu, każdemu się rzekomo „należy".

Mogą też najść człowieka wątpliwości, jak to jest właściwie z rozlicznymi szkoleniami, przeróżnymi kursokonferencjami i naradami, jeśli propaganda nowego ekonomicznego myślenia okazuje się tak nieskuteczna, jeśli po kilku już latach nieustannego mówienia i pisania o trzech „S" tylu ludzi „ni w ząb" nie pojęło, w czym rzecz i na co mają prawo liczyć albo jest im po prostu wygodniej nie przyjmować tego do wiadomości.

Oczywiście, brak zdecydowanych posunięć, dotkliwych dla wszelkiego rodzaju nierobów i symulantów sprzyja dezorientacji i ułatwia uchylanie się od odpowiedzialności. Ale ja (może też z powodu starych nawyków myślowych) ciągle obawiam się, że istnieje, nie rozpoznana jeszcze psychologiczna granica, i chyba bliska granica, po dotarciu do której nawet najwłaściwiej ustawione mechanizmy reformy przestaną okazywać się skuteczne w „wymuszaniu" zmiany myślenia i działania.

Przypuszczam, że uwarunkowane niedobrą tradycją bariery wygodnictwa i lenistwa, lekkomyślności i egoizmu, wyrażając się w zasadzie: „Nawet mniej zarobić, byle się nie narobić!", stanowią pewien sposób bycia, pewien cieszący się estymą „fason". Same mechanizmy ekonomiczne, choć tak niezbędne, bez wsparcia oddziaływań skierowanych bezpośrednio na świadomość mogą, obawiam się, nie spełnić wszystkich nadziei i oczekiwań.

Cóż, kiedy propaganda nie jest naszą najmocniejszą bronią...

JERZY KWIECIŃSKI

Już za dwa tygodnie w numerze świątecznym „Odgłosów"

— **Wydane z niemałym nakładzie powieści „Inkarnacja" i „Upiór" szybko zniknęły z półek księgarskich. Rozmowę z ich autorem — ukrywającym się pod pseudonimem LEONARD — przeprowadził LUCJUSZ WŁODKOWSKI. Ponadto drukujemy fragment nowej powieści Leonarda pt. „Matnia".**

— **Znani i popularni artyści sceny i estrady — Iga Cembrzyńska, Maria Fołtyn, Krystyna Janda, Irena Jarocka, Bogna Sokorska, Beata Tyszkiewicz, Krzysztof Krawczyk, Jerzy Połomski — opowiadają w rozmowach z BOHDANEM GADOMSKIM o tym, jak spędzają Święta.**

— **Naukowcy brytyjscy z Oxfordu ogłosili, że Chrystus został ukrzyżowany w piątek 3 kwietnia 33 roku. Na jakiej podstawie to obliczyli? Odpowiedź w artykule EDMUNDA LEWANDOWSKIEGO pt. „Proces Jezusa według Ewangelii Nikodema".**

— **Relacja JOANNY SOKOŁOWSKIEJ z pobytu w zaczarowanym Domu pod Wiewiórką w Kazimierzu Dolnym, gdzie mieszka i tworzy znakomita pisarka Maria Kuncewiczowa.**

— **Między Walią i Anglią nie ma granicy, ale Walia jest innym krajem. Ludzie bardziej tam lubią rugby niż piłkę nożną. O swoich przygodach w gościnnej Walii pisze MAREK BRZEZIŃSKI.**

— **Dalsze szczegóły za tydzień. A ten atrakcyjny numer świąteczny już 15 kwietnia ukaże się w kioskach. Zwiększona objętość — 20 stron. Cena — 35 złotych.**

Plotki, chwytliwe argumenty, zmyślenia oraz prawda o nauczaniu religioznawstwa wyrażana przez nauczycieli w niektórych łódzkich szkołach.

Droga do wiedzy i tolerancji

Przed blisko dwoma laty przeprowadziliśmy na łamach „Odgłosów" (nr 18, z 4 maja 1985 r.), w kilkuosobowym gronie zaproszonych osób, rozmowę pt. „Filozofia wraca do łask" — o zamierzonym wprowadzeniu do szkół średnich nowego przedmiotu nauczania, zapoznającego młodzież z historią i obecną sytuacją najważniejszych religii świata, a także z ich głównymi założeniami filozoficznymi. Dyskutanci uznawali potrzebę wprowadzenia tego przedmiotu wypowiadając jednocześnie szereg uwag i zastrzeżeń na temat warunków, jakie ich zdaniem powinny być spełnione, żeby poszerzenie edukacji o ten ważny obszar wiadomości mogło przynieść jak największe korzyści.

Wnioski z tamtej dyskusji staraliśmy się wziąć pod uwagę w poniżej drukowanej, niedawno przeprowadzonej rozmowie, tym razem w gronie nauczycieli wykładanego już obecnie przedmiotu — **EWY ĆWIKŁY** z XXI LO, **MAŁGORZATY SZWAJDLER** z XX LO i **GRZEGORZA PĘCHERZEWSKIEGO** z I LO w Pabianicach. Redakcję reprezentował **JERZY KWIECIŃSKI.**

— Minęliście już państwo, jeśli można tak określić półmetek pierwszego roku szkolnego, zawierającego w programie nauczania przedmiot nazwany religioznawstwem, który zresztą zarówno w naszym kuratorium, jak i na obszarze całego kraju wykładany jest jeszcze nie we wszystkich liceach ogólnokształcących i tylko w nielicznej grupie średnich szkół zawodowych. Może więc nadeszła już pora na wstępne podsumowanie państwa doświadczeń i obserwacji, a może i na wnioski co do dalszego trybu i metod nauczania tego przedmiotu w najbliższej przyszłości. Najważniejsze wydaje mi się jednak, jak młodzież przyjęła pojawienie się tej szkolnej nowinki i jak obecnie reaguje na przekazywanie tych zupełnie nowych treści nauczania.

EWA ĆWIKŁA: — Nauczanie religioznawstwa wprowadzono na początek w tych szkołach, gdzie rada pedagogiczna uznała sytuację za dojrzałą pod względem kadrowym. Chodziło o nauczycieli predysponowanych i odpowiednio przygotowanych do tego zupełnie nowego zadania. Natomiast o pozyskaniu uczniów dla nowego przedmiotu decydowały pierwsze lekcje. Mogę stwierdzić, że w mojej szkole rzeczywiście te pierwsze godziny okazały się decydujące dla dalszego, pomyślnego nauczania przedmiotu.

G. PĘCHERZEWSKI: — W mojej szkole można było początkowo słyszeć z różnych stron obawy, czy w ogóle ma sens dodatkowe obciążanie uczniów i tak już obarczonych niemałym materiałem lekcyjnym. Zdawano też sobie sprawę, że skuteczność nauczania tego właśnie przedmiotu będzie w znacznej mierze zależeć od otwartej i tolerancyjnej postawy prowadzącego zajęcia. Można już stwierdzić, że bardzo słuszne okazało się zrezygnowanie z wystawiania uczniom ocen z tego przedmiotu, dzięki czemu zaczęli oni słuchać wykładów bez poczucia przymusu i zabierać głos zupełnie swobodnie, na tzw. luzie psychicznym.

MAŁGORZATA SZWAJDLER: — Niesłusznie jednak, moim zdaniem, obciążono dodatkowym przedmiotem właśnie ostatnią — maturalną klasę, w której zainteresowania uczniów ze zrozumiałych względów skupiają się coraz bardziej na przygotowaniach do egzaminu dojrzałości, ponadto klasa maturalna ma rok szkolny, jak wiadomo, znacznie krótszy, co też znacznie utrudnia nam przerobienie z uczniami przewidzianego materiału.

EWA ĆWIKŁA: — Pozytywne jest to, że z reguły nie uczą tego nowego przedmiotu nauczyciele z zewnątrz, lecz dobrze znane osoby ze stałego grona. Pomimo tego przyjmowano nas początkowo w tej nowej funkcji, jak mi się wydaje, z pewnym dystansem, a nawet z obawą, że będziemy uprawiać jednostronną propagandę „na siłę". Oczywiście, każde z nas może mieć inne doświadczenia.

MAŁGORZATA SZWAJDLER: — Przyjmowano nas może i nieufnie, ale z ciekawością, są to bowiem dla ogromnej większości sprawy zupełnie nieznane. Bo co kto wie u nas np. o islamie? Byłoby nam może uczyć łatwiej, gdyby nie to, że nasi uczniowie z braku propedeutyki filozofii nie mają żadnego przygotowania filozoficznego, a religie to przecież wielkie systemy filozoficzne i pewne zagadnienia są dla naszych uczniów niezrozumiałe.

— Jesteście państwo historykami. Dlaczego, waszym zdaniem, nauczyciele historii stanowią, jak mi wiadomo, większość nauczających religioznawstwa, nie tylko na łódzkim terenie?

G. PĘCHERZEWSKI: — Myślę, że to, iż nauczyciele tego przedmiotu rekrutują się tak często spośród nauczycieli historii ma swoje istotne uzasadnienie. W czasie naszych studiów historycznych ta problematyka, którą obejmuje religioznawstwo, była częściowo obecna ze względu na rolę, jaką odegrały w dziejach ludzkości religie, toteż przypuszczam, że niejeden historyk chętnie podjął się nauczania religioznawstwa. Stanowi to bowiem dla niego rozszerzenie jego wiedzy historycznej o historię religii.

— Czy dość powierzchowny, jak się na ogół twierdzi, raczej dewocyjny niż pogłębiony teologicznie charakter polskiego katolicyzmu, czyli przeważające wśród katolików polskich postawy nieświadomości i pewnej obojętności w sprawach, nazwijmy je tak, ideologicznych nie ułatwiają wam jednak zadania?

G. PĘCHERZEWSKI: — Jeśli przyjmiemy, że stosunek do wiary jest wśród katolików polskich mało żarliwy ideologicznie, to i tak nie pozwala to nam, nauczycielom nowego przedmiotu, a przede wszystkim jako wychowawcom odnosić się do tych spraw w taki sam bezideowy sposób. Tylko wtedy nawiązuje się kontakt wewnętrzny z wychowankiem, kiedy to, co mu się przekazuje nie jest nam obojętne.

— Ale przecież wy nie macie spełniać jakiejś „apostolskiej" misji w postaci dechrystianizacji młodzieży, bo chyba nie należy wierzyć pomówieniom, że waszym zadaniem jest „odbieranie polskim dzieciom wiary", lecz zaszczepianie młodzieży obiektywnej wiedzy o religiach, o ich historii, o zasadach wiary, o rozmieszczeniu poszczególnych religii na mapie świata...

G. PĘCHERZEWSKI: — Ależ oczywiście. Nie jesteśmy agitatorami ateizmu, ale jeśli uczeń chce dajmy na to, poznać mój osobisty stosunek do religii, to nie wolno mi uchylać się od powiedzenia prawdy, uważam bowiem, że pedagoga i wychowawcę powinna obowiązywać wobec ucznia szczerość. Inna rzecz, że w nauczaniu religioznawstwa nie wolno nam brać strony jednej religii przeciwko drugiej, ani też nakłaniać swoich podopiecznych do porzucania wiary, czy przyjmowania naszych teorii za własne. Mają oni wolny i nieprzymuszony wybór.

— Jednym słowem, możecie państwo tu oświadczyć z „ręką na sercu", że wasi uczniowie nie mają poczucia, iż zadajecie gwałt ich prawu do wolności sumienia, mimo że, jak sądzę, mogą oni być przez was przepytywani ze znajomości przerabianego materiału lekcyjnego. Spodziewam się jednak, że nie muszą przed wami składać swojego wyznania wiary czy też... niewiary.

EWA ĆWIKŁA: — Po pierwsze — w zasadzie nie przepytujemy, a jeśli już, to nie jest to typowa odpowiedź przy tablicy na ocenę. Tak jak początkowa postawa nieufności wynikała z nieznajomości programu nauczania nowego przedmiotu, tak i obecnie, jeśli są gdzieś wobec niego opory, to wynikają głównie z braku informacji. Ale nasi uczniowie i ich rodzice wiedzą już jak jest naprawdę i coraz częściej spotykamy się z wyrazami zadowolenia z ich strony, bo młodzież często przenosi tego rodzaju wiadomości szkolne do rodzicielskiego domu, gdzie wzbudzają one na ogół rzeczowe zaciekawienie. Chcę stanowczo podkreślić, że na zajęciach religioznawstwa w ogóle nie porusza się kwestii istnienia Boga, co pozostawiamy „metareligioznawstwu" i nie naświetla się religii, a zwłaszcza katolicyzmu jako zjawiska szkodliwego społecznie.

G. PĘCHERZEWSKI: — Choć oczywiście niewykluczone, że wbrew założeniom programowym poszczególni nauczyciele mogą tu czy tam przemycać propagandę antyreligijną. Naszym zadaniem jest dostarczanie wiedzy o głównych religiach świata (z których część ma swoich wyznawców w naszym kraju), co czynimy po to, żeby wyrobić w młodzieży postawę tolerancji wobec cudzych wierzeń, zgodnie z istniejącym w PRL i zagwarantowanym konstytucyjnie pluralizmem światopoglądowym.

MAŁGORZATA SZWAJDLER: — Mówiono tu już, że rodzice naszych uczniów interesują się i często oceniają pozytywnie wiedzę przekazywaną na lekcjach religioznawstwa. Chciałam do tego dodać, że również nasi koledzy nauczyciele okazują tym zagadnieniom merytoryczne zainteresowanie, niejednokrotnie pytają nas o różne fakty z tej dziedziny, objęte programem nauczania tego przedmiotu. Z zadowoleniem stwierdzam, że atmosfera koleżeńska wobec mnie jako nauczycielki religioznawstwa jest w szkole zdecydowanie przychylna, a to przecież ważne, żebyśmy nie czuli się w miejscu pracy wyobcowani, choć, jak przypuszczam z takimi możliwościami na początku trzeba się było liczyć.

EWA ĆWIKŁA: — Ale mimo przychylności władz oświatowych i środowiska nauczycielskiego oraz zrozumienia rodziców odczuwamy w naszej pracy pewne trudności i braki, przede wszystkim materiałowe. Stale brakuje nam pomocy dydaktycznych, a przede wszystkim podręcznika. Jako pracownik Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli, zajmujący się metodyką nauczania historii i propedeutyki nauki o społeczeństwie jestem zorientowana w tym, że czyni się istotnie spore wysiłki w kierunku podniesienia poziomu i skuteczności naszej pracy jako nauczycieli religioznawstwa i mają w tym swoje zasługi zarówno kuratorium, jak i wspomniany ODN, a także Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej i Okręgowy Ośrodek Rozpowszechniania Filmów, dzięki czemu zorganizowaliśmy niedawno w Łodzi ogólnopolskie seminarium poświęcone roli filmu oświatowego w procesie nauczania religioznawstwa, staramy się też nieustannie o jak najszybszy dopływ informacji do wszystkich zainteresowanych, aby mogli oni właściwie realizować cele programowe. Korzystając z pośrednictwa ODN nauczyciele sami opracowują konspekty lekcji i ich części merytoryczne, które są powielane i rozdawane uczącym. Ciągle jednak jest to kropla w ogromnym morzu potrzeb. Przedmiot nie posiada własnej metodyki nauczania i tworzymy ją sami „z marszu" korzystając trochę z metodyki nauczania historii czy PNOS. Jest to o tyle istotne, że sposób uczenia decyduje w znacznej mierze o stosunku młodzieży do przedmiotu. Im atrakcyjniejsza forma lekcji, tym większe zainteresowanie. Stąd na lekcji coraz więcej gości film, fotogram, tekst źródłowy. Nie jest to jeszcze forma doskonała, ciągle poszukujemy optymalnej drogi do ucznia, a jest nam tym trudniej, że równocześnie z tworzeniem metodyki musimy tworzyć bazę dydaktyczną: pomoce, biblioteczki, pracownie...

G. PĘCHERZEWSKI: — Moim zdaniem, sama konstrukcja programu może budzić niemałe wątpliwości. Można odnieść wrażenie, że opracowujący program naukowcy chcieliby szkolić przede wszystkim religioznawców, koncentrujących uwagę na zasadach wiary, na sprawach dogmatycznych i nie zostaje już czasu na dyskusję, sprzyjającą kształtowaniu postaw, a właśnie cele wychowawcze, czyli wychowanie w duchu tolerancji światopoglądowej powinno dominować nad celami wąsko poznawczymi. Nie rozumiem, po co na temat „źródła religii" poświęca się w programie aż trzy godziny. Jest to dla młodego słuchacza nie dość atrakcyjne, nużące i tym samym osłabia zainteresowanie uczniów nowym przedmiotem.

EWA ĆWIKŁA: — Ja mam podobne zastrzeżenia, jak mój przedmówca. Uważam, że niesłusznie pominięto metodyków przy opracowywaniu programu i że zbyt mało konsultowano się z nauczycielami, którzy jednak lepiej znają młodzież, jej potrzeby i możliwości.

— Proszę państwa. Zapewne spora, jeśli nie większa część waszych uczniów uczęszcza na lekcje religii do punktu katechetycznego, gdzie czy to sami uczniowie, czy z inicjatywy katechety, czemu bym się wcale nie dziwił, podejmują wątki poruszane na lekcjach religioznawstwa. Czy na tym tle nie dochodzi do jakichś nieporozumień czy niepożądanych napięć?

EWA ĆWIKŁA: — Z tego co wiem, nie dochodzi w zasadzie na tym tle do konfliktów i napięć, gdyż większość katechetów zajęła stanowisko nacechowane umiarem. W mojej szkole nie zaobserwowaliśmy tego typu zjawisk.

MAŁGORZATA SZWAJDLER: — Słyszałam nawet, iż jeden z katechetów miał wyrazić nadzieję, iż teraz przynajmniej, dzięki religioznawstwu, jego młodzi słuchacze zaznajomią się gruntowniej z zasadami wiary.

— Słyszy się też nieraz, że lepsza, mniej narażona na konflikty jest sytuacja uczniów należących do wyznaniowych mniejszości, których wyznawcy, jak wiadomo, zupełnie jednoznacznie opowiadają się za równouprawnieniem wszystkich religii, rozdziałem kościołów od państwa i tolerancją światopoglądową. Chciałbym jednak zapytać, co by należało odpowiadać na pojawiające się niekiedy zarzuty, że przez fakt wprowadzenia do szkół religioznawstwa uczniowie poddawani są jednostronnej, tj. stronniczej infiltracji światopoglądowej, a tym samym pozbawieni możliwości swobodnego wyboru światopoglądu. Jest to argument rodzaju tzw. chwytliwych...

G. PĘCHERZEWSKI: — Wiemy doskonale, że jest całkiem przeciwnie. To właśnie bez naświetlania przez nas historii różnych religii i omawiania ich zasad wiary, ich obrzędowości, młodzi ludzie skazani byliby w dalszym ciągu na jednostronną informację w punktach katechetycznych i wzrastaliby w błędnym mniemaniu, jak to się często u nas zdarza, wyjątkowej pozycji w świecie wyznania rzymsko-katolickiego albo też ulegaliby nieprawdziwym sugestiom, jakoby inne religie nie wpajały w swoich wyznawców podstaw etyki ogólnoludzkiej. Dzięki więc wprowadzeniu tego nowego przedmiotu nauczania młodzież dopiero zyskuje możność samodzielnego przeprowadzania porównań, czyli dopiero my przyczyniamy się do wyrównywania nierównych dotychczas szans wyboru.

— Można więc powiedzieć, że realizujecie prawdziwie demokratyczną zasadę jak najszerszego dostępu do obiektywnej informacji i raczej odnieść wrażenie, że nieprzychylne wam opinie, jeśli nie wypływają z nieznajomości stanu faktycznego, są wyrazem daleko posuniętej nietolerancyjności. A swoją drogą, trochę dziwna, świadcząca o niezbyt czystych intencjach wydaje mi się obawa przed wiedzą o religiach, bez której tak trudno przecież orientować się w procesach zachodzących w niektórych regionach współczesnego świata, jak np. Bliski Wschód czy Ameryka Łacińska...

EWA ĆWIKŁA: — Rzeczywiście, dlaczego miałaby zaszkodzić komukolwiek wiedza o buddyzmie, judaizmie czy islamie. Należy jednak ufać, że nasza działalność na tym polu będzie zyskiwać sobie coraz powszechniejsze uznanie.

— Miejmy też nadzieję, że rozmowa, w której zechcieliście państwo uczestniczyć przyczyni się również, choćby w minimalnym stopniu, do rozwiania nieporozumień i niejasności, które jeszcze tu czy tam się utrzymują, pobudzi też do myślenia nad dalszym doskonaleniem lub ewentualną korektą programu nauczania tego najnowszego przedmiotu szkolnej nauki, zwanego może nie najfortunniej religioznawstwem. Dzięki państwu za owocną wymianę poglądów na ten ważny temat.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

Foto: Włodzimierz Kałczak

Miał być Uniwersytet Ludowy, a jest nieporozumienie. Przyszli fachowcy są już dokładnie sfrustrowani.

Śliczna gębulka ody do młodości

JOLANTA WROŃSKA

Głos A: — *Chcesz zostać spawaczem. Przykładowo. Będziesz miał fach, odpowiedni kwit i zarobek na życie. Więc zapisujesz się na kurs spawania. A na lekcji facet pyta: panowie, czy macie śpiewniki? Nie? To nie szkodzi, ja mam. A zresztą piosenka jest łatwa, wszyscy ją znają. „Szła dzieweczka do laseczka". Panie, a na co nam to? Mamy się uczyć spawania. No jak to? Przyda wam się w życiu. Na imieninach jak znalazł, na zakładowej wycieczce, albo w wojsku. Człowiek, wiecie, musi mieć ten ogólny szlif, to przetarcie...*

Głos B: — *Młodzież, niestety, trafia tu z garbem „szkolnej maniery". Spodziewa się sztywnego regulaminu i ustalonego odgórnie programu nauki, stopni i w ogóle gotowych prawideł. A tu się okazuje, że sami muszą sobie stworzyć reguły działania naszej wspólnoty, sami ustalić program i dobrowolnie podporządkować się samodzielnie przyjętym zasadom. Naszą ideą jest poszerzanie wrażliwości, wiedzy, umiejętności odbioru i tworzenia wartości kultury...*

Głos A: — *Wykładowcy przychodzą i nas pytają — „co chcecie robić?". Miały być stypendia, a coś o nich niejasno, miały być zagwarantowane umowy na praktyki zawodowe, a nikt ich na oczy nie oglądał. Miały być wyposażone pracownie i fachowcy, a plan zajęć jest fikcją, nie ma gipsu i pakuł, żelatyny, konopii i klejów zwierzęcych. Nie ma narzędzi, za to jest angielski i matma, wychowanie obywatelskie i pedagogika. Ze szkółki wyszedłeś, do szkółki trafiłeś.*

Głos B: — *Projekt kompleksu pracowni artystycznych, wraz z salą galerii wystawowej, kinowej, opracował architekt Tadeusz Derlatka z „Miastoprojektu" — Radom. Projekt kosztował 6 mln złotych. Łączny koszt inwestycji zamknie się w granicach 38—39 milionów z budżetu ZG ZSMP. Roboty wykonuje Spółdzielnia „Rzemieślnik" z Radomia, pod okiem inspektorów nadzoru budowlanego z radomskiego „Budochemu". Koniec budowy przewidujemy na listopad—grudzień 1987 roku. Da to nam pierwszorzędne zaplecze do nauki, twórczości artystycznej i działań kulturalnych dla potrzeb miejscowego środowiska.*

W TURNIE, OŚRODKU WYPOCZYNKOWYM NAD PILICĄ,

około półtora kilometra od Białobrzegów, od dziewięciu lat działał Młodzieżowy Ośrodek Twórczości Ludowej Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Radomiu. Jednocześnie ośrodek spełniał rolę szkoleniowo-naradowo-rekreacyjnego zaplecza dla potrzeb ZW ZSMP Komitetu Wojewódzkiego PZPR oraz Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu, zarabiając wynajmem miejsc i obsługą gości na swą merytoryczną działalność. W Turnie odbywały się turnusy plastyczne, głównie dotyczące rzeźby plenerowej, choć nie wyłącznie.

W kwietniu 1986 roku Rada Uniwersytetów Ludowych przy Zarządzie Głównym ZSMP powołała do życia Uniwersytet Ludowy w Turnie na bazie istniejącego wcześniej ośrodka, jako trzynastą z kolei tego typu placówkę pod patronatem ZSMP. Instytucje uniwersytetów ludowych, o przedwojennym spółdzielczym i „Wiciowym" rodowodzie działają obecnie w większości pod skrzydłami ZSMP, na mocy przejęcia masy spadkowej po dawnym ZMW, w chwili tworzenia w latach pięćdziesiątych jednej ogólnokrajowej organizacji młodzieżowej. Ich współczesny statut reguluje Umowa o Uniwersytetach Ludowych i Robotniczych zawarta pomiędzy Ministerstwem Oświaty i Wychowania a Zarządem Głównym ZSMP.

Otwarcie działalności merytorycznej nowo powstałego do życia Uniwersytetu Ludowego w Turnie wyznaczono na listopad 1986 roku. W grudniu zaś „Walka Młodych" zamieściła reportaż opisujący tętniącą już życiem placówkę. Opis zawierał rejestr szans uzyskania zawodu w poszukiwanych specjalnościach, jakie daje młodzieży Alma Mater w Turnie. Zaś piękne pracownie i fachowa kadra specjalistów pozwalają mniemać, iż w ten sposób uda się poważnie wzmocnić wątłe szeregi krajowych artystów rzemieślników, tych zwłaszcza, jakich na gwałt potrzebują Pracownie Konserwacji Zabytków.

Według informacji Sekretarza Krajowej Rady Uniwersytetów Ludowych ZG ZSMP Marii Jóźwiak, Uniwersytet Ludowy w Turnie rozpoczął pracę w oparciu o zyski otrzymane ze sprzedaży miejsc i obsługi gości w sezonie letnim. Ponadto, na rozruch, otrzymał Uniwersytet dotację z ZG ZSMP w wysokości 500 tysięcy z przeznaczeniem głównie na zakup wyposażenia. Według Marii Jóźwiak — Turno posiada częściowo lub całkowicie wyposażone pracownie: tkacką, kuźnię i ceramiczną. Piec elektryczny jest darem Szwedów w ramach współpracy podobnych placówek.

W październiku 1987 roku ukazał się w „Kurierze Polskim" anons: Uniwersytet Ludowy w Turnie ogłasza zapisy na pierwszy kurs dla młodzieży pragnącej zdobyć zawód w specjalności tkacza, ceramika, sztukatora, stolarza-cieśli-snycerza i kowala artystycznego. Kurs obejmuje dwa lata nauki teoretycznej pod okiem specjalistów-wykładowców. Po złożeniu koniecznych egzaminów ze zdobytej wiedzy słuchaczy kierunku „Artysta rzemieślnik" będzie Uniwersytet kierować na 3-letnie praktyki zawodowe do Pracowni Konserwacji Zabytków na terenie całego kraju, z którymi to PKZ zawarte zostaną stosowne umowy. Oznacza to, że po pięciu latach uzyskuje się kwalifikacje urzędowo potwierdzone egzaminem czeladniczym w danej specjalności, a PKZ podpiszą umowę o pracę z absolwentami.

W anonsie znalazła się także zachęta w postaci ewentualnych wyjazdów zagranicznych w ramach kontraktów PKZ. Ponadto Uniwersytet Ludowy pragnie powitać w swych progach także młodzież zainteresowaną przyszłą pracą w charakterze animatorów kultury i sztuki. Ci zasię, po dwuletnim nauczaniu i wakacyjnych praktykach w domach kultury, ośrodkach o tym profilu działających w tzw. terenie, będą mogli uzyskać formalne uprawnienia do podjęcia pracy we wspomnianych placówkach.

OBIETNICE I ROZCZAROWANIA

Słuchacze: — *Miały być podobnież wstępne rozmowy kwalifikacyjne przed przyjęciem. Nie było. Pewnie dlatego, że spodziewali się 60—70 ludzi, a przyjechało ledwie ponad dwudziestu, więc przyjęli wszystkich hurtem. To zresztą najmniej ważne. Ale jedno można by wyjaśnić. Tu przyjechali głównie ludzie z, jak się to mówi, kolorowym życiorysem. Coś im tam gdzieś nie wyszło, czegoś nie skończyli, gdzieś się nie dostali, i wielu rzeczy już próbowali. Czasem się pośliznęli z głupoty, czasem z losu. Tylko że jak już ściągnęli do Turna, to dlatego, że uwierzyli w to gazetowe ogłoszenie.*

Powiedzmy jasno, że jak chłopak ma dwadzieścia lat i nie skończone liceum, to on po pierwsze ucieka przed wojskiem. Żeby zrobić maturę musiałby wrócić do normalnej szkoły, albo do wieczorowej. I wojsko go bierze od ręki.

Bogdan Betz — kierownik Uniwersytetu Ludowego w Turnie, przedtem kierownik Młodzieżowego Ośrodka Twórczości (9 lat) przedtem kilka lat praktyki w branży: *„animator życia kulturalnego"*, współpracownik miesięczników „Przemiany" i „Kontakt", poeta praktykujący, w toku studia polonistyczne. Widzi tę placówkę jako jedyną spośród uniwersytetów ludowych działających w Polsce, która ma szansę stać się ważnym ośrodkiem przygotowywania fachowych kadr artystów-rzemieślników i animatorów kultury i sztuki dla placówek w terenie. Nie mówiąc już o kulturotwórczym zaczynie promieniującym na ludzi z Białobrzegów i okolicy. Będą znakomite pracownie artystyczne, będzie akademia filmowa, coś na wzór DKF sprowadzająca najlepsze filmy skąd i jak się da. Będą, poza cyklem rozpoczętych właśnie kursów turnusy dla wszystkich chętnych. Odpłatny pobyt, możliwość korzystania z bazy technicznej, kontakt z fachowcami. A więc poszerzanie wrażliwości, ujawnianie talentów, szansa, słowem drożdże dla społecznego uczestnictwa w kulturze i wyzwalania samorodnej twórczości.

Słuchacze: — *Obiecano, że będą stypendia, jak na normalnych studiach na czas nauki. Owszem, niektórzy dostają z domu forsę. Różnie, 10, 15 tysięcy. Im nie zależy. Ale nie wszystkim rodzice dają. Po przyjeździe okazało się, że nie tylko coś tam z tymi stypendiami nie tak, jak miało być, to jeszcze słuchacze powinni płacić. Cztery tysiące miesięcznie. Więc jest śmiesznie.*

Słuchacz nie może mieć przecież stałej pracy, a zresztą kierownik zabronił podejmowania pracy na własną rękę. Skąd więc wziąć pieniądze, aby płacić za utrzymanie? Jedni więc płacą, inni nie. W ogóle jest *„spuszczanie po brzytwie"*. Tak mówią. Obiecanych umów z PKZ nikt nie widział, nie wiadomo nawet, czy po tych dwóch latach ktokolwiek będzie honorował jakiś tam kwit z Uniwersytetu w Turnie, bo niby jakie tu mają uprawnienia do wydawania dyplomów czy co?

Słuchacze mają zwykłe szkolne legitymacje, jak z podstawówki, ale za to ze stemplem Uniwersytet, co już paru konduktorów rozśmieszyło do łez. Nikt nie jest ubezpieczony i nie wiadomo, co robić w razie choroby...

Bogdan Betz: — *Mamy 36 słuchaczy. Decyzją Rady Uniwersytetów Ludowych ZG ZSMP, słuchacze kierunku „animator sztuki" płacą miesięcznie 4 tys. złotych kosztów utrzymania. Natomiast słuchacze kierunku „artysta rzemieślnik" otrzymają stypendium z racji umów z PKZ — fundatorem, także w wysokości 4 tys. zł, która to suma opłaca koszt utrzymania stypendysty i nie jest mu wypłacana. Aktualnie 14 osób już otrzymuje stypendia, załatwianie następnych jest w toku.*

Co się tyczy formalnych umów z PKZ w kraju, zobowiązującymi do przyjęcia naszego słuchacza na 3-letnią praktykę zawodową (po dwóch latach teorii) *oraz przeprowadzenia formalnego egzaminu czeladniczego i — w razie zdania — przyjęcia do pracy — gotowych jest i podpisanych na razie pięć umów. Reszta — trwają negocjacje. Jak chodzi o pracę zarobkową w wypadku słuchaczy nie wspomaganych z domu, mogą pracować dorywczo przy budowie kompleksu pracowni. Przewiduje się także, po zakończeniu inwestycji, umowę z Zarządem „Cepelii". Oni będą dostarczać materiały, my będziemy wytwarzać przedmioty artystyczne, oni to kupią, będą mieli słuchacze własne pieniądze. „Cepelia" obiecuje także fundację stypendiów dla najzdolniejszych słuchaczy, których własna twórczość zainteresuje kontrahentów. Będziemy mieć własną galerię dla prezentacji naszego dorobku, połączoną ze sprzedażą. Radomska WSI zgodziła się też na współpracę. Nasi słuchacze będą odnawiali rzeźby plenerowe, stojące w miastach woj. radomskiego i kieleckiego. Także odpłatnie, więc zarobią.*

Kiedy te wszystkie szanse się zmaterializują? W przyszłości. Niebawem.

JAK TO DZIAŁA?

Słuchacze: — *A tymczasem niezbyt dokładnie wiadomo, jak to wszystko działa. Na jakich zasadach, za co, ile to kosztuje, kto płaci. Przecież utrzymanie ośrodka kosztuje majątek. Dwadzieścia osób stałego personelu technicznej obsługi, ze średnią pensją około 14 tysięcy miesięcznie. Opał, żywność, opłaty za prąd itp. No i godziny zlecone dla dojeżdżających wykładowców — 15 osób po 22 zł za godzinę plus zwrot kosztów delegacji z wyłączeniem prywatnych samochodów. Do tego mieszkanie kierownika w budynku biurowym ośrodka, no i żona i dwoje dzieci mieszkających na miejscu, żywiących się itd. Aha — i jeszcze stała, zatrudniona na pełnych etatach 4-osobowa kadra pedagogiczna.*

Bogdan Betz: — *Do końca 1986 roku Uniwersytet utrzymywał się z zysków uzyskanych latem, za kolonie, wczasy, konferencje, 500 tys. z ZG ZSMP na wyposażenie i 1 mln dotacji ministra do spraw młodzieży. Na 1987 rok mamy zaplanowany budżet — 35 milionów. Z tego 17 mln musimy sami wypracować, poprzez wynajem miejsc w ośrodku, których jest 90. 40 zajmują słuchacze i kadra, 50 miejsc zarabia. Reszta to dotacja 14—15 mln z ZG ZSMP.*

Słuchacze: — *Praktycznie kierunek „animator sztuki" nie działa. Chętni po prostu chodzą na inne zajęcia z kierunku sztukator, tkacz, stolarz-snycerz, albo ceramik. Dokładnie nie wiadomo właściwie jak wygląda gryplan. Zajęcia się odbędą, albo nie, to zależy czy przyjedzie wykładowca. I w ogóle trudno wyczuć. Bo praktycznie nie ma nauki zawodu w konkretnej specjalności. Coś tam ludzie dłubią w glinie albo na garncarskim kole, ot, tak sobie, bo nikt nie uczy technologii wypalania, obróbki, wzoru. Stolarze strugają co sami chcą, jeśli chcą i jak jest czym, bo z narzędziami też źle. Nikogo nie obchodzi, czy kto ma jakieś pojęcie o surowcu, czy kiedyś trzymał w ręku dłuto i czy taki dłubacz przyjechał tu dziurawić deski, czy ktoś ma go nauczyć snycerki. „Weźcie sobie chłopcy surowiec i róbcie, co wam tam w duszy gra". I tyle. Tkaczki siedzą po pokojach i na najprostszych ramkach dziergają co wola.*

Jak to jest? Czy uczymy się tu konkretnego zawodu, żeby potem normalnie pracować i zarabiać, czy przez pół Polski się jechało do Turna, żeby się uczyć w ramach przedmiotu „budownictwo ogólne" jak się wylewa ławy fundamentowe, co — jak powszechnie wiadomo — jest niezbędne w fachu sztukatora...

W ciągu całego tygodnia zajęć, tylko jeden dzień — od 8 do 13.30 przeznaczony jest na praktyczną naukę zawodu. I w ogóle, kim my mamy być? Ludowi artyści od strugania Jezusków Frasobliwych, czy rzemieślnicy zawodowi?

Stopni niby nie ma, ale kierownik zarządził „zaliczenia" pierwszego semestru. Z „wybranych zagadnień literatury", z matmy i z przyrody, gdzie zadano „zaliczeniowe" pytanie: wymienić kilka zwierząt występujących w przyrodzie i nazwać, czy są to ssaki, płazy, gady, czy co? Albo: omówić na piśmie dowolną pozycję literatury. Już. Jakiej literatury? Dowolnie. Może być broszurka o chorobach wenerycznych. Skoro zaliczenia są fikcją, praktyczne zajęcia są fikcją, Uniwersytet nie jest prawdziwy?....

Uniwersytet Ludowy w Turnie ma Radę Naukowo-Programową, której przewodniczy Janusz Pulnar z Muzem Okręgowego w Radomiu. W jej skład wchodzą: Stefan Rosiński z Muzeum Wsi Radomskiej, metodyk Mieczysław Lassa, Franciszek Midura z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki, Departamentu Ochrony i Konserwacji Zabytków, pisarz i poeta Henryk Jachimowski Małgorzata Rogowska wiceprzewodnicząca ZW ZSMP w Radomiu oraz Ryszard Kański architekt.

Program naukowy opracowuje i wdraża Rada Pedagogiczna, czyli czterech nauczycieli zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin w Turnie.

Zatrudnieni na zleceniach specjaliści z wielu dziedzin gwarantują wysoki poziom fachowy przekazywanej słuchaczom wiedzy oraz realizację podstawowego kierunku działania placówki, czyli kształtowanie światłych ludzi o szerokich poglądach i rzetelnej wiedzy ogólnej, a przy tym wykwalifikowanych fachowców w swojej dziedzinie.

Słuchacze: — *Nikt nie przeczy, że sztukatorowi czy snycerzowi potrzebna jest wiedza z zakresu materiałoznawstwa, czy historii sztuki i detalu architektonicznego. Nie zawadzi też mieć pojęcie o etnografii. Potrzebny jest rysunek techniczny i odręczny. Cacy. Ale po co dublować program ogólniaka z matmą, pedagogiką, wiedzą o polityce kulturalnej, „uwrażliwianiem na przyrodę"? I ile razy można się uczyć „Ody do Młodości"?...*

Foto: Grzegorz Galasiński

ze str. 1

CZYTANIE Z MIKROŚLADÓW

Niezwłocznie do akcji przystępuje ekipa dochodzeniowa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi. Oględziny zwłok ofiary, a także skrupulatne badanie terenu, na którym działał sprawca napadu, zabójstwa i gwałtu, dają efekt w postaci uzyskania dwóch bardzo istotnych informacji praktycznych i dowodów jednocześnie. Pierwszą informacją są pozostawione na miejscu zbrodni ślady biologiczne osobnika płci męskiej — plemniki. To pozwala na precyzyjne określenie grupy krwi mordercy. Drugim dowodem są znalezione i poddane gruntownej analizie mikrowłókna. To gwarantuje bezbłędną identyfikację odzieży zabójcy. Okoliczności przemawiają za tym, że zbrodnia miała motyw seksualny.

Tymczasem potworna wieść wstrząsa senną codziennością miasteczka. Ludzie gorączkowo odtwarzają w pamięci z pozoru błahe, lecz w istocie bardzo ważne zdarzenia minionego dnia. Ujęcie grasującej bestii staje się sprawą całego miasta. Ozorkowianie dostarczają coraz to nowych obserwacji, faktów i podejrzeń. Milicyjna machina do oceny i przetwarzania danych starannie weryfikuje wszelkie hipotezy.

Miasto pod strachem

Z wolna powstaje szkic sytuacyjny okoliczności dramatu. Zgłaszają się świadkowie, którzy tamtego wieczoru przechodząc ulicą Łęczycką widzieli mężczyznę w kapturze zachowującego się cokolwiek nienaturalnie. Osobnik ów podejrzanie kręcił się w okolicach łąki i zarośli, wyraźnie zdradzał oznaki nerwowości. Świadkowie na krótko przed tragedią widzieli również idącą tamtędy Marzenę M.

Widok podejrzanie zachowującego się mężczyzny specjalnie nie zaniepokoił przechodniów. Nikt więc nie podniósł alarmu, wszyscy minęli go obojętnie. Od dawna w Ozorkowie żyło się raczej spokojnie, zaś echa morderstw i przestępstw na tle seksualnym docierały tu jedynie za sprawą gazet i szmatławych kryminałków. Owszem, bywały pijackie burdy, zaczepki, nawet krwawe rozróby wśród marginesu. Ale zboczeńca atakującego samotne kobiety nie „urodziła" dotąd najczarniejsza plotka.

Dlatego w czwartek 19 lutego 1987 r. czujność ozorkowian była uśpiona.

Niebawem znane już są wyniki ekspertyzy mikrowłókien odzieży mordercy. Na ich podstawie oraz w oparciu o zgodne zeznania świadków ustalono ponad wszelką wątpliwość, że sprawca bestialskiego mordu ubrany był w kurtkę elanobawełnianą z kapturem, koloru brązowego, zapinaną na zamek błyskawiczny. Właścicieli podobnych kurtek może być w kraju lekko licząc kilkadziesiąt, jeśli nie kilkaset tysięcy. Czyli krąg podejrzanych jest praktycznie bezkresny. Lecz wiedza płynąca z ekspertyzy mikrowłókien i szczegółowych opisów świadków rychło pozwala na wyodrębnienie cech szczególnych ubioru domniemanego mordercy.

Trop wiedzie tym razem aż do Torunia, do Spółdzielni Pracy „Konfekcja", gdzie w 1986 roku uszyto serię brązowych elanobowełnianych kurtek z kapturem. Zgadzają się wszystkie elementy kroju i fizykochemiczne cechy tkaniny. Wiadomo jeszcze, że ten typ okryć był ocieplony podpinką ze sztucznego misia. Toruńska spółdzielnia wyprodukowała znaczną ilość takich kurtek, ale prawie w całości dla odbiorcy zagranicznego. Tylko kilkadziesiąt sztuk, jako tzw. odrzut z eksportu znalazło się w krajowej sieci handlowej. Natychmiast ustalono więc adresy trzech sklepów, do których trafił poszukiwany ubiór. Tu okazało się, że pewną ilość brązowych kurtek na misiu zawieziono do... Ozorkowa. 29 września 1986 roku odebrał je sklep odzieżowy przy ulicy Hanki Sawickiej 22.

Wszystkie kurtki zostały sprzedane w ciągu zaledwie kilku godzin. Kosztowały 4950 złotych. Sklep, w którym je sprzedano leży nieco na uboczu, z dala od głównych tras przelotowych. Można zatem wnioskować, iż nabywcami brązowych kurtek męskich byli raczej mieszkańcy Ozorkowa albo ludność okolicznych wsi przyjeżdżająca do miasteczka po zakupy.

Z listy anonimowych klientów sklepu odzieżowego udało się dość szybko, po sprawdzeniu tożsamości i innych danych, wykreślić kilkanaście pozycji. Dwie kurtki z kapturem wypożyczono od ozorkowian celem szerszej ich prezentacji. Właściciele z ochotą przekazali je do dyspozycji ekipy dochodzeniowej, gdyż paradowanie w takich strojach ulicami wzburzonego miasta graniczyłoby z szaleństwem.

PORTRET PAMIĘCIOWY

Jedna z pożyczonych kurtek „występuje" przed kamerami telewizyjnego programu „997", drugą codziennie oglądają przechodnie w witrynie sklepu przy ulicy Hanki Sawickiej. Ubrany w nią manekin ma papierową twarz. To jest twarz mordercy. Szkic powstał w wyniku żmudnych seansów, podczas których świadkowie kreska po kresce odtwarzali rysy osobnika widzianego nierzadko ledwie przez ułamek sekundy. Tak stworzono portret pamięciowy poszukiwanego. Poszukiwany mężczyzna mierzy 176—180 centymetrów wzrostu, ma 25—30 lat, jest średniej budowy ciała. W dniu zabójstwa nosił charakterystyczne wąsy typu gruzińskiego.

Na wystawowej szybie sklepu wisi także kartka z komunikatem MO. Milicja prosi pozostałych anonimowych nabywców brązowych kurtek z kapturem o zgłoszenie się do miejscowego komisariatu. Apeluje również o wskazanie tych osób, które mają lub w przeszłości miały podobny ubiór. Milicja gwarantuje pełną dyskrecję.

Ten komunikat jest ciągle aktualny.

Przed sklepową witryną z nietypowym listem gończym zbierają się grupki ozorkowian. Stoją i milczą. Uparcie wpatrują się w papierowe oblicze bestii, jakby całą siłą woli pragnęli głęboko wyryć je w swych pamięciach. Stoją i milczą, bo i o czym dyskutować w takich chwilach. Chyba że o czasie, który bezkarnie ucieka. Bezkarnie dla zabójcy.

Tymczasem ekipa dochodzeniowa zbiera i weryfikuje fragmentaryczne relacje mieszkańców, drobne spostrzeżenia i niestety, coraz częstsze plotki. Autorzy haniebnych plotek pewnie nie rozumieją, jak bardzo mogą oddalić dzień uwolnienia siebie i miasta od paraliżującego strachu.

Milicja bierze pod uwagę kilka wersji jednocześnie. Nie wyklucza się hipotezy o działaniu zboczeńca seksualnego czy osobnika chorego psychicznie. Ankieta — pytajnik rozesłana do wszystkich mieszkańców zakreślonego kwadratu ulic w pobliżu miejsca zbrodni daje nikłe rezultaty. Owego tragicznego wieczoru nikt nie słyszał krzyku ani wołania o pomoc. Zresztą było mroźno, w domach starannie pozamykano okna. Niczego niepokojącego nie słyszano także w pobliskiej stacji pogotowia ratunkowego, chociaż trwał całodobowy dyżur. W pomieszczeniu dyspozytora stacji szumiał głośnik radiotelefonu i włączony był telewizor. Swoimi spostrzeżeniami dzielą się taksówkarze i nocni portierzy. Ale mija miesiąc i zabójca jest ciągle nieuchwytny.

Wieczorem 9 marca 1987 roku wyludniają się ulice Ozorkowa. Zamiera ruch, za firankami migocą ekrany telewizorów. W programie lokalnym Łódzkiego Ośrodka Tv odtwarzany jest przebieg tamtych wydarzeń zrekonstruowanych w toku dochodzenia. Role ofiary i napastnika odgrywają aktorzy. Raz jeszcze

MILICJA APELUJE O POMOC

w zidentyfikowaniu niebezpiecznego przestępcy.

Milicja już wielokrotnie z pozytywnym skutkiem zwracała się do społeczeństwa o pomoc w poszukiwaniu groźnych przestępców. Ale tym razem sprawa jest szczególna i wymaga chłodnych, pozbawionych emocji spostrzeżeń, gdyż między krwiożerczym bandytą i mordercą seksualnym istnieje kolosalna różnica. Bywa, że morderca seksualny jest maniakiem na co dzień wiodącym przykładny żywot męża i ojca rodziny, który tylko od czasu do czasu w sposób niedostrzegalny dla otoczenia staje się bestią. Dla wszystkich policji świata poszukiwanie takich osobników jest najtrudniejszym i szalenie czasochłonnym zadaniem.

Lecz porażone strachem miasto wciąż kipi ślepą nienawiścią i żądzą zemsty. W epidemiczny sposób narasta przeświadczenie, że skoro bestia zabiła raz, to na pewno w niedługim czasie nastąpi kolejny mord. Dlatego miejscowi gniewnie obserwują przybyszów, milcząco odprowadzają ich wzrokiem. Jednego wieczoru dwukrotnie otacza mnie krąg niecierpliwych panów z „pospolitego ruszenia". Świecą latarkami prosto w oczy. Chyba są rozczarowani... Okropny byłby los kogoś obcego, gdyby jakaś rozhisteryzowana kobieta wskazała nań palcem, albo gdyby krzykiem odpowiedziała na przypadkowe spotkanie w mało uczęszczanym miejscu.

Mija miesiąc od chwili bestialskiego mordu, a w witrynie sklepu odzieżowego wciąż tkwi manekin w brązowej kurtce z kapturem. W środę 18 marca ekipa telewizyjna nagrywa program z cyklu „997", który zaprezentuje dotychczasowe wyniki dochodzenia. Ten program dotrze do milionów domów i być może przybliży moment ujęcia zbrodniarza.

ROMAN KUBIAK

Była wiosna i On kochał JĄ. Ale zjawił się ten TRZECI. Banalna historia, która skończyła się tragicznie.

Miłość i śmierć

EUGENIUSZ IWANICKI

Miłość nie uwieńczona spełnieniem ma swoją długą historię w dziejach ludzkości. Z reguły taka miłość kończyła się tragicznie. Zawsze — zanim jeszcze uczucie rozgorzało płomieniem — nad dwojgiem zakochanych rozpościerało swoje ponure skrzydła zawistne i ślepe Fatum. Jednakże nasze nerwowe i niespokojne czasy wprowadziły poważną korektę do klasycznych form reagowania na nieszczęśliwą miłość. Pojawił się wariant trzeci: śmierć za brak miłości! I o tym będzie niniejsza opowieść.

DRAMATIS PERSONAE

ONA: średniego wzrostu, ładna, muzykalna, nowoczesna, 22 lata i ciekawa przyszłość. Dziewczyna, która może się podobać.

ON I: elektryk w ŁZR „Fonica", absolwent szkoły zasadniczej, lat 26. Lubił wypić, choć, jak twierdzi, gdy poznał JĄ raczej stronił od alkoholu. W opinii najbliższej rodziny jego portret nie jest jednoznaczny. Spokojny, dobry, choć zdarzało się, że wskutek niepowodzeń — szczególnie w miłości — usiłował podcinać sobie żyły. Zakochiwał się od razu i z kretesem. Stąd tak silnie przeżywał odejścia dziewczyn. Nazywa się Jacek W.

ON II: muzyk, kolega z uczelni, którego darzyła również uczuciem, choć swoją miłość wyznała także Jackowi W.

Tak więc na początku był trójkąt: ONA i ich DWÓCH. Dziś nie sposób ustalić, czy to, co powiedział przed prokuratorem Jacek W., odpowiada prawdzie. Jego relacja z konieczności musi być subiektywna i stronnicza. Przecież, jak twierdzi, kochał ją bardzo, wiązał z nią plany na dalsze swoje życie, była dlań czymś ważnym, może najważniejszym. A czy Jacek W. był także najważniejszy w JEJ życiu?

WIOSNA I MIŁOŚĆ

Poznali się w drugi dzień Wielkanocy 1986 roku. Dla Jacka W. było to olśnienie: zakochał się od razu i na amen. Jeśli wierzyć temu, co zeznał w śledztwie, ich znajomość miała pomyślny dlań przebieg: spotykali się codziennie, chodzili razem do kawiarń, ONA przychodziła do jego domu, słowem była „jego dziewczyną". Jacek W. ustatkował się, przestał pić, poczuł się pewniej. Marzył, planował. Do tego była wiosna. Aż nadeszły wakacje i wówczas ONA powiedziała, że muszą się rozstać. Nie rozumiał: co znaczy rozstać się? Przecież ją kocha, ONA także zapewniała go wielekroć o tym samym, a teraz chce odejść?

Jej decyzja spadła na niego jak ciężki głaz przygniatając i obezwładniając. Przecież był wobec niej zawsze w porządku, nigdy nie dał powodów do złości lub niezadowolenia. To ONA zachowuje się dziwnie, ma humory, sama nie wie czego chce. Jacek W. toleruje to, bo ją kocha. Przecież nie można ot tak sobie, ni stąd ni zowąd, naraz zerwać znajomość, podeptać miłość, udać, że niczego nie było.

Wyjechała. Były to dla Jacka W. bardzo długie wakacje. Tęsknił. Popijał. Czekał.

Kiedy wróciła do Łodzi, okazało się, że jest znów tamtą dawną, wesołą dziewczyną. Chociaż, jak zeznaje Jacek W., pojawiły się w ich stosunku do siebie jakieś nieuchwytne niedomówienia, jakiś cień, który budził w jego sercu niepokój i niepewność. Czasem sprzeczali się z byle powodu, czasem ONA nie zjawiała się na spotkanie, a potem zawile i bez przekonania usiłowała się z tego wytłumaczyć.

W grudniu 1986 roku Jacek W. stwierdził nagle, że stanowi jedynie jeden z boków trójkąta, dwa pozostałe, to ONA i ten trzeci. Ale dziewczyna wszystkiemu zaprzecza. Niestety, fakty były przeciw niej.

IGRANIE Z OGNIEM

Jacek W. mieszka na ulicy Allende. Wraz z matką i siostrą zajmuje trzypokojowe mieszkanie, czyli każde z nich ma osobny pokój. Siostra Jacka przyjaźniła się z NIĄ, uważając, że jest dziewczyną jej brata. Dlatego, kiedy ONA zjawiała się w pokoju Jacka W., starała się tam nie wchodzić, by nie przeszkadzać.

Któregoś dnia do drzwi mieszkania Jacka W. zadzwonił jakiś młody mężczyzna. Przedstawił się jako Wojtek. Przyszedł, powiada, bo sądzi, że tu znajduje się jego dziewczyna, która ma tu przyjaciółkę. Tą przyjaciółką miała być siostra Jacka W. Sytuacja zrobiła się trudna i niezręczna. Niby jak to właściwie jest? Czyją dziewczyną jest ONA? Jacka W. czy Wojtka? Czy może obu naraz?

Moja relacja opiera się wyłącznie na aktach zebranych w trakcie żmudnego śledztwa. W tych aktach, które są dowodem zbrodni, są zeznania zabójcy i zeznania świadków. Nie ma niestety zeznań zamordowanej dziewczyny i dziś nikt nie potrafi ustalić, czy ONA naprawdę mówiła Jackowi W., że go kocha, że mówiła to na moment przed śmiercią, jak też nie ustali się z całą pewnością, czy ów Wojtek otrzymywał od niej takie same zapewnienia. Obaj mogą tak twierdzić, ale prawdę znała jedynie ONA.

Wszakże jedno jest pewne: Jacek W. doznał głębokiego zawodu. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że był to dla niego szok. Przecież nagle odkrył, że jest okłamywany, że wszystko, co było dotychczas, to jedno pasmo nieporozumień, fałszu, naigrawania się z jego uczuć. To tak, jakby idąc z kimś za rękę nad przepaścią, nagle poczuł, że jest sam, że nie ma tego drugiego, kto go chronił i ubezpieczał. Czyż w takiej sytuacji nie można dostać zawrotu głowy?

Świat Jacka W. runął, jego osobiste plany nagle przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. Co robi człowiek lecący w przepaść? Przysłowie mówi, że chwyta się ostatniej deski ratunku. I Jacek W. uczynił to. Umówił się z NIĄ na spotkanie, by ostatecznie i definitywnie wyjaśnić ich skomplikowane, niełatwe stosunki.

GRA W ŚMIERĆ

28 grudnia 1986 r. umówił się z NIĄ na spotkanie. Był podenerwowany. Z kolegą Markiem A. poszli więc do „Rarytasa", gdzie wypili po pięć kufli piwa. Ale piwo nie dało oczekiwanego rezultatu, więc udali się do domu Marka A. i tam łyknęli po pięćdziesiąt gram wódki.

Wieczór w grudniu zapada szybko i Jacek W. do 19.00 siedział w swoim pokoju czekając na NIĄ. Nie zjawiła się. Wówczas ubrał się i poszedł pod jej dom. Było zimno, ale czekał. Ujrzał ją dopiero około 21.00, wracającą z miasta. Nawet nie pytał skąd wraca. Powiedział, że musi pójść do niego do domu, gdyż trzeba w końcu wyjaśnić sobie pewne sprawy i to wyjaśnić ostatecznie i do końca.

W domu Jacka W. siostra i matka już spały. Jacek wziął zeszyt w ciemnozielonej oprawie, w którym zapisywał wyniki gry w brydża i różne „złote myśli" i na jednej z kartek zrobił rubryki, dzieląc w ten sposób stronę na dwie nierówne części. Po prawej stronie, w części większej, pisać zaczął swoje pytania, w węższej notował odpowiedzi dziewczyny. Ponieważ tekst ten ma spore znaczenie, przytoczę go w całości.

1. *Czy mnie kochasz?* Tak. 2. *Z kim wróciłaś w sobotę rano?* Sama. 3. *Czy był u ciebie W.?* Tak. 4. *Czy wiadomo ci coś na temat klęczenia przed nim i przyrzekania miłości?* Nie. 5. *Co robiłaś dzisiaj?* (Brak odpowiedzi). 6. *Czy był u ciebie W. dzisiaj?* Nie. 7. *Z kim chcesz być tak naprawdę — ze mną czy z W.?* Z nim. 8. *Czy w ciągu ostatnich 2 tygodni spałaś z nim?* Nie. 9. *Dlaczego chcesz być z nim?* (Ręką Jacka dopisano: *Sądzisz, że bardzo go kochasz?*). 10. *Jak sądzisz, co zrobię TERAZ?* Sądzę, że mnie zamordujesz.

Tyle zapis w zeszycie. Na jednej z poprzedzających ten zapis stron, Jacek W. napisał sentencję (własną? przepisaną od kogoś?), takiej treści: *„Jedynie umarli nie zmieniają zdania".*

Z ZIMNĄ KRWIĄ

Kiedy dziewczyna odpowiedziała, że wie, iż Jacek W. ją zamorduje, on kazał jej położyć się na tapczanie. Oddajmy mu głos.

— *Poprosiłem, aby położyła się i ONA się położyła na wersalce. Ja okrakiem ukląkłem nad nią. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słów. Zauważyłem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Sam zacząłem obawiać się siebie, że istotnie mogę JĄ zabić. Próbowałem jeszcze przekonać JĄ, abyśmy jeszcze raz zaryzykowali i byli dalej wspólnie. Na to odrzekła mi, że ona nie boi się śmierci, że boi się jedynie samej świadomości, że umrze. Mimo to i u niej, i u mnie zaczął narastać strach. Ja zacząłem uświadamiać sobie, że za chwilę istotnie to zrobię. Patrzyliśmy na siebie w niemym bezruchu. Początkowo chciałem JĄ ogłuszyć, ale nie miałem nic pod ręką. Myślałem również o uderzeniu jej pięścią, ale z drugiej strony obawiałem się, że może to u niej wyzwolić agresję i chęć obrony. W pewnym momencie zauważyłem, że ONA jakoś rozluźniła się i wówczas zacisnąłem palce na jej szyi. Krzyknęła, ale wówczas zakryłem jej twarz poduszką. Ręce, które opuściła wzdłuż ciała i próbowała się nimi bronić przycisnąłem własnymi udami. Później położyłem się na niej całym ciałem i własną głową dociskałem poduszkę na jej twarzy.*

Wstał powoli, sprawdził puls, przykrył twarz zamordowanej. Nie pamięta czy był zmęczony, czy cokolwiek odczuwał. Siadł na fotelu, wypalił papierosa, ubrał się spokojnie i poszedł do III Komisariatu DUSW Łódź-Polesie by powiedzieć, że udusił dziewczynę.

Opinia lekarzy psychiatrów ze Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych im. dr Babińskiego w Łodzi:

„1. W czasie badania Jacek W. nie ujawnia objawów choroby psychicznej ani cech niedorozwoju umysłowego. Znajduje się natomiast w stanie reakcji przygnębiennej;

2. Z uwagi na wagę czynu konieczność przeprowadzenia całokształtu badań psychiatrycznych, psychologicznych dodatkowych. Wnosimy o umieszczenie go na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym".

Tyle, jeśli chodzi o tę tragiczną, nie spełnioną miłość. Reszta w rękach bogini Temidy.

WZOREM DO NAŚLADOWANIA dla wielu sprzedawców, a zwłaszcza dla przygotowującej się do tego zawodu młodzieży może być pan sprzedający w sklepie „Herbapolu" przy ul. S. Jaracza. Jest nie tylko uprzejmy i sprawny — co powinno być obowiązkiem wszystkich sprzedawców, ale znakomicie orientuje się w swojej branży, potrafi doradzić wybór odpowiednich specyfików, chętnie udziela wyczerpujących informacji o właściwościach ziół i zastosowaniu wszystkich sprzedawanych w „Herbapolu" preparatów a ponadto — zawsze, bez względu na długość kolejki, potrafi zachowywać się tak, jakby obsługa klientów sprawiała mu przyjemność. Dzięki temu nawet dość długie oczekiwanie staje się mniej męczące i z brakami w zaopatrzeniu łatwiej się pogodzić. Podobnej jakości obsługi można by życzyć sobie w każdym sklepie.

KSIĄŻKI TO TEŻ RYNEK. Z kilkudziesięciu pozycji, które w najbliższym czasie ukażą się w księgarniach „Domu Książki" wybraliśmy kilka, o które warto pytać codziennie, bowiem szybko znikną z półek: Kobyliński — „Pasjans erotyczny", Hołyst — „Kryminalistyka", Tatarkiewicz — „Łazienki królewskie i ich osobliwości", Rodriguez Aguilera — „Picasso", Garbicz — „Kino— wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego: podróż druga, 1950—1959", Z. Rogowski — „Ci z Hollywood", L. Szestow — „Dostojewski i Nitsche: filozofia tragedii", W. Machejek — „Nie będę lekarzem ani sędzią".

Ponadto trafi na półki tom drugi pozycji przeznaczonej dla subskrybentów: „Literatura polska — przewodnik encyklopedyczny".

PANOWIE ŁATWIEJ NIŻ PANIE będą mogli wybrać dla siebie kurtkę wiosenną (odpowiednią również na chłodniejsze dni lata) z modnej, gniecionej tkaniny. Do sklepów „Otexu" trafiły kurtki austriackie i holenderskie w kilku fasonach i kolorach. Dostawa męskich jest spora — 50 tys. sztuk, damskich natomiast zaledwie 5 tys. Ceny od 10 do 14,5 tys. zł.

POPRAWIŁO SIĘ NIECO zaopatrzenie sklepów ze zmechanizowanym sprzętem gospodarstwa domowego. Znowu można bez większych trudności kupić chłodziarki, zwłaszcza o dużych pojemnościach, wśród nich również z oddzielnym zamrażalnikiem oraz — co na polskim rynku jest nowością — z drzwiczkami, które w zależności od ustawienia mebli w kuchni nabywcy mogą być otwierane w lewą lub w prawą stronę. Ciągle natomiast brakuje pralek. Dostać można importowane z ZSRR „Wiatki" dotychczas niechętnie kupowane przez klientów, bowiem brakowało do nich części zamiennych. Obecnie można je nabywać bez obawy — w Związku Radzieckim została zakupiona duża ilość części, które już są w punktach usługowych.

KLEJ DO TAPET PRODUKCJI NRD jest zdecydowanie lepszy od wszystkich rodzajów klejów polskich produkcji rzemieślniczej i dotychczas można go było nabyć jedynie od przyjeżdżających z NRD znajomych. Obecnie pojawił się w sklepach „Arpis" branży papierniczej. Do końca I półrocza trafi do sklepów w kilku partiach 10 ton tego specyfiku w kilogramowych puszkach. Pochodzi on z wymiany towarowej, w ramach której „Arpis" otrzymał również wykładziny dywanowe i z tworzywa, nadające się do pomieszczeń użytkowych (już są w sklepach) oraz tapety, w kilku odmianach, wśród nich tapetę welurową (niewielkie ilości znajdą się w sprzedaży wkrótce) zabawki i trochę nart biegowych, materaców dmuchanych i innego sprzętu campingowego.

CORAZ WIĘCEJ NOWALIJEK pojawia się na rynku. Są one o tej porze niezbędne dla zdrowia — ale ich ceny rujnują kieszeń. Pęczek rzodkiewek kosztuje 60 zł, sałata 50—80 zł, ogórki 500—600 zł kilogram. Najdroższe są pomidory — 3000 zł, a najtańszy szczypiorek — 15—20 zł dag. Ratując budżet możemy posadzić cebulę w doniczce z mokrym piachem i posiać rzeżuchę na talerzyku wyłożonym watą. Po 10 dniach będziemy mieć własne zieleniny.

SCAN-SILVER to nowy, bardzo skuteczny i łatwy w użyciu preparat do czyszczenia biżuterii nie tylko srebrnej, ale także wykonanej z miedzi, mosiądzu i innych, mniej szlachetnych metali, które to wyroby, bardzo modne obecnie, dość szybko ciemnieją. Można nim czyścić również sztućce, niklowane lub chromowane okucia i uchwyty szafek, a także wyroby ze złota — choć te najdroższe lepiej jednak powierzyć fachowcom. Cena buteleczki, wystarczającej do nadania połysku kompletowi platerowanych sztućców — 98 zł.

KTO WIE — A JA WIEM! Przypominamy że pod tym hasłem nasi czytelnicy mogą wymieniać informacje handlowe i zadawać pytania. W poprzednim odcinku czytelniczka pytała, gdzie kupić zapasowe gąbki do zmywaka „Jędruś". Otrzymaliśmy trzy listy z odpowiedziami: gąbek należy szukać w sklepach z artykułami gospodarstwa domowego — prywatnych i ajencyjnych (placówki państwowe nie zamawiają tego artykułu).

A teraz następne pytanie: kto wie, gdzie nabyć klej lateksowy? Mamy nadzieję, że i w tej sprawie pomogą czytelnicy. Przyjmujemy informacje listowne — i przez telefon.

AGATA

ze str. 1

Buty dla „Adidasa"

dwie nasze spółki handlowe — w Londynie i w Düsseldorfie.

— To bardzo ciekawa forma sprzedaży, wiem, że obie funkcjonują już blisko dziesięć lat. Dlaczego preferujecie panowie taki właśnie handel, za pośrednictwem spółek?

— Drobna korekta: „Skórimpex Rind", spółka angielska, działa już ponad dziesięć lat, zachodnioniemiecka jest nieco młodsza. Pyta pan: dlaczego? Cóż, w obu mamy absolutną przewagę naszego kapitału, nadzorujemy jej działalność, a samą sprzedażą zajmują się, doskonale znający miejscowe realia, niemieccy i angielscy specjaliści. Co zyskujemy: wyręczamy w ten sposób miejscowych pośredników, handel jest znacznie tańszy. Przy różnego typu kontyngentach jest to szalenie ważną sprawą.

— Wiem, że istnieją takie ograniczenia, hamujące nasz eksport. Na czym to polega?

— Kontyngenty lub — to już w naszym slangu — kwoty — określają możliwości naszego „wciśnięcia" się na dany rynek. Na przykład Niemcy z RFN zabezpieczają się kwotą 15 milionów DM, czyli do tej wysokości możemy sprzedać im buty. Co praktycznie czyni około 750—800 tysięcy par. A zależy nam na tym odbiorcy, bo jak na Europę — to wciąż jeszcze dość chłonny rynek, a koszty transportu — niskie.

— I nie można sprzedać więcej?

— No cóż, można... I eksportujemy nieco więcej, ale nie chciałbym się wdawać dziś w szczegóły. Konkurencja nie śpi, a na przykład tacy Włosi „wjeżdżają" w tym samym czasie na niemiecki rynek z 98 milionami par butów.

— Ich nie obowiązują kontyngenty?

— W ramach EWG nie ma tego typu ograniczeń, a poza tym oni produkują rocznie ponad 525 milionów par pięknych, efektownych bucików.

— A my?

— Około 140 milionów. I jako kolejną ciekawostkę mogę panu powiedzieć, że ten obuwniczy potentat nie dysponuje tak dużymi jak nasze zakładami; przytłaczająca większość to firmy zatrudniające... do 10 osób. Inna sprawa, że korzystające z nowoczesnego parku maszynowego. A wracając do Niemiec. Jak różnorodne są metody walki o klienta, niech świadczy fakt, iż zatrwożeni naszą sprzedażą na tym rynku miejscowi pośrednicy wystosowali nawet do kanclerza Kohla sążniste pismo, w którym sugerują nieco złośliwie, iż Polacy nie powinni sprzedawać butów w RFN. Jeśli narzekają na kontyngenty, niechże eksportują co innego, na elektronikę i samochody kontyngentów nie ma...

— Rzeczywiście złośliwie nieco... Już widzę tę naszą samochodową konkurencję... A w Anglii też mamy podobne problemy?

— To rynek o zupełnie innym charakterze, dość konserwatywny, również w obuwiu, co dla nas jest szalenie korzystne i bez kłopotów sprzedajemy tam około 3,5 miliona par butów.

— Nasz przemysł najchętniej produkowałby latami te same buty, bez żadnych zmian?

— No, to może lekka przesada, ale jeśli w Wielkiej Brytanii niektóre modele buta i przez dziesięć lat nie ulegają zmianie, nie starzeją się, to nasz przemysł daje sobie z tym doskonale radę. Jest to zresztą rynek dobrze zorganizowany, hermetyczny, jeden odbiorca kupuje od nas ponad 60 procent wszystkich modeli butów.

— Czyżby Anglicy nie stosowali kontyngentów?

— Ależ stosują! To właśnie podane przeze mnie przed chwilą 3,5 miliona par. Ale i synowie Albionu nie darowali nam drobnej złośliwości; zaznaczone jest w umowie wieloletniej, iż w tej ilości znajduje się 700—800 tysięcy par... sandałów, a kontyngent umożliwia sprzedaż dalszego miliona par, na które nigdy nie było i nie ma zapotrzebowania.

— Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Anglika w „arabach"...

— Ja też nie. I jeszcze takiego nie spotkałem. Walczymy też od lat o dodanie w tejże umowie literki „i" przed nieszczęsnymi sandałami, co pozwoliłoby bardziej elastycznie dostarczać różne ilości butów.

— Powiedzmy otwarcie: mniej sandałów, więcej „normalnego" obuwia?

— No, tak to można określić. Ale Anglicy uparcie trzymają się pierwszej wersji umowy i nie zgadzają się na korekty.

— Wiem, że oprócz wymienionych tu już krajów eksportujecie jeszcze obuwie do Holandii, Stanów Zjednoczonych, Australii, Kanady. Czy są to rynki wciąż „chłonne" na nasze wyroby?

— Zdecydowanie pod tym względem Stany Zjednoczone biją wszystkich naszych odbiorców na głowę. Rynek — gąbka: nie narzuca się żadnych kontyngentów i importuje z całego świata, głównie z Dalekiego Wschodu — około 1 miliarda par butów! Jest co prawda cło wwozowe, ale to nie stanowiłoby, jak i wysokie koszty transportu — większej przeszkody w zwiększeniu eksportu naszych butów. Możliwości są duże. Amerykanie dotychczas kupowali od nas około 1 miliona par (w tym roku planujemy sprzedać już 1,5 miliona), a zarzekają się, że mogliby ulokować na swym rynku i 10 milionów par także!

— Kłania się pewnie dylemat: buty na rynek wewnętrzny czy do Stanów?

— Nie, nawet nie w tym tkwi sedno. Główną przeszkodą z naszej strony jest czas realizacji zamówienia. My jesteśmy w stanie najszybciej wywiązać się z realizacją w 7—8 miesięcy, a amerykańskiego odbiorcy terminy powyżej 6 miesięcy w ogóle nie interesują... Zbyt długi cykl produkcyjny — to podstawowa wada naszego przemysłu obuwniczego, a moglibyśmy w Stanach naprawdę robić dobre interesy.

— Z tej też przyczyny „najsilniejsi" jesteśmy w eksporcie obuwia męskiego, nie podlegającego tak szybkim rewolucjom jak obuwie damskie?

— Ma pan rację. Za błyskawicznymi zmianami, za modą zmienną często w jednym sezonie — nasz stetryczały, ogarnięty gigantomanią przemysł nie jest w stanie nadążyć. W ogóle uważam, że nasze panie są zdecydowanie bardziej pokrzywdzone od mężczyzn i muszą nosić buty cięższe i mniej wygodne.

— Czy tak musi być? Nie jesteśmy w stanie wyprodukować lekkich, wygodnych, efektownych damskich bucików?

— Jesteśmy, oczywiście, ale to powinno być regułą. A nie jest. Wciąż te obuwnicze laboratoria nie są w stanie na bieżąco wprowadzać w życie najkorzystniejszych form, tak zwanych obmiarów. Zmienia się nasza stopa życiowa, zmienia się i stopa, która powinna używać coraz wygodniejszego i lżejszego buta. Ja się śmieję, że to cała „butologia", ale fakt faktem: na Zachodzie poświęca się tym sprawom masę czasu, pieniędzy i energii. Czy pan wie, że znana i u nas angielska firma Clark radzi użytkownikom swych wyrobów jak należy obcinać paznokcie u nóg? Dlaczego u nas zawsze wystawione są do przymiarki buty na prawą nogę, skoro wiadomo, że nie ma ludzi, którzy mają obie stopy identyczne, a ponoć większość ma lewą większą?

— No właśnie, dlaczego wystawiany jest jeden but?

— To proste — żeby nikt ich nie ukradł. Słyszałem o wcale nierzadkich przypadkach kradzieży pojedynczego „kozaczka", którego później przerabia się na parę, typu „galanterki"...

— Ech, już lepiej wróćmy na zagraniczne rynki. Słyszałem, że polskie buty i to w sporych ilościach trafiają za waszym pośrednictwem również do ojczyzny filmowej Stephanii Harper...

— To prawda: zresztą „Skórimpex" jest w Australii największym z krajowych eksporterów. Dostarczamy tam około 1 miliona par butów. I w niektórych rodzajach jesteśmy bezkonkurencyjni, choćby w obuwiu zimowym.

— Nie za ciepło się noszą w tej Australii?

— No cóż, takie sobie życzą. I mamy wysoką markę, o czym świadczą chyba i specjalistyczne ogłoszenia w australijskich gazetach, gdzie konkurencyjne firmy reklamują swoje wyroby jako „prawie tak dobre buty jak polskie". Inna sprawa, że te konkurencyjne firmy z kontynentu azjatyckiego nie bardzo potrafią wykonać ciepły, lekki, wygodny but na zimę, bowiem na dobrą sprawę tej pory roku, w naszym znaczeniu — po prostu nie znają...

— W tejże Australii działa od pewnego czasu jeszcze jedna wasza spółka. Czy to jej zawdzięczacie sukcesy w sprzedaży?

— Nie, nie, to zupełnie inny temat. Jest to klasyczna spółka produkcyjna: posiadamy 26 procent udziałów i to wystarcza by kontrolować jej działalność. Ale wiąże się to generalnie z importem skór do kraju. Jest to zresztą proces — jak już wspomniałem — przypominający cały czas łatanie dziur. Aktualnie nie brak nam skór świńskich, a wciąż mamy mało bydlęcych. Ich głównym dostawcą jest właśnie Australia, a dzięki spółce nasi ludzie na miejscu kontrolują ceny skupu, pilnują całego procesu uszlachetniania. Mamy po prostu gwarancję, że skóry kupimy tańsze niż z innych źródeł i dobrej jakości. A to jest szalenie ważne biorąc choćby pod uwagę wielotygodniową podróż morską.

— Zmieńmy nieco na chwilę temat i porozmawiajmy o samym eksporterze. Sporo było szumu, gdy trzy lata temu „Skórimpex" zmienił status na spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Przypomnijmy ideę, która tej zmianie przyświecała i jakież ta „rewolucja" przyniosła efekty...

— Myślą przewodnią było maksymalne zwiększenie naszych możliwości eksportowych, branża skórzana miała stać się samowystarczalną, czyli „centrum" miało po kilku latach nie dokładać ani centa do niezbędnego przecież co roku importu.

— Założenie, iż od 1988 roku branży nie trzeba będzie dofinansowywać okazało się realne...

— Co więcej, już w ubiegłym roku byliśmy „na plusie", saldo z którym weszliśmy w 1987 rok sięgnęło 42 milionów dolarów.

— A jak się rysują plany tegoroczne?

— Raczej optymistycznie: wartość eksportu do tak zwanego „drugiego" obszaru wynieść ma 123 miliony dolarów, import — 140 milionów dolarów, czyli biorąc pod uwagę wspomniane saldo — damy sobie radę bez problemów. Między nami mówiąc: pierwszy kwartał tego roku mam już od dwóch tygodni wykonany...

— Tymi wypracowanymi dolarami możecie oczywiście swobodnie dysponować?

— Że też musiał pan tego tematu dotknąć!... Nasz bank wyspecjalizował się ostatnimi laty w blokowaniu wszelkich kwot od dziesięciu dolarów wzwyż... Wciąż mi się tłumaczy, że ważniejsze od skór są lekarstwa, żywność i tak dalej.

— Ja bym zmienił bank...

— Nie rozwijajmy na razie tego tematu, ale i w tym kierunku podjęliśmy pewne kroki...

— Czy w tak modnych ostatnio przedsięwzięciach jak joint venture czyli spółki z kapitałem mieszanym doświadczony „Skórimpex" nie będzie partycypował?

— Myślimy o takiej spółce i mogę powiedzieć, że trwają od dłuższego czasu poważne rozmowy z włoskimi kontrahentami. Wspólne przedsięwzięcie dotyczyć będzie wykorzystania tak zwanych dwoin, skór, których mamy w nadmiarze, a nie potrafimy wykorzystać ich w maksymalny sposób, przeznaczając również na wyroby galanteryjne, czy nawet na obuwie, ale w większej niż dotychczas ilości. Zmniejszyłoby to także znacznie zapotrzebowanie na import skór. Takie obuwie sportowe z dwoin kupuje od nas między innymi „Adidas".

— „Adidas"? U nas kupuje sportowe obuwie? Nie przesłyszałem się przypadkiem?

— Nie. Przecież taki sportowy gigant, podobnie jak „Puma" (nawiasem mówiąc obie firmy konkurencyjne prowadzone są przez rodzonych braci...) w minimalnym stopniu bazuje na własnej produkcji, ponad 90 procent „puszcza w ajencję", po całym świecie. I tenże „Adidas" chętnie kupiłby od nas nawet 2 miliony par sportowego obuwia, oczywiście takiego, które by precyzyjnie wybrał i zamówił.

— Więc czemu nie podjąć się tego, chyba opłacalnego zajęcia?

— Bo Nowy Targ z trudem robi dla nich 500 tysięcy par i dla „Pumy" bodaj z 300 tysięcy...

— I nie są w stanie zwiększyć wydajności?

— Nie sądzę. Widziałem taki zakładzik u „Adidasa". Niech pan dokładnie zanotuje: 60 osób, licząc łącznie z administracją, na jedną zmianę produkuje 2400 par butów dziennie. W Nowym Targu trzeba by w tym celu zatrudnić trzykrotnie większą załogę...

— Czy to prawda, że handlujecie również z Japonią? Czyżby również buty?

— Nie. Do Japonii sprzedajemy rocznie za sumę ponad 1,5 miliona dolarów. Ale nie buty, tylko surowe skóry końskie. Naprawdę można z nich cudeńka produkować. My zresztą też powoli zaczynamy przełamywać niechęć do tego surowca w kraju.

— No a handel z krajami arabskimi? Jacy to są kontrahenci?

— Odpowiem krótko: handel z nimi obarczony jest zawsze dużym ryzykiem... Znam wielu dostawców, którzy latami czekają na uregulowanie spraw finansowych.

— Czy w tym roku „Skórimpex" zaproponuje coś nowego swoim stałym odbiorcom? A może zaryzykuje „skok" na nowe rynki?

— Myślę, że nie czas teraz eksperymentować z nowymi rynkami zbytu, raczej starać się bardziej kompleksowo obsłużyć te już znane od wielu lat. Chcemy rzeczywiście stworzyć generalnie bogatszą ofertę, sugerując w tym roku po raz pierwszy w dużym wyborze wyroby galanterii skórzanej, przede wszystkim rozmaite teczki i torby. Od maleńkich, wizytowych do podróżnych włącznie.

— Jaką odzież skórzaną i futrzaną sprzedaje „Skórimpex"? I gdzie najwięcej?

— Rynki tradycyjne już dla nas: Wielka Brytania, RFN, Włochy, Szwajcaria, Norwegia. Są to głównie typowe kożuchy ze skór baranich, różnego typu kurtki, płaszcze skórzane, futra oraz odzież: marynarki, spodnie. Pewną ciekawostką są zapewne skórzane kombinezony motocyklowe, które wraz z wysokimi butami sprzedawaliśmy do RFN. Bardzo wysokie opłaty ubezpieczeniowe za jazdę tymi bolidami odbiły się co prawda i na naszej ofercie.

— Panie dyrektorze, spróbujmy podać Czytelnikom najwyższą i najniższą cenę uzyskiwaną przez firmę za obuwie.

— Średnio otrzymujemy około 7 dolarów. A najdroższe? Chyba damskie kozaczki, za które dostaliśmy po prawie 19 dolarów. Najtańsze — to rzecz jasna wspomniane już dziś sandały. Cena — 4 dolary.

— Wiem, że sprzedajecie i to w sporych ilościach „futro z metra", czyli skóry zwierząt futerkowych. Bardziej się opłaca niż gotowe futerko?

— Czasem bardziej. Za srebrnego lisa dostajemy na aukcjach w Londynie czy Kopenhadze po 200 dolarów (rocznie sprzedajemy lisów za 30 milionów dolarów...). A futerko? Wie pan jaka jest stara kuśnierska miara? Powinno ważyć 2,5—3 kilogramy i bez kłopotów mieścić się w podróżnej walizeczce. Bardzo ważny jest także dobór skór na futro, no i oczywiście krój. To nie jest regułą, ale czasem lepiej sprzedać jak pan powiedział „futro z metra".

— Nie powiedzieliśmy jeszcze dziś o wielu sprawach: o kulturze noszenia obuwia (to jak z chlebem: wszyscy wiedzą jak go upiec, ale kupujemy i tak zakalec...), o coraz potężniejszym na światowych rynkach konkurencie, jakim są Chińczycy, nie stało nawet czasu na bliższe porównania z przemysłem skórzanym Węgier, Czechosłowacji czy NRD. Niech mi pan jednak powie na zakończenie: jaka jest podstawowa przeszkoda, uniemożliwiająca tak doświadczonym handlowcom jak specjaliści ze „Skórimpexu" radykalne zwiększenie eksportu?

— Pewnie pana zaskoczę: wyrwanie towaru od producenta.

— Nie jakość? Nie długie terminy?

— To są sprawy dalsze. Ale tylko wieloletnie, precyzyjne umowy z producentem mogą zapewnić przedsiębiorstwom handlu zagranicznego ową „masę towarową".

— Marzenie dyrektora: mieć towar w dużo większej ilości. A ze sprzedażą nie będzie kłopotów?

— Zapewniam: — nie będzie!...

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Miasto czeka kolejny wydatek: budowa nowego źródła ciepła. Te, które pracują: EC I, II, III i IV wprawdzie pokrywają zapotrzebowanie na energię cieplną, ale już niedługo nie będą wystarczały, Łódź rozwija się i rozrasta, przybywa domów.

Rura czy reaktor?

ZOFIA KĘDZIORA

Z roku na rok poprawia się u nas powietrze. W 1975 aż na 49 procentach ówczesnego obszaru miasta była przekroczona norma opadu pyłu, a w 1986 r. strefa ta zmalała do 12 procent (te dwanaście procent to głównie Śródmieście zapylone przez EC I). Również bardzo zmniejszyła się zawartość w powietrzu tak szkodliwych dla zdrowia związków siarki. W roku 1975 na ponad 22 proc. powierzchni miasta przekroczono określone przez normę roczne stężenie dwutlenku siarki, a już od 1980 r. ani w mieście, ani w województwie nie notuje się stężeń przekraczających normę. Jest to wynik zdecydowanej realizacji planu centralnego zaopatrywania miasta w ciepło.

Jednak teraz, z punktu widzenia ochrony środowiska zbliża się dla Łodzi niebezpieczny okres. W zachodniej części miasta jest wiele uzbrojonych (brakuje im tylko ciepła), doskonale nadających się pod zabudowę terenów budowlanych. Jeżeli w najbliższym czasie nie zostanie rozwiązany problem zapewnienia w tamtym rejonie ciepła, nowo wznoszone osiedla będą musiały być wyposażane w lokalne kotłownie i wrócimy w ten sposób do lat sześćdziesiątych. Ta sprawa wymaga rozwiązania, a im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

NA CO SIĘ ZDECYDOWAĆ?

We wczesnych latach siedemdziesiątych została opracowana dla Łodzi koncepcja centralnego zaopatrywania jej w ciepło. Według tej koncepcji, miasto miało otrzymywać energię cieplną z czterech źródeł, z istniejących już EC II, III i IV oraz ze zrealizowanej w przyszłości ECV. Jednocześnie przewidywano likwidację przestarzałej EC I i wszystkich drobnych, małych i średnich kominów. Jest oczywiste, że jeżeli zamiast kilkudziesięciu drobnych, pracuje jedno duże źródło, łatwiej jest je kontrolować i zaopatrzyć w nowoczesne urządzenia zatrzymujące produkty spalania węgla.

Najbardziej uciążliwe są dla mieszkańców dwa rodzaje zanieczyszczeń, pyły oraz dwutlenek siarki. Pyły, przy sprawnie działających elektrofiltrach prawie wcale nie powinny dostawać się do atmosfery, bo sprawność tych urządzeń może dochodzić do 98 proc. W łódzkich elektrociepłowniach jest z tym różnie, raz lepiej, raz gorzej W EC IV i III sprawność elektrofiltrów dochodzi do 96 proc., ale w EC II, gdzie urządzenia nie były remontowane od 1953 roku, spadła do 60 proc.

W kraju dwutlenku węgla pozbywamy się jedynie przez wyrzucanie go na bardzo dużą wysokość W górnych partiach atmosfery ulega rozproszeniu, a ta część, która opadnie na ziemię nie powinna przekraczać dopuszczalnych norm stężenia tej szkodliwej substancji, promień rozrzutu w niektórych przypadkach może dochodzić nawet do 1000 km.

W dużym, centralnym źródle ciepła jest wygodniej sprostać wymaganiom ochrony środowiska, można zaopatrzyć je w potężne elektrofiltry i bardzo wysoki komin.

We wspomnianej już koncepcji z wczesnych lat 70 skłaniano się raczej ku budowie EC V. Jest już nawet projekt jej lokalizacji na dalekiej Retkini. Mieszkańcy tamtego rejonu protestują, bo obawiają się zbyt wielkiego zapylenia i zanieczyszczenia powietrza. Wskazują, że na zachodnich krańcach Łodzi jest sporo terenów rolniczych, a ponieważ na ogół wieją wiatry zachodnie, jest to jakby naturalne przewietrzenie miasta. Przeciwnicy EC V mówią, że cała Łódź byłaby skazana na zanieczyszczenia z tej elektrociepłowni. To bardzo poważny zarzut, ale specjaliści twierdzą, że nie może być błędniejszej opinii. Z punktu widzenia ochrony środowiska, elektrociepłownia nie jest uciążliwa dla mieszkańców w miejscu jej lokalizacji, jeżeli tylko jej elektrofiltry są sprawne. Poza tym dzięki wysokiemu kominowi promień rozrzutu może być tak wielki, że pyły opadną na przykład aż.. w Koluszkach. Ma mieć również EC V zapewnioną strefę ochronną, w której nie wolno budować nic, co związane jest ze stałym pobytem człowieka.

Nie bardzo jeszcze wiadomo, jak uporać się z popiołem. W takiej dużej elektrociepłowni, jaką byłaby EC V zużywa się 3-4 tysiące ton węgla dziennie Gdy jest on kiepskiego gatunku, po spaleniu pozostaje nawet około tysiąca ton popiołu dziennie. Można wywozić go do Bełchatowa, ale wiąże się to z rozwinięciem potężnego transportu, lub można go składać, a to z kolei wymaga znalezienia odpowiednich terenów i zapewnienia im strefy ochronnej.

Jest też inny poważny argument, który budowę jeszcze jednej elektrociepłowni w Łodzi stawia pod znakiem zapytania. Już teraz nie bardzo wystarcza węgla, a nie przewiduje się, abyśmy w przyszłości otrzymywali go znacznie więcej. Nasuwa się więc pytanie, czy w sytuacji, gdy brakuje węgla słuszne jest budowanie źródła ciepła, które byłoby w tak dużym stopniu uzależnione od dostaw węgla ze Śląska.

CZY RURA Z BEŁCHATOWA?

Tymczasem zrodził się pomysł sprowadzania ciepła z Bełchatowa. Ta koncepcja wydaje się godna zastanowienia. Jej zwolennicy mówią, że powinniśmy wykorzystać fakt, że tak blisko Łodzi są duże złoża węgla brunatnego. Wymagałoby to jednak budowy na odcinku ponad 60 kilometrów dwóch, równolegle biegnących rurociągów i wiązałoby się z niezliczoną ilością problemów. Na taki obiekt trzeba przeznaczyć ponad 200 hektarów, a jak się wstępnie szacuje około 40 proc. byłyby to użytki rolne. Poza tym, jak zwykle w takich wypadkach sprawy wywłaszczeniowe są skomplikowane i bardzo długo się ciągną. Wybór tego rozwiązania wymaga zaprojektowania w Bełchatowie urządzeń, które pozwolą na przesyłanie energii cieplnej na taką dużą odległość oraz opracowania sposobu na włączenie ciepła otrzymanego z Bełchatowa do istniejącego już w Łodzi systemu ogrzewania.

W Polsce nigdy dotąd nie przesyłano ciepła na tak znaczną odległość, toteż ewentualnych przyszłych projektantów czeka wiele kłopotów, począwszy od zastosowania nietypowych urządzeń, zagwarantowania dobrej izolacji, a na zabezpieczeniu całego systemu przed uszkodzeniami i opracowaniu awaryjnych źródeł ciepła skończywszy.

Właśnie na kwestię niezawodności systemu zwracają uwagę jego przeciwnicy. Wiadomo, że elektrociepłownie pracują raczej bezawaryjnie (niestety w przeciwieństwie do samej sieci przesyłowej), ale czy w przypadku takiego nowatorskiego rozwiązania można liczyć, że nie będzie żadnych awarii? Poza tym zapytują, czy nasz przemysł jest przygotowany na dostarczenie ogromnej ilości nietypowych elementów, tylko samych rur o średnicy ponad 1000 milimetrów potrzeba co najmniej 300 kilometrów. Najprawdopodobniej wiele z potrzebnych elementów i urządzeń musiałoby być sprowadzonych z zagranicy, co bardzo powiększyłoby koszt inwestycji.

Wielkość nakładów jest również sprawą dyskusyjną Autorzy koncepcji mówią o około 100 miliardach złotych, ale nie ma jeszcze właściwie dokładnie przeprowadzonej kalkulacji kosztów, choć wydaje się, że suma ta może być nawet większa.

Nie należy jednak sądzić, w związku z tym, że budowa EC V będzie tanią inwestycją. W obu przypadkach nakłady byłyby tak duże, że nie mogłyby powstać tylko w oparciu o fundusze miasta.

Najbardziej przemawiającym argumentem za przeprowadzeniem rury z Bełchatowa jest wykorzystanie faktu, że tak blisko Łodzi usytuowane są złoża węgla brunatnego. Jednak przeciwnicy tej budowy zastanawiają się, na jak długo wystarczą zasoby w Bełchatowie? Trzeba zatem przeprowadzić bilans, bo nie można uzależniać się od zasobów, które wkrótce mogą się wyczerpać, a nawet 50 lat w życiu milionowego miasta, to niewiele.

Każda z obu tych propozycji ma swoich zwolenników i przeciwników, a wybór będzie bardzo trudny.

Wspomina się jeszcze o innej koncepcji, aby zbudować dla Łodzi niekonwencjonalne źródła ciepła, reaktor atomowy, ale jest to na szczęście chyba rozwiązanie bardzo dalekiej przyszłości.

Na razie opracowywana jest ogólna koncepcja zaopatrzenia miasta, która określi kierunki rozwoju i sposoby rozwiązań w gospodarce cieplnej dla Łodzi Ma ona być ukończona niebawem. Dopiero po opracowaniu tej koncepcji i zgodnie z nią będzie można wybrać któreś z rozważanych źródeł ciepła

Przyszła realizacja kwalifikuje się do Planu Centralnego, toteż decyzja w sprawie wyboru koncepcji ze względu na rozmiar inwestycji najprawdopodobniej nie będzie podjęta przez władze województwa, zapadnie na wyższym szczeblu. Nie jest to jednak sprawa najbliższej przyszłości.

CZY JUŻ NIEDŁUGO ZABRAKNIE ENERGII CIEPLNEJ?

Elektrociepłownie EC II i III osiągnęły tymczasem swoją moc docelową, pewne rezerwy ma jeszcze tylko EC IV. Istnieje możliwość „przerzucenia" ciepła z EC IV do innych rejonów, które odczuwają jego brak, ale nie wydaje się, aby było to rozwiązanie słuszne. Przeprowadzenie przez miasto, wśród istniejącej już zabudowy sieci rur jest niezwykle trudne do wykonania, a poza tym operacja taka nie jest w pełni uzasadniona. Nie spowodowałaby zwiększenia możliwości ogrzewania miasta, a jedynie zmieniłaby się topografia sieci cieplnej.

Jednak, aby deficyt ciepła, który mógłby spowodować zahamowanie rozwoju miasta, nie pogłębił się, musi powstać jakieś nowe źródło ciepła. Jest to tym ważniejsze, że w niedalekiej przyszłości powinna być zlikwidowana EC I (termin jej przewidywanej likwidacji minął w 1985 roku).

Proponuje się wybudowanie ciepłowni szczytowej w Smulsku, która w przyszłości byłaby skojarzona z którymś z rozważanych projektów nowego źródła ciepła, z EC V lub z rurą z Bełchatowa.

Jeżeli projekt budowy ciepłowni szczytowej w Smulsku byłby zgodny z zatwierdzoną koncepcją zaopatrzenia miasta w energię cieplną, na ukończenie tej realizacji nie trzeba by długo czekać, bo w ciągu najbliższych 10 lat budowa ma szansę na zrealizowanie.

Ta inwestycja rozwiązałaby problem ciepła dla zachodniej części miasta na około 10 do 15 lat. Ponad 40 tysięcy mieszkań miałoby zapewnione dostawy ciepła.

Ma ta budowa jednak swoich przeciwników. Jak w przypadku projektu EC V protestują jej ewentualni przyszli sąsiedzi, mieszkańcy tego rejonu. Boją się, że sąsiedztwo nie będzie dla nich obojętne z punktu widzenia zanieczyszczeń.

Inni jej przeciwnicy mówią, że ciepłownia będzie bardzo nienowoczesnym rozwiązaniem, wyposażona w przestarzałe urządzenia. Na to z kolei odpowiadają zwolennicy budowy EC w Smulsku, że urządzenia będą takie, jakie są obecnie dostępne dla naszej energetyki, a w chwili obecnej jest to jedyna szansa zapewnienia ciepła dla tego rejonu, a alternatywy dla tej budowy właściwie nie ma.

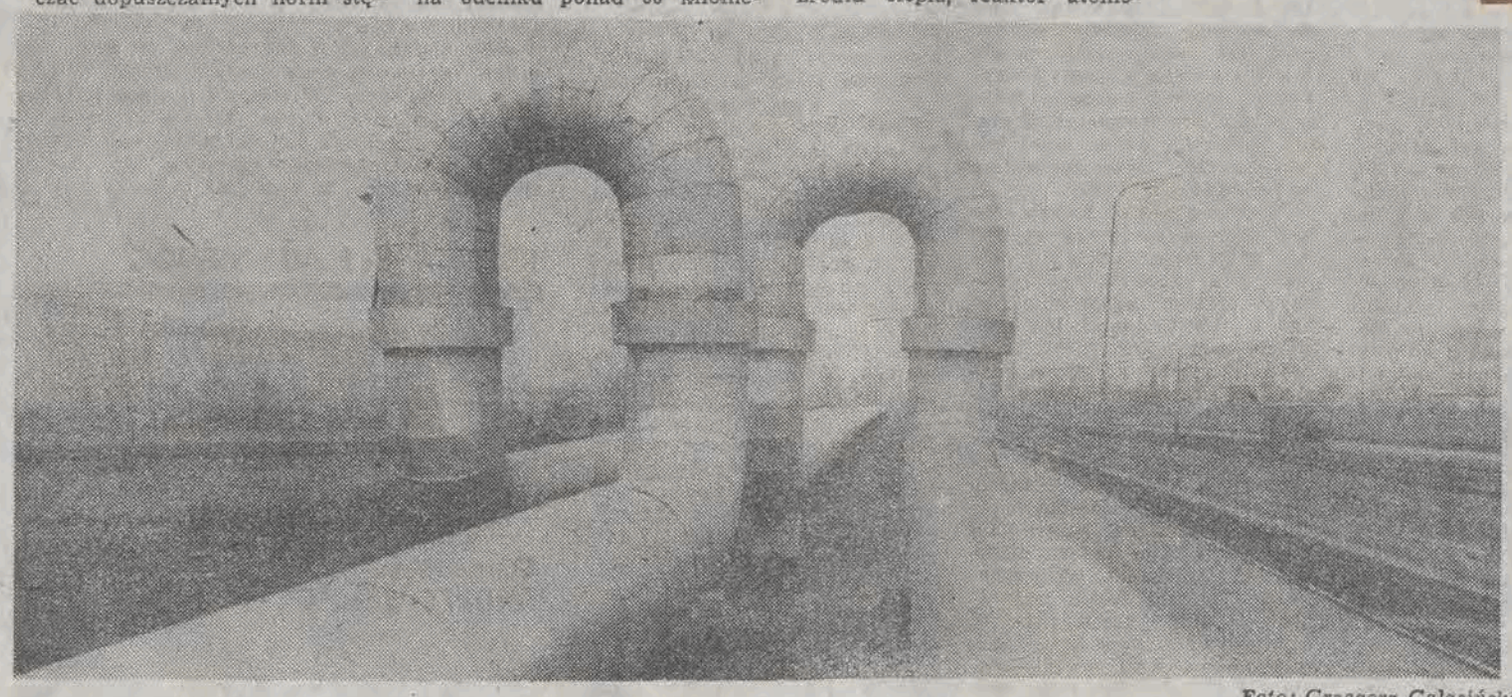

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mówi: Jerzy Wilmański

— Powiedziałeś przed laty, że chciałbyś aby każdy, kto w przyszłości będzie pisać o Łodzi, wpierw sprawdzał, jak ty pisałeś na ten sam temat?

— Tak powiedziałem? Nie pamiętam. Chciałbym jednak, by tak było Łódź ma bardzo bogatą historię i bardzo ciekawą. Ale wszystko to jest niesłychnie rozproszone po dziesiątkach różnych niskonakładowych, mało znanych publikacji: po jakichś pracach polonistycznych, rocznikach łódzkich itd. Dlatego marzyła mi się i marzy taka rzecz jak warszawska „Biblioteka Syrenki", która ukazuje się od dziesiątków lat, a która to seria jest kompendium wiedzy o tym mieście. Natomiast ja jestem zaledwie szperaczem.

— Jesteś znawcą Łodzi czy jedynie trminatorem w tym fachu?

— Niemożliwością jest wiedzieć o tym mieście wszystkiego.

— Ale to ty przygotowałeś dla KAW antologię „Sto lat satyry w Łodzi" a teraz wyszukujesz teksty dla antologii felietonu o Łodzi...

— Szperając w wydawnictwach archiwalnych po prostu się uczę. I na tym polega przyjemność tej pracy, ta frajda, kiedy odkrywam dla siebie rzeczy nie znane, zapomniane przez nasze pokolenie fakty.

— Każdy z nas ma jakieś hobby. Jakie jest twoje?

— Odpowiadam najuczciwiej jak mogę: moim hobby jest moja praca. Oczywiście taka odpowiedź w tym kraju musi wzbudzić nie tylko niewiarę, ale sensację lub wręcz śmiech. Przecież mało kto w to uwierzy. U nas ludzie chcieliby robić z reguły coś innego niż robią: panienka na poczcie chciałaby zostać aktorką, kierowca autobusu — biznesmenem i playboyem, wozak — ambasadorem itp. Mimo to ludzie mało robią w tym kierunku, aby to swoje życie zmienić, ubarwić, odbanalizować. Umieją tylko narzekać.

— Biadolenie ich oczyszcza, we własnych oczach stają się szlachetniejsi, godni podziwu i lepszego losu...

— Badania wykazały, że 80 proc. ludzi zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej jest niezadowolonych ze swojego statusu. Więc jacy to muszą być pracownicy, skoro szlag ich trafia na samą myśl o tej swojej pracy? Ja znajduję się na szczęście w tych pozostałych 20 procentach

— Twoje hobby, podobnie jak miłość, niejedno ma imię: poeta, prozaik, tłumacz, autor scenariuszy radiowych, redaktor audycji, publicysta...

— Wszystko to sprowadza się do jednego: do pracy pisarskiej.

— Inna jest praca kiedy piszesz wiersz, a inna, kiedy felieton polityczny.

— To jest tak samo jak z aktorem: raz gra w filmie, raz w tv, w radio, a najczęściej w teatrze. I jego odpowiedzialność rozkłada się inaczej.

— Ale raz wypowiadasz się jako liryk, a innym razem jako homo politicus...

— Oczywiście Zdaję sobie sprawę z faktu, że ktoś, kto zaakceptował mój wiersz, nie musi zgadzać się z moim stanowiskiem zawartym w felietonie i, że to może odbić się negatywnie na jego stosunku do mnie. Ale takie ryzyko niemal co dzień podejmuje każdy z nas.

— Ile dostałeś listów dotyczących twoich wierszy?

— W ciągu tych 30 lat — kilkanaście.

— A po ukazaniu się felietonów?

— Kilkaset, a może i więcej.

— Skąd rodzi się przekonanie, że szerzej jesteś znany jako człowiek publicznej wypowiedzi.

— To zrozumiałe. Książka poetycka wychodzi w nakładzie 1 tys. egz., a „Głos Robotniczy", gdzie drukuję felietony, w nakładzie ponad półmilionowym.

— Jak myślisz, którymi drzwiami uda ci się wejść do historii: tymi z napisem „Poezja" czy tymi z napisem „Felieton"?

— Tego w swojej pracy nie biorę pod uwagę. Owszem, zapisuję w jakiś tam sposób swój ślad, ale nie robię tego z perfidną świadomością, że czeka na mnie miejsce w „Encyklopedii Powszechnej".

— Kim chciałeś zostać w młodości?

— Nie pamiętam, ażebym chciał być strażakiem czy żołnierzem. Wiersze zacząłem pisać mając ileś tam lat. Kiedy w 1942 r. przyszli do naszego domu Niemcy, zabrali wszystkie książki, ja ukryłem jakoś dwie: Orzeszkowej „Gloria victis" oraz Słońskiego „W więzieniu". I czytałem je potem na okrągło. Wojna też sprawiła, że po jej zakończeniu rzuciłem się na książki i czytałem je bez żadnej selekcji i kultury literackiej. Od Maxa Branda po Boya-Żeleńskiego.

— A jak twoją przyszłość widzieli rodzice?

— Byli niesłychanie liberalni i żadnych nacisków nie czynili, pozostawiając nam, tj. mnie i bratu, wybór.

— Mając taką swobodę zapewne dość szybko zwróciłeś uwagę na płeć piękną?

— O, tak. Najpierw poprzez lekturę, później bezpośrednio. Otóż Panu Bogu jedna rzecz całkiem się nie udała: to starość, natomiast druga wyszła znakomicie: to kobieta.

— Czy kobiety miały wpływ na twoje życie?

— Starałem się, by miały jak najmniejszy. Ożeniłem się mając 21 lat i do dziś nie uległem modzie, to znaczy nie mam ani drugiej ani czwartej żony, co świadczy, że istotnie Panu Bogu udały się kobiety, a jednym z egzemplarzy jest moja żona.

— Masz dwóch synów, czy któryś odziedziczył po tobie talent poetycki? Teraz jest moda by talent, podobnie jak koronę przekazywać bliższej i dalszej rodzinie.

— Maciek, co prawda, debiutował wierszem w „Odgłosach", ale interesuje go raczej historia, natomiast Kuba ma zainteresowania techniczne.

— A wnuczek?

— Ma dopiero 3 lata i bardzo lubi malować. Ale to taki wiek.

— Krążą pogłoski, że jesteś świetnym kucharzem...

— W „Przekroju" u Kalkowskiego publikowałem wiele swoich przepisów kulinarnych. W roku 1946 byłem na prawdziwym jeszcze obozie harcerskim, gdzie komendantem było Jasio Machulski i tam nauczyłem się gotować.

— Przepis potrawy à la Jerzy Wilmański?

— Trudno przypinać się do jakiejś potrawy, bo może ktoś gdzieś także ją wymyślił Podam przepis na jajko w pomidorze. Otóż bierze się duży pomidor, skrawa się go z góry, wyjmuje miąższ, do pustego środka wsypuje się do smaku sól i pieprz, wrzuca się grzybek marynowany. Następnie wbija się jajko i przykrywa otwór owym odciętym ścinkiem. Z wyjętego miąższu robi się sos. Pomidor wkłada się do rondelka, wlewa się sos i rondelek wstawia się do piekarnika. Kiedy jajko ugotuje się na twardo wyjmujemy i można jeść. Jest to efektowna i smaczna potrawa.

— A potrafisz przyrządzić nalewki, koktajle itp.?

— Oczywiście.

— A co winien pić prawdziwy mężczyzna?

— Prawdziwy mężczyzna pije wódkę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Dariusz Muszer

Pomylony akordeon

Na godzinę przed rozpoczęciem zawiadamiał
wszystkich
burza będzie: krzyczał
będzie: krzyczał: lało, kryć się, ludzie, kryć się:
krzyczał akordeonem na całą szerokość miecha
To nie wiatr napędzał chmury
rozmawiał z aniołami
trzymającymi w dłoniach obsikane członki
pieścił liście zielonożółtych lip, kwiatami
fruwał
miał te maje, te czerwce i lipce
kiedy wypuszczali go na wakacje
aby poznał gdzie jest lepiej
i aby wrócił jak złamany manekin:
jeszcze bardziej chory
coraz więcej przerażony skrzywieniem własnej
twarzy
To nie wiatr zbierał się powietrzem
pytał o pierwszą drogę przetartą wiosną
kłaniał się dostojnym łapom kruków
kupował i gromadził pioruny na wielki pokaz
ogni
na strach, na powrót, na oczekiwanie
To nie wiatr
Tylko dźwięki la paloma adieu
z akordeonu starego idioty
który zawsze wiedział
że za godzinę musi spaść deszcz
że za godzinę rozpocznie się wielkie całowanie
ziemi z niebem

Psy białej Gabrieli

Chyba nie powinna mieć żadnych szans
czterech ich było silnych i mocnych

Prawie szaro przy nasypie kolejowm
w oddali ostatnia łąka pasła krowę

Błyszczał prywatny staw z karpiami
Tylko raz zdążyli pogrozić jej żyletką i pięścią

Położyła się pod wierzbą i zamknęła oczy
Niepotrzebna była jej sukienka niepotrzebne
wszystko

Biała Gabriela czekała na strącenie
I zaczęli ujadać zimnymi ogonami wiatru

Przejechał piętrowy pociąg parowóz dymił
Cztery razy ani razu nie krzyknęła

Może chciała podnieść ręce i przytulić kochanka
może chciała inaczej już nie zdążyła

Odeszli przed zmrokiem została brudna łąka
wspomnienie dziewczyny o pokalanym poczęciu

A oszczeniła się normalnie i w czasie
i bez kłopotów jak człowiek

Dyptyk czterech kamieniczek z postacią

Kamieniczki, co z brązu plamią się pędziem
w brąz
z siności w obramowaną szarość
w twoim wzroku zmieniają się w kolorową
szachownicę z okapami

Tylko czerń wciąż taka sama
Jej już nie można przeczarować
gdyż jest jedynym zmęczeniem
do którego dążą wszystkie kolory
Bo nieprawda, że chcą pozostać rozproszeniem
w zawieszonej na ocynkowanej rynnie kropli
deszczu
Jest pokrywką zamykającą garnek tęczy

A wszystko inne niech już będzie zamazane
(Kilka smug dłuższych niż uśmiech uderzonej
ściany)
Nie poprawione zieloną ręką pośpiechu jednej
nocy
na której farba nie zdążyła przyschnąć

Ten różowy mężczyzna z zaostrzonym uchem
wskazany wężem strzałki jak zasadzka w
dziecięcej zabawie
ciągle niepotrzebnie stoi chmurą u wezgłowia
ulicy

Jak to dobrze, Bezymiuszu, że wtedy nie
potrafiłeś
namalować mu twarzy

Zdzisław Głowacki (1919 - 1987)

Nie pamiętam, który to był rok. Pamiętam, że pracowałem wówczas w dziale miejskim „Głosu Robotniczego" i robiłem krótkie wywiady z różnymi ludźmi. Nie pamiętam również, jak to się stało, że postanowiłem zrobić wywiad ze Zdzisławem Głowackim. Pamiętam natomiast, że był letni wieczór i drapałem się schodami pod sam dach bloku przy ulicy Obrońców Stalingradu, gdzie Zdzisław Głowacki miał ogromną pracownię. W tej to pracowni przy butelce koniaku spędziliśmy kilka godzin rozmawiając o różnych funkcjach sztuki. Pamiętam też, że zrobiła na mnie duże wrażenie wiadomość, że „Olivetti" wybudował — w którymś z włoskich miast, ale nie pamiętam w którym — duże kino, gdzie w holu, w szklanej gablocie, stała maszyna do pisania firmy „Olivetti". I każdy, kto przychodził do tego kina zapamiętywał na zawsze, że maszyny firmy „Olivetti" muszą być najlepsze na świecie, skoro ich producenta stać na wybudowanie takiego kina. Było też o tym w wywiadzie, który ukazał się w „Głosie Robotniczym".

Wiele jeszcze razy spotykaliśmy się ze Zdzisławem Głowackim przy różnych okazjach, zdarzało się i przy stole czymś tam zastawionym, i przy barze w „Klubie Dziennikarza", i na akademiach ku czci, i na wystawach, i w Muzeum Sztuki, a także na posiedzeniach plenarnych łódzkiej instancji i innych naradach. Zdzisław Głowacki był bowiem nie tylko cenionym malarzem, ale i działaczem politycznym, z którego uwagami i opiniami, a także i pomysłami liczono się i ceniono je O tym zresztą napisano w oficjalnych nekrologach.

Zdzisław Głowacki kilka razy wystawiał swoje obrazy w Klubie Dziennikarza. Pamiętam jego obrazy taszystowskie. Wzbudziły one liczne dyskusje, a nawet manifestację. Jeśli ktoś pamięta tę wystawę, to będzie wiedział, że Zdzisław Głowacki drapował na płótnie różnego rodzaju tkaniny, które pokrywał farbą, otrzymując zadziwiający układ materii i kolorowych plam. Było to interesujące, ale ludzie przywykli do malarstwa przedstawiającego, niekoniecznie realistycznego, nie mogli pogodzić się z tą formą sztuki malarskiej. Wtedy to właśnie zademonstrował w dowcipny, ale i złośliwy sposób Piotr Goszczyński. Poszedł mianowicie do warsztatu samochodowego RSW, mieszczącego się w tym samym budynku, w którym do dziś jest jeszcze Klub Dziennikarza, wziął deseczkę, rozłożył na niej pakuły i opryskiwał je obficie różnokolorowymi lakierami. Powstała nawet nieoczekiwanie ładna kompozycja, którą wystawił na stoliku pod ścianą Klubu z napisem: „Wystawa jednego obrazu — Piotr Goszczyński". Fakt ten Grzegorz Przysiężny — ówcześnie korespondent łódzki „Sztandaru Młodych" — odnotował w tej gazecie, co nabrało wymiaru ogólnopolskiego. Zdzisław Głowacki nie obraził się, przeciwnie — bawił się z nami wszystkimi i Piotrowi Goszczyńskiemu gratulował pomysłu i dowcipu.

Pozostawił po sobie wiele różnych obrazów i wiele wspomnień. Pozostawił galerię zasłużonych łodzian, która znajduje się w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Był rektorem, profesorem PWSSP i I sekretarzem tamtejszej organizacji partyjnej. Ostatnio był dziekanem Wydziału Wychowania Plastycznego PWSSP. Nieco wcześniej założył „Grupę Siedmiu". Była to grupa malarzy, rzeźbiarzy i grafików, których łączyły wspólne poglądy na sztukę, wspólne poglądy ideowe.

Po powstaniu „Grupy Siedmiu" odwiedził „Odgłosy", szukając najskuteczniejszej formy popularyzacji jej twórczości. Wystawiała ta grupa w Klubie Dziennikarza, a był to czas, gdy wielu artystów boczyło się na rzeczywistość, udawało, że jej nie ma, usiłowało swoją postawę polityczną demonstrować swoją absencją w oficjalnych środkach przekazu. Wystawianie wtedy w Klubie Dziennikarza wymagało sporo odwagi. A odwagi Zdzisławowi Głowackiemu nigdy nie brakowało.

Był rok 1985. Maj. Wtedy po raz pierwszy „Odgłosy" przyznały nagrodę za upowszechnianie kultury. Pierwszym laureatem został Antoni Szram. Oficjalna uroczystość odbyła się na XII piętrze wieżowca — zaczątku Centrum Prasowo-Telewizyjnego. Wśród gości zaproszonych był Zdzisław Głowacki. Wymieniano różne poglądy. Już w skromniejszym gronie udaliśmy się na XIII piętro. Wtedy właśnie Feridun Erol, sławiąc osiągnięcia Antoniego Szrama, mówił o potrzebie szerokiego, europejskiego widzenia problemów kultury, żebyśmy nie zakwaśli się we własnym sosie. Odpowiedział mu pięknie Zdzisław Głowacki. Mówił o robotniczym rodowodzie kultury w Łodzi i potrzebie trzymania się tych korzeni. Wszystko, co się odrywa od korzeni, co traci kontakt z rodzimą glebą skazane jest na uwiąd, chociaż może przez moment nawet pięknie rozkwitnąć. Wszyscy słuchali w skupieniu.

Później już widywaliśmy się przelotnie. Jakiś serdeczny uścisk dłoni, kilka zdawkowych słów. Każdy szedł do własnych spraw, czymś był zajęty, zaabsorbowany. I wreszcie ta wstrząsająca wiadomość: — Umarł Zdzisław Głowacki! Nie uwierzyłem. Kazałem jeszcze raz sobie to powtórzyć. Kiedy? Gdzie? Dlaczego?

— Ano serce nie wytrzymało!

Pozostał już tylko w swych dziełach i w naszej pamięci.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W poszukiwaniu czwartego wymiaru

Z okna domu w pewnym mieście w Pensylwanii mały chłopiec obserwował akrobatyczne popisy swego wuja pilotującego samolot. Stało się to jednym z najważniejszych wspomnień jego dzieciństwa. Później chłopiec ów wyrósł, skończył szkołę i rozpoczął studia ekonomiczne. Miał być agentem ubezpieczeniowym. Szybko jednak okazało się, że nie czuje powołania do tej pracy i zamiast sprzedawać polisy spędza czas na rysowaniu. Chłopiec ten nazywał się Steve Poleskie.

Młody człowiek zostaje projektantem grafiki użytkowej. Wkrótce przenosi się do Nowego Jorku, gdzie studiuje na wydziale malarstwa w New School. Zainteresowany serigrafią, sam tworząc w tej technice, zakłada pierwszą w tym mieście pracownię druków serigraficznych Chiron Press, z której korzystają najwybitniejsi artyści spod znaku pop-artu. W 1968 roku porzuca owo atelier i zostaje wykładowcą wydziału sztuk pięknych w Cornell University w mieście Ithaca. Po barwnym życiu w Nowym Jorku Ithaca wydaje mu się nieco nudna, więc na miejscowym lotnisku rozpoczyna naukę pilotażu. Pociągają go loty akrobatyczne. Wkrótce osiąga liczne sukcesy sportowe, z międzynarodowym mistrzostwem Kanady w 1977 roku włącznie. W tym czasie zaczyna organizować oryginalne pokazy — często z udziałem muzyki i tancerzy, podczas których wykonując akrobacje na swym samolocie, przy pomocy specjalnie do tego celu skonstruowanego urządzenia rysuje dymem na niebie białą linię. Tym samym staje się twórcą tak zwanej „sztuki nieba", które to pojęcie pojawiło się w owych latach obok innych zjawisk sztuki ekologicznej, takich jak sztuka ziemi czy wody.

„Gdy usiadłem za sterem samolotu, moje poczucie przestrzeni zostało zburzone" — powiedział Steve Poleskie podczas spotkania z dziennikarzami, poprzedzającego wernisaż jego prac w łódzkim Muzeum Sztuki. Z wysokości samolotu artysta odkrył bowiem nowe widzenie ziemi, horyzontu, przedmiotu. To nowe poczucie przestrzeni, dynamicznej i niejednorodnej, znalazło swój wyraz w jego sztuce nieba — w „performances", w których komponuje obraz za pomocą smugi dymu wydostającego się z lecącego samolotu.

Znak pozostawiany na niebie przez samolot, inaczej widziany jest z dołu, a inaczej przez tworzącego go artystę-pilota, dla którego jest tylko pewnego rodzaju odczuciem. Biała wstęga dymu oglądana z ziemi i jej odczucie przez człowieka, który ją tworzy, powstaje w czasie co chwila przybierając nowy, zmieniający się i nietrwały kształt. W ten sposób dzieło artysty uzyskuje czwarty wymiar. Spełniają się tu wizje włoskich futurystów, którzy pisali niegdyś: *„Ostatecznie więc ów czwarty wymiar to nic innego jak identyfikacja przedmiotu i podmiotu, czasu i przestrzeni, materii i energii. Paralelności „kontinuum fizycznego", które dla geometry są tylko hipotezą, urzeczywistniają się w cudzie sztuki".*

Mówiąc o sztuce Steve'a Poleskiego nie sposób nie wspomnieć o jej związkach z futuryzmem. Dla twórców tego kierunku główne zagadnienie stanowił problem ruchu. Ich koncepcja zamknięcia ruchu w obrazie, rozwinięta przez konstruktywistów w rzeźbach kinetycznych, w których wprowadzony został ruch rzeczywisty, uzyskuje swą pełnię w powietrznych akcjach Poleskiego. Wizje futurystów zapowiadające zjawiska, które pojawić się miały w sztuce dopiero kilkadziesiąt lat później, zdumiewają dziś zresztą swoją trafnością. W 1911 roku Boccioni przewidywał: *„Nadejdzie dzień, kiedy obraz nam już nie wystarczy (...). Odłożymy na stronę płótna i pędzle. Zaproponujemy światu na miejsce obrazów olbrzymie, efemeryczne malowidła utworzone ze świetlistych barw elektroreflektorów i kolorowego gazu. Wiązki, spirale i sieci tych kolorów, zharmonizowane na firmamencie, napełnią entuzjazmem zawiłą duszę mas przyszłości".*

W eksperymentach Steve'a Poleskiego jest bardzo dużo entuzjazmu, który udziela się widzom. Ta jakże ulotna — w dosłownym znaczeniu — twórczość pełna jest radości i swoistej harmonii. Jest to sztuka, w której dostrzec można charakter ludyczny, a jednocześnie sentymentalna i romantyczna przez swe wzbijanie się w niebo. Jest przy tym śmiała, pełna rozmachu i ekspresji. Wyraża możliwości człowieka, a zarazem chyli czoła przed nieskończonością przestrzeni i czasu.

Zarejestrowane przy pomocy sprzętu video „performances" Steve'a Poleskiego oglądać można na trwającej do 9 kwietnia wystawie w Muzeum Sztuki.

Lecz jest Steve Poleskie także grafikiem, i to grafikiem o wielkiej kulturze artystycznej, świetnym wyczuciu barwy, eleganckim w finezyjnej prostocie swoich dzieł. 45 jego prac pokazanych jest na tejże wystawie. Artysta ofiarował je wszystkie łódzkiemu muzeum, by w ten sposób uczcić pamięć swego dziadka Melchiora Chludzińskiego, który w 1917 roku wyemigrował spod Łomży do Ameryki, gdzie pracował jako górnik w Pensylwanii.

Część tych grafik to pejzaże, ujęte lapidarnie i oszczędnie, zredukowane do paru, czy dwóch nawet barwnych plam o liniach delikatnie sugerujących fragment krajobrazu. W innych znajduje odbicie fascynacja nowym widzeniem przestrzeni, związanym z powietrznymi lotami. Pojawiają się w nich samoloty, wielobarwne, ulatujące w przestrzeń pstrymi stadami.

W twórczości Poleskiego więcej jest radości tworzenia, więcej dostrzeżenia urody świata niż głębokiego, intelektualnego przesłania. Czy to wystarczy, aby sztuka ta się obroniła? Jak zwykle zweryfikuje ją czas...

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

STAROPOLSKI KRYTYK PRÓŻNIACTWA

Ksiądz Benedykt Chmielowski znany jest jako autor osławionej encyklopedii „Nowe Ateny albo Akademia wszelkich sciencji pełna (...) mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana". Pracowity dziekan rohatyński był zaciętym wrogiem rozwielmożnionego w Rzeczypospolitej próżniactwa. W obydwu różniących się treściowo wydaniach poczytnej w czasach saskich księgi zalecał wcielanie zdrowych i silnych włóczęgów po prostu do służby wojskowej („drabów zdrowych, biegusów, żebraków, od tryszaków do kozaków, od kralek i lalek do walek, od kosztur ów do frejkurów aplikować"). W następnym wydaniu encyklopedii (Lwów 1755) pomstował na próżniaków w taki oto sposób:

Próżniakom w rzeczpospolitych nie masz miejsca, ponieważ próżnowanie wezgłowiem jest diabła, tumultów matką, sił utratą, bo żelazo rdza, a ludzi próżnowanie osłabia. Wyjadają te trutnie albo trzmiele słodycz (przeznaczoną) dla gorzko pracujących: gotują gęby te wróble na gotową pszenicę. U Spartańczyków obrzydzeni (byli) próżniacy i do kompanii nie mieli żadnego przystępu, jak trędowaci. Starych i młodych nie chcieli widzieć próżniaków Rzymianie póty chwalebni, póki młodych wagusów nie widzieli po rynkach. Za Marka Aureliusza do publicznych prac brano, których widziano bez cechy swojej profesji. Drako, prawodawca w Atenach, smokiem był na próżniaków, prawem swoim każąc zabijać tę zakałę rzeczypospolitej. Cyganów czarnych trzeba często prać, że się nie mają do prac, chcą darmo brać. Drabów, zdrowych żebraków, od biesagów (mieszków) do patrontaszów, od kosturów do flint i do pików aplikować, by darmo chleba nie zjadali, cudzych psów nie drażnili, z babami nie wojowali.

O STAŃCZYKU

Na dworze Zygmunta Augusta był trefniś zwany Stańczyk. Król obrażony jego żartami nie wyznaczył dla niego w końcu roku podarunku, zwykle składającego się z kilku par drogich żupanów i kontuszów. Gdy więc panowie winszują nowego roku królowi, żartowniś ciągle smutny, ustawicznie wzdycha. Pytają go o przyczynę niektórzy senatorowie, a on cicho, wszakże tak, żeby król słyszał, odpowie:

— *U mnie rok nienowy, bo suknie nienowe.*

Tak śmiałe przymówienie się rozweseliło króla i zamierzony cel otrzymało.

Tenże Stańczyk królowi wyprawiającemu wojsko mniej ostrożnie, powiedział:

— *Miłościwy Panie, pomyśleć by dłużej o tej wyprawie należało i poradzić się pierwej Q troistego: que, qua, quomodo (dokąd, którędy i jakim sposobem).*

Kurier Warszawski 1827 nr 238.

SPOTKANIE Z SUŁTANEM

Pan Nicefor długi lat szereg włóczył się po świecie. Co go z kraju wyrzuciło za słupy graniczne? Mniejsza o to. Dość, że wróciwszy na rodzinny zagon, mógł sto dni i sto nocy bez przerwy opowiadać o swoich nadzwyczajnych przejściach.

Lubił jednak bardzo... „haftować", jak się delikatnie wyrażali jego słuchacze, choć gorzej wychowani nazywali ten „haft" krótko i węzłowato łgarstwem.

Niezwykle czułe stosunki łączyły go z panującymi starego i nowego kontynentu. Napoleonowi III na bilecie wizytowym kreślił rady i wskazówki, jak ma postępować z Polską; komuś tam innemu mowę tronową napisał; z książątkami Rzeszy niemieckiej, „co to, mości dobrodzieju, mają takie państewka, że skoro na jednym ich krańcu kichniesz po szlachecku, z drugiego wołają chórem: „na zdrowie!" był „na ty a ty". Najserdeczniejsze atoli węzły łączyły pana Nicefora... z sułtanem tureckim. I tu się biedaczysko załapał w swym „haftowaniu" skandalicznie:

— *Wchodzę, mości dobrodzieju, do sali, a tu sułtan, ujrzawszy mnie po tylu latach, żegna się i woła głośno: „W imię Ojca, Syna i Ducha świętego... a ty, Niceforku skąd się tu wziąłeś?"*

Sąsiedzi gruchnęli śmiechem, siwowłosy proboszcz począł częstować tabaczką, pan Nicefor zamilkł, obrażony, na całe dwa tygodnie.

RECEPTA NA BLADĄ NIEMOC

Kiedy na bladą niemoc chorowała,
U wieszczek rady dziewczyna szukała.
Sktórych jej jedna tak odpowiedziała:
Końcem tych liter wyrażono stoi,
Anno, recepta tej choroby twojej.

Jan Gawiński, w. XVII

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Nie będzie gwiazd. Nie ma dolarów. Nie ma też winnych. Ale festiwal w Sopocie będzie. Tylko dach w Operze Leśnej będzie przeciekał jak dawniej.

Dziury w dachu zamiast gwiazd

Na szpalty wielu gazet, do telewizji trafiła ostatnio sprawa Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie. O sopockim festiwalu dyskutowano również na szczeblu ministerialnym i posiedzeniu komisji sejmowej 11 marca 1987 r. W dyskusjach tych uczestniczył dyrektor naczelny „Estrady Łódzkiej" i wiceprzewodniczący Porozumienia Branżowego „Estrada Polska" — JANUSZ SIKORA.

— Był pan obecny na posiedzeniu komisji sejmowej i w ministerstwie, gdzie dokonano oceny sytuacji w masowej działalności rozrywkowej w kraju. Uważa pan, że był to najwyższy czas na sejmowe (ministerialne) zastanowienie się nad stanem polskiej rozrywki?

— Podzielam opinię posłów, że byłoby znacznie lepiej, gdyby stan polskiej rozrywki znajdował się w punkcie zerowym, albowiem wiadomo byłoby od czego zacząć. W obecnej sytuacji ustawa sejmowa z 1985 roku, powołująca instytucje artystyczne (w tym rozrywkowe), nie dała oczekiwanego początku do naprawy rzeczywistości. Uprawomocniła instytucje estradowe, natomiast w swoich rozporządzeniach wykonawczych nie unormowała formalno-prawnego istnienia podmiotów zajmujących się organizacją działalności rozrywkowej.

— Jak sterowano rozrywką polską w ostatnich latach?

— Decydował prywatny interes określonych grup zawodowych, co oczywiście — uwzględniając mechanizmy rynkowe — jest prawidłowością. Ale z punktu widzenia interesów państwa, które powinno sterować kulturą — jest nieprawidłowością.

— Jak to się odnosi do festiwali piosenki?

— Analogicznie.

— Aby sprawy rozrywki uporządkować, powołano nowy departament sztuki estradowej, powstało Porozumienie Branżowe „Estrada Polska". Co to jest?

— Jest ciałem doradczym departamentu sztuki estradowej i ma zestawiać praktykę, jaką niesie działalność 17 państwowych instytucji artystycznych w kraju, z polityką państwa.

— Czy dyskutowano o festiwalu w Sopocie?

— Trwają ciągłe przepychanki — czyj ma być festiwal w Sopocie. Kiedyś nie budziło to wątpliwości, albowiem był to Festiwal Interwizji. Radiokomitet i wszyscy, którzy działali na rzecz tego festiwalu, działali w sposób usługowy. Był komitet organizacyjny, ale zawsze działał on pod dyktando „Radiokomitetu".

Pozostając z szacunkiem dla władz wojewódzkich Gdańska za reanimowanie festiwalu w 1984 roku, trzeba stwierdzić, iż pomimo udziału w nim w 1984 roku Charlesa Aznavoura, a w 1985 roku Shirley Bassey, ranga artystyczna i organizacyjna festiwalu w porównaniu do lat 70 spadła. Organizatorzy już w 1986 roku doszli do wniosku, że najsłabszą stroną uniemożliwiającą prawdziwy rozmach jest brak środków finansowych, a szczególnie dewiz. I stąd poszukiwanie sponsorów i kontrahentów zagranicznych. Wydawało się, że rolę tę spełni koncern Pepsi Cola. Ale tak się nie stało.

— Dlaczego?

— Do kasy organizatorów nie wpłynie 600 tysięcy dolarów, z czego co prawda 100 tysięcy na budowę Centrum Zdrowia Matki Polki. Nie ma pieniędzy, na które bardzo liczono i które warunkowały rozmach festiwalu.

— To fakt, ale jaka jest tego przyczyna?

— Myślę, że koncern wycofał się ze względu na to, że strona polska przedstawiła propozycje artystyczne, które nie gwarantowały tak olbrzymiego rozgłosu, jaki spełniałby oczekiwanie koncernu. Biznes jest biznes. Nie wierzę w bezinteresowność koncernu.

— Optymiści wierzyli w przyjazd do Sopotu największych gwiazd światowej piosenki z Barbrą Streisand i Stevie Wonderem na czele.

— Gwiazdy światowego formatu jak Barbra Streisand mają stawki za jeden występ w granicach 200 tysięcy dolarów. Skoro nie ma pieniędzy, to ani Barbra Streisand ani Stevie Wonder nie wystąpią w Sopocie.

— A inni, już zapewnieni?

— Trzeba ich będzie przeprosić. Przygotowany nowy regulamin i nowe warunki wielu z nich z pewnością nie zainteresują. Wszystko się opóźni. Na bałaganie ucierpi poziom artystyczny festiwalu.

— Kto za to wszystko odpowiada?

— Jeszcze nie wiadomo ale obiecano przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie.

— Ale festiwal się odbędzie?

— Tak. W terminie od 19 do 22 sierpnia 1987 r.

— „Kurier Polski" napisał, że ZPR i „Pagart" wycofują się z imprezy sopockiej.

— Niewątpliwie ZPR ze względu na rangę imprezy będą musiały uczestniczyć przy organizacji Sopotu. „Pagart" na pewno weźmie udział i będzie jednym z organizatorów. Zastępca dyrektora „Pagartu" — Eugeniusz Gruber zapewnił, że stara się o nowe gwiazdy do Sopotu.

— Tegoroczny festiwal ma kosztować 5-krotnie więcej niż poprzedni, bo aż 85 mln złotych?

— Taką sumę zebrały firmy polskie wspólnie z resortem kultury, ale dziś nikt jeszcze nie wie, ile będzie kosztował festiwal w Sopocie.

— Dewizowo mieli nas wspierać Szwedzi?

— Firma marketingowa STM Parawan ze Szwecji nie wpłaciła 31 tysięcy dolarów na konto festiwalu i nie miała tego zamiaru. Zainteresowanie Szwedów polskim festiwalem piosenki, to przede wszystkim interesy kilku szwedzkich menedżerów i kilku dziennikarzy z polskiej TV lansujących u nas przeciętne gwiazdki skandynawskie.

— Kto więc da 15 tysięcy dolarów przeznaczonych na główną nagrodę „Grand Prix"?

— Nikt. Nagrody będą w złotówkach (od 30 do 200 tysięcy złotych).

— Kto będzie szefem artystycznym festiwalu?

— Nadal go nie ma. Ale jest rada artystyczna, na której czele stoi Jerzy Gruza. Dyrektorem festiwalu jest Andrzej Kowalik.

— Dlaczego tak późno zostały podjęte te wszystkie decyzje?

— Ponieważ miało być bardzo dużo pieniędzy, powstało wiele koncepcji jak zwykle u nas wzajemnie się zwalczających.

— Czy, aby nie za późno?

— Na pewno za późno.

— Czy w tym zamieszaniu nie zapomniano o pieniądzach na naprawę dachu nad Operą Leśną w Sopocie?

— Zapomniano i dach znowu będzie przeciekał.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Kronika kulturalna

Z okazji **Międzynarodowego Dnia Teatru,** przypadającego 27 marca, przyznane zostały doroczne **nagrody TPŁ** za najlepsze przedstawienia i role aktorskie na scenach łódzkich.

„Srebrną Łódką" wyróżniony został **spektakl „Pana Jowialskiego" Aleksandra Fredry** w reżyserii **Tadeusza Bradeckiego (Teatr im. S. Jaracza).** Kontrkandydatem był **„Cyd"** w reżyserii **Adama Hanuszkiewicza** (Teatr Powszechny).

W kategorii teatrów muzycznych — **„Srebrną Łódkę" otrzymał Teatr Muzyczny za przedstawienie „My Fair Lady" F. Loewego i A. Jay Lernera** w reżyserii **Andrzeja Żarneckiego.**

Nagrody Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ — **„Srebrne Pierścienie"** przyznano: **Barbarze Połomskiej, Romie Owsińskiej i Adamowi Koziołkowi.**

Za najpopularniejszy spektakl teatralny w plebiscycie czytelników **„GR"** uznany został **„Cyd".**

Laureatom serdecznie gratulujemy!

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się **w Muzeum Historii Miasta Łodzi.** Obecny był m.in. I sekretarz KŁ PZPR **Józef Niewiadomski.**

DYPLOMEM ministra spraw zagranicznych za wybitne zasługi w upowszechnianiu kultury polskiej za granicą w 1986 r. **wyróżniony został zespół Teatru Wielkiego.**

Artyści łódzkiej sceny operowej występowali m. in. we Włoszech, Francji, RFN i Holandii, prezentując utwory Moniuszki i innych kompozytorów — **propagując operę polską w świecie.**

Wraz z nimi cieszymy się bardzo z tego zaszczytnego wyróżnienia.

W gronie laureatów nagród indywidualnych znaleźli się m. in. prof. **Bogdan Suchodolski, Stanisław Lem** (po raz drugi), **Maryla Rodowicz, Stanisław Mikulski** (po raz drugi), **Tadeusz Różewicz, Janusz Zaorski.**

W ubiegłą sobotę na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się premiera **„Wesela" Stanisława Wyspiańskiego** w reżyserii **Bogdana Hussakowskiego,** ze scenografią i kostiumami **Pawła Dobrzyckiego.**

W nowym, spóźnionym **„Dialogu"** (1986, nr 10) redakcja drukuje **pierwszą polską sztukę na temat AIDS — „Skrzep" Pawła Mossakowskiego.**

COROCZNĄ nagrodę im. Przecława Smolika za wybitne osiągnięcia artystyczne i twórcze inicjatywy w dziedzinie kultury i sztuki, **przyznawaną przez Stowarzyszenie Twórców Kultury otrzymał** za rok 1986 **Ryszard Ziarkiewicz.**

Jest on autorem **ogólnopolskiej wystawy plastycznej „Ekspresja lat osiemdziesiątych",** zorganizowanej **w BWA w Sopocie.**

W Muzeum Kinematografii otwarta została **30 marca wystawa „Aleksander Fogiel — portret".** Prezentowane są na niej materiały z bogatego archiwum domowego świetnego aktora (m. in. fotogramy z 400 ról teatralnych zagranych przez A. Fogla w trakcie 60 lat pracy scenicznej, rekwizyty pochodzące z filmu „Krzyżacy").

ZMARŁ prof. Zdzisław Skwarczyński, wychowawca licznego grona polonistów, uczony ceniony w ogólnopolskim środowisku humanistycznym.

Od 1969 r. pełnił funkcję **redaktora naczelnego „Prac Polonistycznych",** jako historyk literatury **interesował się szczególnie okresem Oświecenia.**

W salonie Fotografiki ŁTP w Łodzi odbędzie się 5 kwietnia br. **otwarcie wystawy Włodzimierza Małka** pt. **„Zraniona pamięć".**

Artysta przedstawia **około 100 prac,** które wykonał w czasie licznych spacerów po **Cmentarzu Żydowskim** w Łodzi w latach 1976—1986.

W Galerii „Chimera" przy ul. Wólczańskiej 31 od 17 marca można oglądać prace znanego **artysty plastyka Zbigniewa Warpechowskiego.**

NIESPODZIANKA wydawnicza, która niewątpliwie obudzi z zimowego snu różnorakiej maści Pirożyńskich.

W „Iskrach" ukazała się antologia — **zbiorek poezji hippisów pt. „Życie w drodze".** Nakład mikroskopijny — 2750 egz.

W warszawskiej **„Zachęcie"** otwarta **została 16 marca jubileuszowa wystawa malarstwa Wiesława Garbolińskiego,** zorganizowana **dla uczczenia 30-lecia pracy artystycznej** wybitnego łódzkiego twórcy i pedagoga.

W otwarciu wernisażu uczestniczył m.in. minister kultury i sztuki **Aleksander Krawczuk.**

Cena równowagi

Pojawiły się ostatnio na łódzkich scenach premiery sztuk dla dwojga aktorów, a to co się w nich rozgrywało między Nim a Nią dotyczyło wzajemnej miłości, w różnych zresztą stadiach uczucia i emocjonalnych odcieniach. W najnowszej premierze na kameralnej scenie „Jaracza" występują również tylko On i Ona, ale połączeni zupełnie innymi związkami — lekarza psychiatry i pacjentki.

Rzecz jest bowiem o młodej kobiecie, mężatce, którą postępująca choroba neurologiczna przykuwa coraz silniej do fotela na kółkach. Dlaczego więc — psychiatra? Ponieważ powstała sytuacja życiowa wyzwala w pacjentce daleko idące zmiany w postawie psychicznej, wyzwala lub zaostrza, normalnie przytłumione, cechy osobowości. Chociaż więc przypadek nie jest — w sensie psychiatrycznym — kliniczny, lekarz musi tu spełniać rolę psychoterapeuty.

Kiedy milknie melancholijne solo wiolonczeli i scena rozjaśnia się, wtacza się w fotelu do gabinetu lekarskiego sparaliżowana kobieta, sławna skrzypaczka, Stefania Miller, uzasadniając swoje przybycie wyraźnym życzeniem męża, nie zaś potrzebą lekarskiej porady i pomocy, której rzekomo nie potrzebuje. Na tej właśnie mistyfikacji — pogodzenia się ze swoim stanem, jakoby zupełnie ją zadowalającym, opiera się cała gra pozorów, którą roztacza bohaterka.

W sześciu jakby odsłonach tej jednoaktowej sztuki (powstałych przez wygaszanie świateł) jesteśmy świadkami tyluż wizyt pacjentki, a rozwój sytuacji dramatycznej wyznaczają kolejne zabiegi psychoterapeutyczne, doraźnie skuteczne, które jednak każdorazowo dopingują pacjentkę do przybierania coraz nowych zwodniczych póz i masek. Tak więc pomiędzy osobą potrzebującą ratunku i człowiekiem zdolnym go zapewnić, powstaje w odczuciu pacjentki (choć z jej winy) psychologiczna sytuacja kata i ofiary. Stefania bowiem, kobieta niejednej zawiedzionej ambicji życiowej, o niejednym niespełnionym pragnieniu, której dla uzyskania równowagi wewnętrznej niezbędne jest szczere przyznanie się do załamań i słabości, usiłuje zataić zarówno dawniejsze, jak i obecne klęski.

I dopiero kiedy demistyfikacyjne działania lekarza przełamią ostatnie jej opory, gdy wartość i sens życia dla samego życia, bez mitów kariery i szczęścia w miłości, zostanie przez pacjentkę z pokorą zaakceptowana, dozna ona autentycznego odczucia spokoju i równowagi, mądrego pogodzenia się z tym, co nieuniknione.

Jest to sztuka o nieczęsto na naszych scenach penetrowanej strefie życia wewnętrznego, o moralnej wartości prawdy, jako warunku psychicznego zdrowia, sztuka wymagająca od głównej bohaterki dojrzałego i powiedziałbym finezyjnego aktorstwa. Całą złożoność roli Stefanii, wypełnioną falowaniem zmiennych i sprzecznych nastrojów przekazała z dużą konsekwencją i sugestywnie, każąc nam wierzyć w prawdę wewnętrzną postaci **MAŁGORZATA ROGACKA—WIŚNIEWSKA.**

Zapewne mniej wdzięczne aktorsko zadania jakby autorskiego medium, mającego na celu logiczne podważanie kłamliwych konstrukcji, tworzonych przez nieszczęsną kobietę, wypełniał należycie **ANDRZEJ GŁOSKOWSKI,** przeznaczając dla pacjentki stanowczą, nie zdradzającą zwątpień intonację głosu, równocześnie adresując mimicznie do widowni zmienność doznawanych emocji — czy to zatroskania, czy zadowolenia z przebiegu stosowanej psychoterapii, chyba jednak nie dość pewnie przyswoił sobie tekst roli.

Było zresztą w dialogu obojga, toczonym na tle surowo oszczędnej, wręcz antyestetycznej dekoracji, trochę zbędnych powtórzeń, trochę miejsc trącących werbalizmem i przez to pustych dramaturgicznie. W całości jednak, ta sztuka angielskiego dramaturga o polskim nazwisku, ale o pochodzeniu... niemieckim, pozostawiła po sobie wrażenie sprawy życiowo istotnej, nieobojętnej dla nas i dziś w natłoku przyziemnych kłopotów, pewne bowiem motywy pokazanych postaw i działań można rozpoznać też w sytuacjach dużo zwyczajniejszych niż między chorym a pacjentem.

JERZY KWIECIŃSKI

Tom Kempiński: „Solo na dwa głosy" (Duet for One). Przekład — **Zofia Chudzyńska, Mira Michałowska.** Reżyser — **Inka Dowlasz,** scenografia — **Jacek Szczotka,** muzyka — **Mariusz Czarnecki.** Premiera 21 marca 1987 r.

„Biała bluzka"

Pokusa solowych występów na scenicznych deskach zdaje się być wciąż modnym zjawiskiem wśród amatorów i profesjonalistów, którzy rozmaicie motywując chęć zmierzenia się „oko w oko" z publicznością, decydują się na indywidualny popis. Świadczą o tym choćby festiwale w Toruniu i Zgorzelcu. Polskiej tradycji „teatru jednego aktora" poświęcono już nieraz obszerne rozprawy, ukazując genezę tego zjawiska (np. monografia Jana Ciechowicza „Sam na sam. Teatr jednoosobowy w Polsce"). Współczesny repertuar dramatyczny daje stosunkowo mało możliwości gry solowej (poza „solówkami" Becketta), a teatr XX wieku stał się de facto miejscem kolektywnych działań całego zespołu, zarzucając (choć nie zawsze konsekwentnie) gwiazdorskie tradycje. Stąd też być może rodzi się u wielu wykonawców „wewnętrzna potrzeba" scenicznego monologu i chęć sięgnięcia po teksty z natury rzeczy „nieteatralne". O powodzeniu takiego zamiaru decydują zarówno aktorskie umiejętności wykonawcy, jak i charakter wybranego materiału literackiego oraz czas jego prezentacji. Skupienie uwagi odbiorcy na tekście i osobie aktora przez cały teatralny wieczór wymaga nie lada rzemiosła i scenicznej kondycji.

Próbę zmierzenia się sam na sam z tekstem i publicznością podjęła tym razem Krystyna Janda, przygotowując na Festiwal Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu monodram „Biała bluzka", oparty na tekstach Agnieszki Osieckiej. Prezentowany przez kilka marcowych wieczorów także w łódzkim Teatrze Rozmaitości program stanowi półtoragodzinną kompilację fragmentów, powstałego w 1982 roku, sążnistego monologu — zapisu myśli, zdarzeń i sytuacji związanych z życiem bohaterki, dziewczyny z warszawskiego półświatka. Elżbieta — językiem potocznym, odpowiadającym jej kulturze i świadomości — opisuje otaczający ją świat: domu rodzinnego, przyjaciół, kochanków i stołecznej ulicy. Rejestruje codzienność w jej rozmaitych przejawach: obyczajowym, społecznym, a także politycznym, czyniąc to w sposób właściwy swemu indywidualnemu postrzeganiu rzeczywistości. Tekst Osieckiej rozpisany został przez reżyserującą spektakl Magdę Umer na dwa głosy: Elżbiety i jej interlokutorki (matki?, przyjaciółki?), będącej wyrzutem sumienia, opiekuńczym aniołem-stróżem i niańką jednocześnie. Monolog bohaterki poszerzony o prośby i upomnienia owej drugiej postaci płynące z magnetofonowej taśmy uzupełniono także kilkunastoma piosenkami Osieckiej z okresu jej dawnych doświadczeń teatralno-estradowych (w niektórych przypadkach chyba jeszcze z czasów „Listów śpiewających"). Instrumentalny akompaniament oraz piosenki ożywiają naturalnie ów monolog, nie niwelując jednak monotonii i estradowego szablonu.

Tekst Agnieszki Osieckiej — nawet już po uporządkowaniu i dokonanych skrótach — jest zbyt wątły dramaturgicznie, by stanowić podstawę teatralnego spektaklu. Ustawiczne powtarzanie tych samych wątków i sytuacji przestaje bawić, a zaczyna coraz bardziej nużyć, przypominając monologi rodem z „Podwieczorku przy mikrofonie", czy „Programu z dywanikiem". Nawet dojrzałe i wszechstronne aktorstwo nie byłoby chyba w stanie uratować tego tekstu. Schematyzm środków ekspresji stosowanych przez Krystynę Jandę tym bardziej więc nie pozwala na wydobycie z proponowanego materiału literackiego niuansów, emocji i nastrojów. Ruch sceniczny sprowadzający się do zamaszystych kroków i spiętrzenia gwałtownych gestów przypomina niestety Krystynę Jandę z jej wcześniejszych ról teatralnych, a także filmowych. W sposobie kreowania przez nią postaci Elżbiety brakuje różnicowania nastrojów, a przede wszystkim liryzmu — zawsze obecnego przecież w tekstach Osieckiej. Także predyspozycje wokalne odtwórczyni głównej i właściwie jedynej roli „Białej bluzki" nie pozwalają na uwypuklenie walorów muzycznych spektaklu.

Sztuka monodramu okazuje się więc być sztuką dla wybrańców — tych, których doświadczenie oraz dojrzałe i solidne rzemiosło pozwolą na zbudowanie pełnospektaklowego widowiska przyciągającego uwagę odbiorcy przez cały czas trwania owego spotkania „sam na sam".

MAREK BIELACKI

Wideonotes

FILMY Z KASETY

Akademia Policyjna III

W USA, gdzie sztuką jest znaleźć coś, co mogłoby zainteresować zblazowanych odbiorców, nie ma tematów tabu i nawet tamtejsza policja jest kopana i maltretowana na wszelkie możliwe sposoby.

Paul Maslansky to producent, który mało wydaje i dużo zarabia. Nie ma więc nic wspólnego z kosztownymi fajerwerkami „szkoły Spielberga". Ulokował kapitał w serii „Akademii Policyjnych" i jak się okazało, na policji też można nieźle zarobić.

„Akademia Policyjna" przekonywała, iż lubimy się śmiać niekoniecznie z byle czego. I jeśli druga część filmu była raczej powieleniem pomysłów z pierwszej, co mogło nużyć, to „Akademia Policyjna III" sprawia, iż wszechogarniający śmiech znów przewala się po widowniach.

Dawni wychowankowie akademii, którzy w pierwszej części byli wykolejeńcami i nieudacznikami, zaś w drugiej próbowali swych sił w praktycznym działaniu, są teraz wychowawcami i rywalizują z konkurencyjnym ośrodkiem dydaktycznym. Akcja jest pretekstem do ukazania karytatur charakterów ludzkich i obśmiania ich z piskiem radosnym i dobrotliwym. Na przykład Murzyn, genialny imitator dźwięków, który celuje teraz w kompromitowaniu szacownych osobistości i ci jego głosem czkają i rżą jak konie na poważnych uroczystościach. Albo policjant-twardziel o zachowaniu żołnierza piechoty morskiej, który z każdej zwykłej czynności robi cały rytuał. A Bob Goldtwait jako zresocjalizowany przywódca punków z poprzedniej części filmu, który drze się jak eunuch i ubiera swoje wariackie pomysły w mundur kadeta akademii to komediowa rewelacja i zrywanie boków ze śmiechu.

Perfekcja realizacji jest zdumiewająca, a tempo akcji, nieoczekiwane spięcia sytuacyjne, znakomite wykorzystanie muzyki mogłyby być natchnieniem także dla naszych twórców kina dla rozrywki i gromkiego śmiechu.

„Police Academy III" reż. Jerry Parris, prod. USA, 1986.

TOMASZ KUBIK

Błękitny Max

Nie mylić z „Mad Maxem", gdyż tu bohater bynajmniej nie jest szalony, ale konsekwentnie zmierza do celu, którym jest właśnie tytułowy Niebieski Max — najwyższe niemieckie odznaczenie lotnicze w pierwszej wojnie światowej.

Film jest identyczny w swej tematyce jak wyświetlane u nas „Asy przestworzy", z tym że walki powietrzne oglądamy tu znad celowników samolotów niemieckich, a nie alianckich. Porucznik Bruno Stachel, świeżo upieczony pilot myśliwski od momentu przybycia do eskadry dąży do zdystansowania innych pilotów i otrzymania upragnionego orderu. W tym celu nie tylko dziurawi samoloty wroga, ale także podejmuje rywalizację z najlepszym dotąd lotnikiem, i to zarówno na polu chwały jak i zgoła innym (stąd w obsadzie seks-bomba Ursula Andress). Do pojedynku o prymat w liczbie zestrzeleń i o względy pięknej hrabiny pcha porucznika kompleks niższości w stosunku do swoich kolegów-junkrów, jako że jest człowiekiem z ludu. Jego gminne pochodzenie okazuje się jednak bardzo pożyteczne, gdyż zostaje wykorzystane jako element propagandowy przez generała kreującego Stachela na bohatera narodowego. Forytowany porucznik zapomina o kodeksie honorowym oficera, uwodzi żonę zwierzchnika i popełnia inne drobne świństewka. Ponieważ nie jest to film sensacyjny możemy zdradzić, że w końcu dochrapie się ukochanego świecidełka. Ale jego nieprawości wychodzą na jaw i aby uniknąć publicznego prania brudów ojcowski dotąd generał nakazuje mu oblatywać samolot-trumnę.

Jest jedną z zalet filmu, iż charakterologicznie nie jest on z typu czarno-białego, do bohatera nie czujemy wprawdzie żywiołowej sympatii, ale możemy rozumieć jego rozterki.

Trudno nazwać ten film psychologicznym, ale działania bohaterów mają tu jakieś głębsze motywacje. Nawet manipulujący swymi pilotami generał-propagandzista nie jest demonem zła, ale działa w kleszczach konieczności i obowiązku, co czyni z niego również ofiarę wydarzeń, nad których rozwojem nie potrafi już zapanować.

Próbą pogłębienia tej historii wojenno-bohatersko-miłosnej jest ukazanie wpływu, jaki wojna ma na mentalność żołnierzy i zmianę ich stosunku do przeciwnika z honorowo-rycerskiego na bezwzględnie i emocjonalnie wrogi.

„Blue Max", reż. John Guillermin, prod. USA.

MICHAŁ MAZURCZYK

Hibernatus

Amundsen zdobywając biegun południowy, nie przypuszczał nawet jakie świństwa mogą kryć się pod lodem. Po upływie siedemdziesięciu lat (w 1982 roku toczy się akcja filmu „The Thing" — dosłownie „coś", „rzecz") odcierpią za to jego rodacy, a także Bogu ducha winni Amerykanie ze stacji badawczej na Antarktydzie. Załoga stacji norweskiej dokonuje odkrycia obcego statku kosmicznego, spoczywającego od tysięcy lat pod lodem, i pada ofiarą „czegoś", co na tym statku przyleciało. Za pośrednictwem psa, który jako jedyny wyszedł cało z hekatomby, zaraza gorsza od AIDS przenosi się do stacji amerykańskiej. Tu znalazłszy ciepłą atmosferę i dobre towarzystwo, obcy pokątnie i wstydliwie, w ciemnościach, przepotwarza się. Świadkiem przemiany psa w nie wiadomo „co" (każda próba w miarę literackiego opisu tu zawodzi) jest cała załoga. Potwór, zanim został spalony miotaczem, zdążył wniknąć w organizmy niektórych polarników. Walka pozostałych o przeżycie i likwidację intruza jest właśnie tematem filmu. Niemało się natrudzą, aby stwierdzić, kto jest zarażony i zastosować wobec niego radykalną terapię (miotacz ognia). Trudności w identyfikacji polegają na tym, że tajemnicze „coś" odtwarza dokładnie strukturę komórkową organizmów ziemskich, stając się ich doskonałymi kopiami. Akcją dowodzi pilot Elliott MacReady (Kurt Russell znany z „Ucieczki z Nowego Jorku"). To, że sam nie zostaje zaatakowany przez odmieńca, zawdzięcza być może whisky, którą pije w sporych ilościach i o każdej porze.

Zestresowani obecnością obcego polarnicy muszą w dodatku okiełznać swojego kolegę-uczonego, który uroił sobie, że uchroni resztę ludzkości przed zagładą, nie dopuściwszy, aby żywa noga uszła z zadżumionej stacji. Roboty jest więc sporo i akcja toczy się wartko.

Film jest obrazem z pogranicza fantastyki i horroru. Brak w nim jednak rekwizytów typowych dla S-F. Bohaterowie nie mają laserów i muszą dziurawić paskudztwo z broni palnej. Jedynym elementem fantastycznym jest postać (?) „obcego". Jeśli zaś horror to w miarę realistyczny — nie ma bowiem w filmie strachów, zmór ani innych uosobień deformacji ludzkiej psyche, a zagrożenie można uznać za prawdopodobne.

W obu zatem poetykach film można uznać za niezły choć nie dorównuje on klasycznemu obrazowi z tego gatunku tj. „Obcemu — ósmemu pasażerowi Nostromo" (w „Rzeczy" obowiązuje identyczna konwencja). Jak na dobry horror za mało tu tajemnicy, nastroju grozy, a zbyt wiele efektów specjalnych, epatujących widza jatkami i żywym mięsem. Można było subtelniej, a skuteczniej. Zaletą natomiast jest to, że w przeciwieństwie do filmów z udziałem karateków i innych osiłków gdzie wszystko zmierza do finałowej kopaniny, z której tylko sufler uchodzi z życiem, „The Thing" jest opowieścią opartą na zbornym, przekonującym i logicznym pomyśle. Takaż też jest jej ekranowa i realizacyjna wizja.

„The Thing", reż. John Carpenter, prod. USA, 1982.

M. M.

Sylvester Stallone: „Zawsze staram się dawać z siebie to, co najlepsze... i jeszcze więcej"

Mówi się, że ponowne małżeństwo jest triumfem nadziei nad doświadczeniem. Sylvester Stallone, któremu nadano przydomek „włoskiego ogiera", żarliwy obrońca straconej sprawy („Rocky" i jego cztery kolejne części oraz „Rambo") ożenił się powtórnie, tym razem z Brigitte Nielsen, śliczną 22-letnią Dunką promowaną z roli modelki do rangi aktorki. Ma ona 1,80 m wzrostu, sześć centymetrów więcej niż jej mąż i, według jego słów, „porusza się z naturalnością i lekkością charta afgańskiego". Ceremonia zarejestrowana na wideo odbyła się 15 grudnia 1985 roku w cieniu hollywoodzkich palm, w Malibu, willi przyjaciela Stallone, Irvinga Winklera (dobrego ducha, gdyż to właśnie on sfinansował „Rocky I").

Brigitte przybyła pierwsza, pięć godzin wcześniej, w wielkiej białej limuzynie, a tuż za nią przywieziona została pod eskortą trzech policjantów jej suknia ślubna rozwieszona z tyłu czarnego samochodu. Sylvester Stallone wysiadł z kabrioletu model Al Capone. W ceremonii ślubu wzięło udział 25 osób. Później, podczas tradycyjnego przyjęcia, dołączyła do nich jeszcze setka gości (pośród nich John Travolta, Donna Summer, Morgan Fairchild i Victoria Principal... godzinami można by wyliczać).

Dla Brigitte Nielsen ślub ten jest szczęśliwym zakończeniem cierpliwych i wytrwałych poszukiwań: mając 11 lat odkrywa (w telewizji) wydatne, lśniące mięśnie klatki piersiowej, nagi tors, zaciśnięte szczęki i kołyszący krok Sylvestra Stallone. Przed kilkoma miesiącami, po przyjeździe do Nowego Jorku z okazji promocji jej filmu „Red Sonja", dowiedziała się, że i on jest tutaj. „Byłam gotowa spotkać się z nim, zostawić w hotelu list z dołączoną fotografią. I zrobiłam tak". Zaledwie wróciła do siebie zadzwonił telefon: „Czekam na panią w barze hotelowym", powiedział Sylvester Stallone.

Jego jedyną słabością są kobiety... Kocha je wszystkie, choć woli Europejki. Uwielbia ich elegancję, zmysłowość, kobiecość, a szczególnie usta. Mają one, jak mówi, najpiękniejsze usta na świecie. I kocha Brigitte. Jawna, często złośliwa plotka głosi, że nie była ona jeszcze rozwiedziona ze swym pierwszym mężem, Kasparem Windingiem (pogłoska fałszywa), że miała 2-letniego syna, Juliana, i że pani Stallone matka, bardzo jej nie lubiła. „Robiłam wszystko, aby Sly ją porzucił, stwierdziła, Brigitte Nielsen zainteresowana jest wyłącznie pieniędzmi mego syna (irlandzkie przysłowie mówi jednak: „Nie bierzcie ślubu dla pieniędzy, możecie czerpać tańszym kosztem"). To będzie najkosztowniejszy romans i najkrótsze małżeństwo". Pani Matka nie darzyła sympatią również Sashy, pierwszej żony syna. „Sly spotkał ją w kinie, gdzie była bileterką. Powiedziałam mu, że nie bierze się żony z litości". Nie znajdował się on wówczas w sytuacji do pozazdroszczenia. Pracował w ogrodzie zoologicznym sprzątając klatki dzikich zwierząt. Pani ex-Stallone, Sasha, która zdała sobie sprawę, że znalazła się w posiadaniu kilkudziesięciu milionów dolarów i posiadłości w Beverly Hills, twierdzi: „Nie byłam poruszona powtórnym małżeństwem Sylvestra. Gdyby tylko potrafił być podobny do Rocky'ego wszystko byłoby inaczej. Długo w to wierzyłam".

Sylvester porzucił po raz pierwszy rodzinę po to, by związać się z Joyce Ingalls, swą partnerką z filmu „Paradise Alley". Tajemnica szczęścia w miłości nie polega na tym, by być ślepym, lecz by potrafić przymykać oczy wówczas, kiedy to potrzebne. Podczas tej przymusowej samotności Sasha zajmowała się zrzucaniem paru kilogramów, zmianą uczesania, szczególnie zaś — aby zapomnieć — pracowała jako attaché prasowy. Kiedy powrócił była ujmująca, miła, uprzedzająco grzeczna. Słowem, tym bardziej wzbudzała w nim poczucie winy. Sylvester Stallone powie: „Sasha jest bardzo silna. Nie żyje przeszłością. Potrafi wybaczać moje słabości. Miała wszelkie powody, by mnie znienawidzić, ale nigdy nie powiedziała, ani nie uczyniła nic, by mnie poniżyć".

Dwa lata później niepoprawny uwodziciel znów odchodzi z aktorką, Susan Anton. Tym razem Sasha jest w ciąży. W okresie tym, sam się do tego przyznał, jest zarozumiały, egoistyczny, agresywny, nastawiony narcystycznie. Jego biura strzeże olbrzymi portret Rocky'ego autorstwa Leroy Neimana, różnorakie torsy i fotograficzne pamiątki z trudnych czasów.

Ma wszystko: sławę, pieniądze i kobiety. Traci jednak godność i... żonę. Sylvester Stallone wychowany w religii katolickiej należy do tych, którzy wierzą w grzech i karę, jaką za sobą pociąga. Jego syn, Seargeoh (dziś ma siedem lat), dotknięty autyzmem, jest dlań jakby nieustannym wyrzutem sumienia. „Jest on, jak mówi, niczym stacja radiowa, której częstotliwość trudno złapać". Według stwierdzeń żony Stallone zamierzał oddać chłopca do specjalistycznej instytucji. Zamiar ten wywołał oburzenie Sashy. Zauważyła jednak, że jej były mąż zmobilizował wszystkie siły, by rzucić się w wir nowej walki i wraz z dochodami z różnych bankietów zebrał ponad milion dolarów przyznaczonych na utworzenie funduszu badań.

Sylvester Stallone potrzebuje tylko jednego — sukcesów. „Porażki biorą się z rozmyślań nad przeszkodami. Do sukcesu prowadzą rozważania o środkach. Tajemnica życiowego powodzenia polega na angażowaniu się we wszystko ze ślepym optymizmem. Nie jestem ani najbogatszy, ani najbardziej inteligentny, ani najzdolniejszy, ale sukcesy odnoszę dlatego, że obstaję przy swoim. Zawsze staram się dawać z siebie to, co najlepsze i jeszcze więcej. Jego celem (jawnym) jest być zarazem Marlonem Brando (z powodu jego pieniędzy) i Orsonem Wellesem (z powodu jego geniuszu). W danej chwili utożsamia się z Edgarem Poe. „Lubię, jak mówi, tego poetę, ponieważ nigdy nie rezygnował".

Według „Paris Match"
B. BANASIAK

WIDEO W RFN

Pod znakiem Spielberga

Czy posiadacze magnetowidów w Polsce, mający utrudniony dostęp do światowego repertuaru wideo, skazani są wyłącznie na oglądanie przestarzałych bądź trzeciorzędnych tytułów?

Spróbujmy to ocenić, przytaczając dla porównania najpopularniejsze aktualnie wśród niemieckich wideofanów tytuły.

Republika Federalna Niemiec jest największym w Europie producentem magnetowidów; równocześnie, obok Wielkiej Brytanii, najpokaźniejsza ich liczba pośród państw Starego Kontynentu znajduje się w rękach prywatnych.

Do dyspozycji użytkowników wideo stoją otworem dziesiątki sklepów, oferujących tak stare, jak i najnowsze filmy, w cenie od około 25 do 300 marek, przy przeciętnej kwocie kształtującej się na poziomie 100 marek. O wiele tańsze jest korzystanie z wypożyczalni, stąd tak duża ich ilość i nie słabnąca popularność.

Na tutejszym rynku wideo ukazuje się również kilka czasopism, poświęconych temu tematowi. Periodyki owe łączą w umiejętny sposób bogatą gamę szeroko rozumianych wiadomości z mistrzowskim poziomem edytorskim.

Najpopularniejszym z tych wydawnictw jest miesięcznik „VIDEO Magazin", który głównie prezentuje premierowe filmy, ukazujące się w sprzedaży oraz omawia wszelkie nowinki techniczne, miesięczny filmowy program telewizyjny i najwybitniejsze pozycje z repertuaru kinowego.

Reprezentatywną dla gustów niemieckich wideofanów jest tworzona na podstawie ich głosów, lista dziesięciu najpopularniejszych filmów miesiąca. Cóż w niej zaskakuje już na pierwszy rzut oka? Brak ciepłych jeszcze nowości — królują pozycje sprzed roku bądź dwóch.

A oto czołowa dziesiątka marcowego numeru omawianego pisma:

1. **„POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI"**, USA, 1985, — znany i u nas film R. Zemeckisa, jednego z faworytów stajni spielbergowskiej;
2. **„INDIANA JONES I ŚWIĄTYNIA ZAGŁADY"**, USA, 1985, — i znów erupcja geniuszu S. Spielberga, tym razem jako reżysera;
3. **„MĘŻCZYZNI"**, RFN, 1985, reż. D. Doerrie — komedia, kinowa sensacja roku 1986 w RFN (wespół z „Seksmisją"!).
4. **„MONEY PIT"**, USA, 1985, reż. R. Benjamin — raz jeszcze triumf Spielberga — producenta, w filmie uznanym za najdowcipniejszy obraz katastroficzny ostatnich lat;
5. **„BIAŁE NOCE"**, USA, 1986, — oparty na faktach autentycznych dramat T. Hackforda, opowiadający o losach asa radzieckiego baletu, M. Barysznikowa;
6. **„A CHORUS LINE"**, USA, 1985 — wyłącznie relaks czy też próba uniknięcia zaszufladkowania? Zdobywca „Oscara" za epos „Ghandi", R. Attenborough, prezentuje nietypowy musical;
7. **„ROCKY IV"**, USA, 1985 — kolejna część sagi o mistrzu pięści, Rocky Balboa. Śmierć najbliższego przyjaciela zmusza „Włoskiego Ogiera" do powrotu na ring. „Rocky IV" to nie tylko popis S. Stallone jako aktora, ale i reżysera oraz scenarzysty;
8. **„MÓJ NAUKOWY PROJEKT"**, USA, 1986, reż. J. Betuel połączenie s-f oraz horroru; nie epatuje mnogością tricków, lecz stara się uwypuklić psychologiczny aspekt podróży w czasie, w czym pomaga niezapomniany bohater „Swobodnego jeźdźca" — Denis Hooper;
9. **„SILVERADO"**, USA, 1985, reż. L. Kasdan, — scenarzysta wielu głośnych filmów, m.in. „Poszukiwaczy zaginionej arki", tworzy western, który, obok „Pale Ridera" Clinta Eastwooda, już niemal w chwili powstania został zaliczony do klasyki gatunku, Czyżby renesans westernu?
10. **„GAGATKI"**, USA, 1985, reż. R. Donner — listę otwiera i zamyka nazwisko S. Spielberga, bardziej już producenta, niż reżysera. Jego recepta na sukces jest prosta: należy filmować marzenia i lęki własnego dzieciństwa. Tworzy to istną piorunującą mieszankę, według najlepszych hollywoodzkich wzorów — zaczynamy od trzęsienia ziemi, po czym napięcie musi narastać.

Jak widać, dziesiątkę zdominował Steven Spielberg. Czy w dobie dzisiejszego kina i jego trendów rozwojowych jest to fakt zaskakujący? Na pewno nie...

Dla rodzimego rynku wideo pocieszający natomiast jest fakt, iż w sferze repertuaru praktycznie nie pozostajemy w tyle za światowymi potentatami. Jest to symptom nader pozytywny, gdyż po pierwsze choć po części łagodzi to skutki kilkuletniego (miejmy nadzieję, że już minionego!) kryzysu repertuarowego polskiego kina, po drugie zaś, uzupełnia pewną tematyczną selektywność, co pozwala stworzyć w pełni kompletną panoramę współczesnego filmu na świecie.

WITOLD SOBCZYK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

ŁÓDŹ W „ENCYKLOPEDII POWSZECHNEJ PWN"

Niezbyt starannie opracowane zostały informacje dotyczące Łodzi w „Encyklopedii Powszechnej PWN" — Wyd. II, Warszawa 1984. Pod hasłem „Łódzkie Miejskie Województwo" — czytamy: *„Do 1945 Łódź pełniła jednostronną funkcję ośrodka przemysłowego, dopiero w Polsce Ludowej stała się ważnym ośrodkiem kulturalnym i naukowym"*. To samo zdanie powtarza się w haśle „Łódź" — ale zaraz po tym czytamy: *„Od schyłku XIX w. ważny ośrodek życia kulturalnego"*. I to wszystko.

Dalej: *„W 1945 r. powstały Uniwersytet Łódzki i Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (obecnie — Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. L. Schillera")*. O fakcie powstania w 1945 roku Politechniki Łódzkiej autorzy zapomnieli. Natomiast łączenie powstałego w 1945 PIST (a raczej reaktywowanego w Łodzi) z obecną łódzką szkołą filmową jest błędne, ponieważ kontynuacją PIST jest P. Wyższa Szkoła Teatralna (PWST im. A. Zelwerowicza) w Warszawie! Łódzka Szkoła powstała z połączenia innych szkół artystycznych. Przy haśle łódzkiej szkoły filmowej podano rok powstania 1959, co jest chyba kolejnym błędem.

„Od 1945 działają w Łodzi filharmonia i teatr muzyczny". Filharmonia łódzka wznowiła swoją działalność w 1945 roku, ale umieszczenie tego zdania po omówieniu najważniejszych wydarzeń lat 1885—1939 świadczy, iż autorzy hasła nie wiedzą, iż Filharmonia powstała w 1915 roku! Dwa lata temu obchodzono 70-lecie Filharmonii, nadając imię Artura Rubinsteina. W 1987 roku mija sto lat od wybudowania obecnej siedziby Filharmonii przy ul. Narutowicza 20. Budynek ten wybudowano z przeznaczeniem na Koncertowy Dom („Koncertnyj Zał"), gdzie występowali liczni soliści z Ignacym Paderewskim i młodym Arturem Rubinsteinem. A w 1915 powstała stała orkiestra.

Wymieniając zabytki Łodzi wspomina o barokowym kościele i klasztorze „na Łagiewnikach". Czy ta forma była kiedyś w użyciu?

Jest też informacja, iż Kazimierz Dejmek po raz drugi był dyrektorem Teatru Nowego w latach 1975—80. Natomiast w „Kto jest kim w Polsce" (1984 r.) jest podane, iż K. Dejmek był dyrektorem w latach 1975—81. Niby niedawno, a już nie wiadomo, gdzie podano prawidłowo.

Historia Łodzi kończy się w „Encyklopedii" na 1945 roku, a przecież i przez ostatnie 40 lat też miały miejsce w Łodzi wydarzenia, o których było głośno w całej Polsce.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

NIE PRZYZNANO I NAGRODY

26.02.1987 został rozstrzygnięty konkurs literacki dla nieprofesjonalistów pod hasłem: „Masz minutę czasu i miliard słuchaczy: co chcesz im powiedzieć?", zorganizowany przez Centrum Kultury Młodych w Łodzi.

Jury w składzie: Maria Ejsmund, Henryk Hartenberg, Maciej Świerkocki i Jerzy Weber — po rozpatrzeniu 33 prac postanowiło:

— nie przyznać I i II nagrody;

— przyznać dwie III nagrody: Markowi Luanowi Czuku za wiersz pt. „Precz śmierci od nas aż do przesilenia" (Pamięci Dylana Thomasa) i Marii Zahorskiej za wiersz: ***za śnieżną bramą.

— przyznać trzy wyróżnienia: Andrzejowi Arczewskiemu za wiersz pt. „Polska wigilia"; Ninie Grzegorczyk za wiersz: *** zachłysnąć się; Piotrowi Wernerowi za wiersz: *** Powiedział ktoś

LAUREATKA

Marzena Kijewska, już absolwentka XXIX Liceum Ogólnokształcącego im. 11 Stycznia w Łodzi, została laureatką w konkursie pt. „Co wiem o martyrologii Polaków w II wojnie światowej", zorganizowanym w 1986 roku przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Oświęcimia w Warszawie.

Marzena Kijewska otrzymała pierwszą nagrodę i stała się właścicielką pamiątkowego zegarka.

M.K.

MIGAWKI

I. O PALACZACH.

Ukazał się gdzieś felieton o losach niepalaczy wśród palaczy. O dominacji palaczy nad resztą. Taka jest prawda. Trudno mi przystosować się do sytuacji, w której nieznajomy dmucha na mnie dymem śmierdzącym zresztą i jeszcze się dziwi, że się odsuwam i kaszlę. Znajomy palacz podobnie reaguje.

Ale coś się zaczyna zmieniać w moich zakładach pracy, a wymienię je wprost: ZPiUI „Inwestprojekt" WZSM w Łodzi oraz Zarząd RSM „Polesie" już od chyba roku przyjęły zwyczaj, że palacze, ilu jest ich w pokojach, wychodzą „na cuga" na korytarz. I o dziwo — nikt na nikogo się nie gniewa, nikt nie sobaczy i się nie odgrywa! A palą w sumie mniej! To jest zmiana sposobu myślenia i chwała tym, którzy to pojęli.

II. O REKLAMACJACH.

Kupiłem kurtkę produkcji firmy polonijnej „TEKTRA" w „Centralu". Po kilku dniach popsuł się suwak. Poszedłem do sprzedawcy z reklamacją. Usłyszałem: — „Nie wiadomo, czy na sam suwak reklamacja będzie przyjęta, ale niech pan idzie do producenta". Poszedłem. Usłyszałem, że o kiepskiej jakości suwaków dobrze wiedzą i że starają się o lepsze. Reklamowaną kurtkę zostawiłem bez żadnego pokwitowania (jedynie z kartką z nazwiskiem), zadowalając się uzgodnioną datą odbioru po przeszyciu suwaka.

Po kilku dniach odebrałem reklamowany towar z workiem z folii i wieszakiem. I z życzeniami, abym nadal był ich klientem.

Okazało się, że można również reklamować zły suwak. Dlaczego w „Centralu" o tym nie wiedzą?

WAF

TEATR POWSZECHNY Z WARSZAWY

Stowarzyszenie Artystyczne — Agencja Koncertowa informuje, że wznawia prezentacje spektakli z rozpoczętego w grudniu 85 r. cyklu Mistrzowie Scen Polskich.

I tak: 8—10 kwietnia 1987 r. gościć będzie w Łodzi zespół Teatru Powszechnego z Warszawy, który zaprezentuje 5 spektakli „Pan Cogito szuka rady" Z. Herberta z udziałem Zbigniewa Zapasiewicza, Ewy Dałkowskiej i Piotra Szczerbienia. Przedstawienia odbywać się będą na Małej Scenie Teatru Jaracza. Sprzedaż biletów prowadzi od 16 marca 1987 r. kasa teatru. Ilość miejsc ograniczona.

OPOWIEŚĆ PIOTRA BARYKI O DAWNYCH SIERADZANACH

Żył w XVII wieku. Pochodził ze średnio zamożnej rodziny mieszczańskiej z Sieradza. W którym roku urodził się — nie wiadomo. O jego edukacji też nic nie wiemy. Pierwsze nauki pobierał chyba w rodzinnym mieście. Być może, że studiował w jakiejś uczelni. Pozostawił po sobie piękny język i obrazowy styl komedii — jak na ówczesne czasy. Każe to przypuszczać, że posiadał wyższy poziom wykształcenia.

W latach 1626—1629 zaciągnął się do chorągwi sieradzkiej pod wodzą, również z Sieradza pochodzącego, hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego. Bił się z wojskami króla szwedzkiego Gustawa Adolfa i brał udział w wyprawach do Prus. Po kilkuletniej służbie wojskowej osiadł na stałe we dworze magnata sieradzkiego Alberta Łubieńskiego, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywał aż do końca życia.

Był człowiekiem żywym i ruchliwym, a przede wszystkim wesołym, pełnym temperamentu i fantazji. Lubił dobrze zjeść, popić i zabawić się. Echem tych zabaw jest jeden z najlepszych w XVII wieku utworów satyrycznych „Z chłopa król". Napisał go Piotr Baryka w czasie pobytu na dworze Alberta Łubieńskiego. Motywem komedii z realiami sieradzkimi stała się wędrująca wówczas po całej Europie anegdota o pijanicy, którego zrobiono rzekomo królem.

Rycerstwo chorągwi sieradzkiej spędza wesoło czas leży zimowych — opowiada Piotr Baryka w swojej komedii. — Wpada na coraz nowe pomysły i fortele. Pewnego razu w czasie mięsopustu brać sieradzka spotyka przy drodze upitego do nieprzytomności miejscowego sołtysa i przebiera go za króla. Gdy sołtys otrzeźwiał, sieradzanie wmówili weń, że jest królem, udali dworzan królewskich, zastawiali stoły z wystawnym jadłem i przyjęli przybranych za posłów do króla od Kozaków. Po ponownym upiciu do nieprzytomności sołtysa następuje nowa zabawa. Przebrany na powrót w dawny swój strój chłopski sołtys nie chce wierzyć, że przestał być królem. Byli dworzanie kijem rozwiewają złudzenia o królestwie.

Fabuła utworu jest bardzo uboga i nieskomplikowana. Główną jego zaletą jest przede wszystkim niezwykle obrazowy styl i piękny język. Prymitywną, ale pełną życia komedię tę grano jeszcze w XVIII wieku na dworach szlacheckich i w szkołach na Litwie za czasów ostatniego króla Stanisława Augusta.

Piotr Baryka uważał się za rdzennego sieradzanina. Nie szczędził przeto pochwał dzielności i męstwa swoich kompanów, chociaż przyznawał, że wojna w Prusiech nie była taka łatwa...

„Sieradzanie cnotliwi, mężowie potężni,
Z sieradzanów żołnierze i hetmani mężni,
Jako i nasz dzisiejszy hetman Koniecpolski.
Wielki klejnot Korony i ozdoba Polskiej.
Z sieradzanów przezacni ludzie wychodzili,
Z sieradzanów biskupi i opaci byli".

Utwór Piotra Baryki został wystawiony po raz pierwszy na dworze magnata sieradzkiego Alberta Łubieńskiego 8 lutego 1633 r. W 4 lata później — w 1637 r. — wydał go drukiem Maciej Andrzejczyk w Krakowie i tę datę przyjęto w historii literatury za czas powstania komedii. Od tego czasu utwór sieradzkiego poety staje się bardzo popularny. Jest grany na wszystkich niemal scenach teatrów szkolnych, a jego wątek przejawia się odtąd w licznych późniejszych przeróbkach polskich i zagranicznych. W Gdańsku ukazuje się drukiem „Tragedia ucieszna albo komedia dworska o pijanicy, co królem był", a w Krośnie w latach 1654—1677 w szkole jezuitów zostaje odegrany „Chłop pijany".

W XIX wieku motyw „Z chłopa król" zużytkowuje Aleksander Fredro w „Panu Jowialskim" i Władysław Ludwik Anczyc w komedii „Błażek opętany", a częściowo i Juliusz Słowacki w „Balladynie", przedstawiając Grabca jako króla.

Niektóre motywy komedii Piotra Baryki, jak krotochwilne rozrywki i żarty rotmistrza przypominają zabawy następcy tronu z Falstaffem w „Henryku IV", zaś opowiadanie Służalca o obyczajach braci sieradzkiej stanowi rodzajowe powinowactwo z monologiem o podobnej treści służącego byłych przyjaciół Falstaffa w „Henryku V" — W. Szekspira.

Ostatnie wydanie sztuki „Z chłopa król" ukazało się w latach międzywojennych.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

„DOBROTLIWY PRZEŚMIEWCA"

EUGENIUSZ IWANICKI, bliżej mi znany literat, w nr. 9 „Odgłosów" z 28 lutego 1987 roku, zamieścił krytyczne dziełko pt. „Dobrotliwy prześmiewca." Nie wdając się w ocenę paru pokrętnych zdań o Zygmuncie Fijasie i Jego twórczości, pragnę zwrócić uwagę czytelników „Odgłosów" na następujące fakty.

Nieprawdą jest, że w „Tylko dla poważnych" Zygmunta Fijasa pomieszczono wyłącznie utwory: „Z notatnika prowincjusza" i „W krainie majaczeń. Groteski". Prawdą natomiast jest, że wybór obejmuje utwory z całego dorobku pisarza, prawie „jednym ciurkiem" by posłużyć się wyrafinowanym słownictwem krytycznym recenzenta.

Kłamstwem także jest przypisywanie (dokładniej, sugerowanie przez E. Iwanickiego) autorstwa wyboru Wydawnictwu Łódzkiemu, które oczywiście jest edytorem wydania, ale nie autorem wyboru.

Bliżej mi znany E. Iwanicki dla sobie znanych celów, świadomie, w zadziwiająco skrzętny sposób, zarówno w dziełku krytycznym, jak i w „stopce" do dziełka, pozbawił mnie praw autorskich przynależnych mi z racji autorstwa wyboru „Tylko dla poważnych".

Swego czasu na łamach „Odgłosów" dałem fraszką klapsa E. Iwanickiemu — czynię ten gest po raz wtóry trawestując tamten rym:

Łaski pisarzu
Pisz wolniej i p r a w d ę od razu.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

REDAKCJA — CZYTELNICY

JAN PRUSKI, Łódź. W nadesłanym liście czytamy: **Ponieważ Daniel Passent w swoim PS do felietonu „Sodoma i Gomora" w „Polityce" nr 5 z 31 stycznia 1987 r. zamknął wszystkim możliwość wypowiedzenia się na temat wypadków marcowych 1968 roku na łamach „Polityki" przeto pozwalam sobie przesłać do waszej redakcji trochę moich refleksji na ten temat do ewentualnego wykorzystania i przedstawienia niektórych faktów Czytelnikom „Odgłosów"."**

Do listu załączony jest artykuł pt. „W imię prawdy historycznej".

W zasadzie tego typu listy polemiczne powinny być kierowane do tych redakcji, gdzie ukazały się artykuły, z którymi podejmuje się polemikę. Gdy one nie wydrukują, mogą to zrobić inne. Tak każe dobry obyczaj. Rzadko nam zdarza się zasady tej nie uszanować, boć przecie istnieją wyjątki od reguły. W tym wypadku moglibyśmy taki wyjątek zrobić. Nie zrobimy jednak. I czujemy się w obowiązku wyjaśnić dlaczego przyjęliśmy takie stanowisko.

Wprawdzie Jan Pruski zatytułował swoją wypowiedź w sprawie wydarzeń marcowych z 1968 roku „W imię prawdy historycznej", ale z prawdą historyczną mało ma on wspólnego. Nikt przecież nie zamierza kwestionować faktów. Co do tego jest pełna zgoda. Natomiast nie ma zgody, co do ich interpretacji. W sporze o „marzec 1968" ujawniły się dwie „szkoły". Jedna skłania się do „mafijnego widzenia historii", druga — widzenia wydarzeń w świetle dokonujących się procesów historycznych. Otóż Jan Pruski — autor nadesłanego opracowania „W imię prawdy historycznej" — stanął na stanowisku „mafijnego widzenia historii", i stara się konsekwentnie widzieć przyczyny wydarzeń „marca 1968" i dalszych w działalności spiskowej różnych grup opozycyjnych. Tej działalności nie można negować, ale taka działalność rozkwita dopiero wtedy w pełni, gdy sprzyjają temu warunki, gdy sprzyjają temu dokonujące się wedle określonych praw procesy społeczne. I na takiej postawie oparła swoje oceny Komisja KC PZPR powołana dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej. Taka też jest jej ocena wydarzeń z marca 1968 roku.

Gdybyśmy więc zechcieli opublikować artykuł Jana Pruskiego „W imię prawdy historycznej", to musielibyśmy podjąć z nim polemikę z takich właśnie — materialistycznych pozycji. Trudno byłoby nam to jednak zrobić, gdyż autor swoje sądy opiera na bliżej nie znanej broszurze „Marzec 1968. Nieudana próba zamachu stanu", wydanej w 1981 roku. Ale przez kogo i gdzie — nie podaje. Próbowaliśmy znaleźć taką broszurę w Bibliotece im. Ludwika Waryńskiego, ale bez powodzenia. Trudno zatem polemizować z czymś, co niby jest a czego nie ma. Poza tym — jak można się zorientować z cytatów przytaczanych przez Jana Pruskiego — broszura jest interpretacją faktów w myśl „mafijnego widzenia historii", które jest radykalnie sprzeczne z materializmem historycznym.

Wydarzenia z marca 1968 roku będą jeszcze długo budziły spory i polemiki, ale powinny one opierać się na źródłach a nie na mitach. Mitom jesteśmy zdecydowanie przeciwni.

REDAKTOR DYŻURNY

NARUSZAM TAJEMNICĘ KORESPONDENCJI

Przyznaję się publicznie do strasznego przestępstwa, ale czynię je nie ze swojej winy. Otóż zdarza mi się coraz częściej naruszyć tajemnicę korespondencji. Nie, nie otwieram cudzych listów. Gorzej. Podsłuchuję cudze rozmowy telefoniczne. Całkiem niechcący. Nawet nie wiem, kto rozmawia. Ale podsłuchuję.

Dzieje się to tak. Chcę zadzwonić na numer zaczynający się 74..., albo 48... Wykręcam taki numer i zamiast głosu jego abonenta słyszę męski baryton, który namawia Halinkę, aby wpadła obejrzeć kolekcję znaczków. Halinka się broni nieśmiało i już czuć, że twierdza padnie, gdy rozlega się trzask i włącza się wykręcony abonent. Teraz rozmawiamy we czworo: ja, abonent, Halinka i baryton. Oni sobie, my sobie, ale my ich słyszymy, a oni nas nie. Teraz z abonentem podsłuchujemy, jak baryton namawia Halinkę i ona się wreszcie godzi. Oni się rozłączają, a my się z abonentem śmiejemy i przechodzimy do właściwej rozmowy. Ale Kochana Poczto, kto mi zagwarantuje, że w tym czasie inny facet wykręcając numer na 74... albo 48... nie włączył się w naszą rozmowę i nas nie podsłuchuje?

Mamy więcej telefonów i cieszymy się z tego. Ale one — psiajuchy — coś fatalnie działają. Z niektórych central nie można się połączyć z innymi centralami. Na przykład z numerami na 84... Czasem też, gdy wykręcę numer na 48... słyszę, że „nie ma takiego numeru", a przecież wiem, że jest i do kogo należy.

Kochana Poczto! Zrób coś, abym nie łamał prawa i nie naruszał tajemnicy korespondencji, bo jak się dowie o tym Pan Prokurator, to gotów mnie jeszcze ukarać przykładnie, czego bym nie chciał, gdyż czynię to mimo woli i nie ze swej winy. Ale któż z nas nie poczeka, aby dowiedzieć się, czy Halinka ulegnie barytonowi. Jak rozmowa jest mało ciekawa, na przykład o tym, co babcia ma zrobić Kasi na drugie śniadanie, to odkładam słuchawkę z niechęcią. Więc nie kuś mnie Kochana Poczto i innych też. I niech Pan Prokurator się nie denerwuje. Już więcej nie będę! No, chyba, żeby znów inny baryton namawiał Dzidzię na obejrzenie kolekcji motyli. Taki stary chwyt, a jeszcze bierze.

Pozdrawiam
W.Z.

(Zrozumiałe, że w tej sytuacji imię, nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji i nikogo więcej).

SZKOŁA W BEDONIU

Serdecznie dziękuję autorce reportażu „Dlaczego nie ma szkoły w Bedoniu" — Jolancie Wrońskiej. Reportaż odsłonił mechanizm marazmu mimo głębokiego poczucia odpowiedzialności mieszkańców Bedonia. Mają oni aktywne postawy wobec potrzeb swojej społeczności, a skutków tego nie ma już blisko od 40 lat. Działam w Społecznym Komitecie Budowy Szkoły, co pozwala mi jednak dostrzegać sporo niejasności w jego działaniu. Mam nadzieję, że opublikowanie reportażu o budowie szkoły w Bedoniu pomoże tej sprawie, nie przekreśla bowiem działania ludzi, a stara się tylko wykazać te miejsca, w których wystąpiły zahamowania.

PIOTR KOCHANOWSKI
(Bedoń)

DLA KANDYDATÓW DO SZKOŁY FILMOWEJ

Rektorat Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi zawiadamia, że w roku akad. 1987/88 odbędą się przyjęcia kandydatów na następujące wydziały studiów stacjonarnych: 1) Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej. 2) Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej. 3) Wydział Aktorski, 4) Wyższe Studium Zawodowe Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej.

Warunkiem dopuszczenia kandydata do egzaminu wstępnego jest złożenie odpowiednich dokumentów oraz prac twórczości własnej (złożenie prac twórczych nie dotyczy Wydziału Aktorskiego i Wyższego Studium Zawodowego Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej):

— na Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej należy składać prace twórcze własne z następujących dziedzin: literatura, film amatorski, plastyka,

— na Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej należy składać prace twórcze w zakresie fotografiki i plastyki.

Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej prowadzi również rekrutację na studia w zakresie montażu filmowego do AMU—Praga (CSRS) — a Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej w zakresie fotografiki do AMU—Praga (CSRS)

Szczegółowych informacji udzielają poradnie konsultacyjne działające przy:

— Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej w poniedziałki i piątki w godz.: 14.00—16.00;

— Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej we wtorki i czwartki w godz.: 15.00—17.00;

— Wydziale Aktorskim w poniedziałki i soboty w godz.: 16.00—18.00;

— Wyższym Studium Zawodowym Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej w poniedziałki i czwartki w godz. 12.30—13.30 oraz dodatkowo w środy w godz. 10.00—13.00 w Zespole Filmowym „Perspektywa", Warszawa, ul. Puławska 61,

Przewidywany termin egzaminów wstępnych: 8—30 czerwca 1987 roku.

Tegoroczni absolwenci szkół średnich składają dokumenty o przyjęcie na I rok studiów poprzez szkolne komisje rekrutacyjne, zaś maturzyści z lat ubiegłych oraz absolwenci wyższych uczelni bezpośrednio do sekretariatu Uczelni pod adresem **90-323 Łódź, ul. Targowa 61/63, tel. 74-39-43.**

Termin składania podań upływa 30 maja 1987 r.

Co robią młodzi Polacy na emigracji? Relacja z Grecji, gdzie cierpliwie czekają na pracę i wizę do... raju.

Czekając palą papierosy

JACEK MACIASZEK

„Wolna Szkoła Polska w Atenach zaprasza wszystkie dzieci polskie w wieku od 7 do 14 lat. Opłata za jeden miesiąc nauki, za jedno dziecko wynosi 3000 drahm. (Za drugie — 2000 drahm). Dzieci otrzymują jeden bezpłatny posiłek. Szczególny nacisk położony jest na naukę języka angielskiego".

Takie ogłoszenie wisi w hallu „Cairo Hotel" w Atenach, niedaleko placu Omonia. W hotelu, który stał się nieformalną placówką polską, „klubem polskim", miejscem spotkań wszystkich uchodźców. Polacy mają tutaj swój punkt kontaktowy, tu ogłaszają się, tu przychodzą szukać pracy. Prawie każdy Polak, który przyjeżdża do Grecji i wybiera wolność w USA czy Kanadzie — prędzej czy później trafia do „Cairo Hotel". Wszystkie drogi prowadzą tutaj. Drogi z Otwocka, Warszawy, Zambrowa i Wałbrzycha.

HOTEL W CENTRUM MIASTA

czas świetności ma już za sobą. Tylko zjawiają się tutaj turyści z Polski, którzy nierzadko decydują się na pozostanie. Kanał emigracyjny przez Grecję funkcjonuje już od wielu lat. Na początku Polacy kierowani byli do specjalnych obozów, teraz te obozy zostały zlikwidowane. Został ponoć jeden, ale nikt tam nie chce mieszkać pomimo bezpłatnych noclegów i posiłków. „Hotel Cairo" spełniał kiedyś też tą funkcję. Wyczarterowany przez organizację pomocy emigrantom (finansowaną przez ONZ) był przez długi czas formalnym miejscem pobytu uchodźców. To były dobre czasy. Dostawało się na rękę 30.000 drahm miesięcznie. Teraz pieniądze ONZ się skończyły, ale sentyment pozostał. Większość Polaków swoją emigracyjną karierę zaczyna od „Cairo Hotel".

Chłopcy, rzadziej dziewczęta, mężczyźni w średnim wieku, małżeństwa z małymi dziećmi tu zaczynają swoje życie na obczyźnie. Czasem tutaj kończą. Ale przy odrobinie zaradności można wynająć mieszkanie w Atenach w cenie od 6 do 20 tys. drahm. Dobierając do kompletu współmieszkańców można mieć naprawdę tanie lokum. Mówi się tutaj, że za jeden dzień pracy można mieszkać cały miesiąc.

W holu, w półmroku, albo w zupełnych ciemnościach (tutaj naprawdę oszczędza się energię elektryczną — żarówki 40-watowe) wszystko nabiera nierealnej perspektywy. Półmrok rozświetla tylko telewizor. Z nadejściem wieczora hol się napełnia. Przychodzą Polacy i może jeszcze bardziej sfrustrowani (bezczynnością) Etiopczycy, którzy ponoć czekają na wyjazd do NRD. Idziemy po schodach.

Często wysiadają korki i wszystko pogrąża się w egipskich ciemnościach. Jeśli chcecie zagotować wodę, usmażyć jajecznicę (jedno jajko — 15 drahm) można zejść do kuchni, albo właściwie do pomieszczenia, które kiedyś kuchnią było. O funkcji tego pomieszczenia świadczy tylko doprowadzony gaz i na wpół zdewastowana, oblepiona brudem kuchenka gazowa. Z kranu kapie woda. Jeśli podstawisz garnek, to po kilkunastu minutach możesz przystąpić do gotowania.

W tym pomieszczeniu najlepiej czują się koty. Wrogo patrzą na każdego, kto narusza ich kocie królestwo. Ściany, podłogi i sufit sprawiają wrażenie jakby się miały zawalić. Podobnie w ubikacjach i pod prysznicem na piętrach. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć pięter. Zbudowanych w rodzaj studni. Architektura łódzkiego podwórka. W takiej studni można tylko utonąć.

Ale ludzi przyciągają ceny. Pokój jednoosobowy można mieć już za 300 drahm. To najtańszy hotel w centrum miasta. Życie tu opiera się na wzajemnej tolerancji. Przed hotelem, w podobnie obskurnej knajpie twarze Murzynów są nieprzeniknione. Oni nie mają nic do roboty. Oni jeszcze korzystają z zasiłków. Twarze emigrantów z Polski ożywiają się, kiedy można zrobić jakiś interes, kiedy do załatwienia jest praca.

TU CENI SIĘ PRACĘ

— *Czy ma pan jakąś pracę dla mnie?* — Zaczepia mnie pryszczaty młodzieniec przed hotelem.

— Nie mam.

— *Czy mógłby mi pan dać jednego papierosa?*

— Może jeszcze jednego...

Czeka już pół dnia na kogoś, kto miał mu załatwić pracę. Czeka już tak któryś raz z kolei. Odkąd tu przyjechał (trzy miesiące temu) zawsze szukał pracy. Czasem udało mu się pracować 2—3 dni — to wszystko. Ale z pracą jest tu dużo problemów. Większość szuka pracy na prowincji, przy zbiorach. Na przykład — pomarańcz. Na niektórych plantacjach w 1986 roku zbierano je i niszczono. Deptano je i zakopywano w ziemi. Nadurodzaj?

Kto tu przyjechał?

Tadzio z Ziembowic. W Polsce miał prywatny interes — transport samochodowy. Nie narzekał, ale — jak sam mówi — za dużo pił.

— *Siadałem za kierownicę mojego fiata 125 i hajda na miasto. Nikt nie mógł mnie ruszyć. Z milicjantami wódę chlałem. Ale znalazł się jeden taki, co to by własnemu synowi nie darował. Zabrali mi prawo jazdy i zostałem bez pracy. Prysnąłem tutaj...*

Teraz Tadzio czeka na wizę do Australii. Australia, Kanada, Stany Zjednoczone — to główne kraje, do których wizy można otrzymać bez większych kłopotów. Po przeczekaniu od pół do roku bierze się bilet lotniczy w rękę i leci się. Tam już czeka jakieś mieszkanie, zasiłek, a czasem praca. Zresztą w każdym z tych krajów wygląda to inaczej. Można lecieć też do RPA i to po kilkumiesięcznym oczekiwaniu.

Henio lat 25. Kim był w Polsce? Co robił? Nie chce mówić. Jego wygląd i sposób bycia mówią za niego. Pytanie, które zawsze pada przy takiej okazji.

— Na jaką wizę czekasz?

— *Ja chciałbym do RFN, ale czekam na odpowiedź. Sprawdzają moje pochodzenie.*

— Masz szansę?

— *Jasne! Mój ojciec był w niemieckiej armii* — mówi z dumą. A potem dodaje z determinacją — *Hitler to by zrobił porządek w naszym kraju....*

Jego też można spotkać codziennie pod „Cairo Hotel". Czeka na jakiegoś wspólnika. Ktoś mu obiecał pracę. Większość takich ludzi można spotkać przed hotelem „Jason". Pijąc piwo czekają. Wielka poczekalnia. Wielkie czekanie na wizę do wielkiego bogatego kraju. I mniejsze: na pracę. Rozmowy dotyczące codzienności. Gra w karty. Czasem kino porno. To jeszcze atrakcja dla tych chłopców.

Jak tutaj trafili?

Jedni przypadkiem.

Kolega pociągnął za sobą kolegę. Najpierw załatwianie hotelu. Potem wizyta we właściwym urzędzie emigracyjnym. Rejestracja. Wybór kraju docelowego. Prawo pobytu w Grecji — na posterunku policji, bez większych kłopotów. Już można powiedzieć, że się jest emigrantem...

Po kilku miesiącach interwiew we właściwej ambasadzie. Rozmowa, od której dużo zależy. Czują się tu dobrze, tak przynajmniej mówią. Przecież tu jest ciepło. I życie takie tanie. Za miesiąc pracy można żyć tutaj następne dwa, trzy....

KIM SĄ EMIGRANCI?

Rozmawiam z byłym studentem z Warszawy.

— *Większość z nich* — mówi — *to ludzie, którzy tą drogą wyjeżdżają na saksy. Na trochę większe saksy. Praktycznie nie pozbawiają się swoich polskich paszportów. Aby po — powiedzmy — pięciu latach mogli wrócić do Polski z walizką pieniędzy. Tylko osoby, które wystąpiły o azyl polityczny i złożyły w odpowiednim urzędzie swoje polskie paszporty mogą wrócić, ale tylko jako zagraniczni turyści.*

Bożenka ma już bilet do Kanady. Czeka na nią mieszkanie w Nowym Brunszwiku. Martwi się tym, że nie zna słowa po angielsku. Zresztą większość emigrantów nie posługuje się żadnym obcym językiem. Są wprawdzie organizowane bezpłatne kursy, ale w godzinach rannych, kiedy wszyscy udają się do pracy, albo w poszukiwaniu pracy.

Ryszard — fotograf z Poznania.

— *Tutaj* — powiada — *przyjechało wielu małych cinkciarzy, niebieskich ptaków i cwaniaków. Trochę górników i rolników, którym zabrakło pieniędzy na budowę jednego piętra domu. Jest trochę takich, którym nie uśmiecha się służba wojskowa. Wszyscy myślą, że dolary leżą tu na ulicy. Wystarczy podnieść je i wrócić do kraju. Z polityką nie mieli nigdy nic wspólnego. Ale w czasie rozmowy w ambasadzie chętnie powołują się na swoją konspiracyjną przeszłość. Nie zaszkodzi. Ale i tak nikt tego nie sprawdza. A gdzie są w takim razie uchodźcy polityczni? Pewnie zostali w domu.*

Żyją tutaj, pod attyckim słońcem, pół kilometra od Akropolu, w kolebce cywilizacji europejskiej. Potwierdza się jednak opinia, że na obczyźnie Polak jest Polakowi wilkiem.

— *Jeśli chcesz się napić wódki, przyjaciół oczywiście znajdziesz.* — Wtajemniczył mnie jeden z nich. — *Jeśli potrzebujesz pomocy — nikogo to nie interesuje. Wykształcił się typ emigranta — jest to człowiek twardy, zdecydowany na wszystko i na pewno nie frajer.*

W Internacional Catholic Migracion Comission (jedna z tych organizacji zajmujących się uchodźcami z Polski) przedstawiam się i proszę o jakieś informacje.

— *Do jakiej gazety pan pisze?*

— Do polskiej?

— *Nie mamy o czym mówić.* — Pani Dorotka składa teczki personalne i wychodząc z pokoju mówi jeszcze. — *Niech pan się nie pyta, co się tu dzieje, niech się pan nie pyta...*

Grecki szef (kobieta po 40-tce) jest bardziej stanowcza.

— *Go home* — mówi krótko.

Przeciskam się przez tłum interesantów. Napotykam ich nieprzychylne spojrzenie. Tak patrzą na każdego powracającego do kraju. Z pogardą, ale może z odrobiną zazdrości. Czy przekonają się, że w Kalifornii nigdy deszcz nie pada, że Kanada pachnie żywicą, czy zasymilują się, czy wrócą po kilku latach i rozpoczną budowę wielkich domów, pałaców...? Tysiące młodych ludzi.

I jeszcze przed urzędem to samo wracające jak bumerang pytanie.

— *Dlaczego wracasz? Tam jest teraz minus 30 stopni mrozu.*

Stoją tu i czekają wszyscy, paląc greckie „popularne".

Kto w latach 1919—1933 finansował Adolfa Hitlera? Jak kobiety reagowały na przyszłego fuhrera? Czy Hitler był impotentem? Dlaczego Geli Raubal musiała umrzeć?

Monachium, Alpy i kobiety

STANISŁAW CHODUNAJ

Przemysłowcy w latach 1919—1930 nie byli zbyt hojni. Dietrich Eckart mimo, iż nie skąpił pieniędzy na pokrycie różnych rachunków w tym i Adolfa Hitlera, nie miał nieograniczonego konta. Frau Seydlitz podobnie jak Frau Bechstein zasilały kieszeń Hitlera, jak i kasę partii w ograniczonym zakresie. Nie obyło się i bez takich wersji, że działalność nazistów finansują Francuzi i Szwajcarzy.

SKĄD PŁYNĘŁY PIENIĄDZE?

Lata 1921—1926 były latami chudymi dla nazistów. W roku 1921 i następnych krążyły ulotki na temat życia prywatnego Adolfa Hitlera.

„Gdy któryś z członków pyta go z czego żyje i jaki był jego poprzedni zawód, zawsze wpada w gniew i podniecenie. Jak dotąd ciągle nie mamy odpowiedzi na te pytania. Tak więc nie może on mieć czystego sumienia, zwłaszcza że jego nieumiarkowany pociąg do kobiet, o którym często opowiada, że jest „królem Monachium", musi go wiele kosztować".

Adolf Hitler w odpowiedzi wytoczył proces o oszczerstwo. Przed sądem przetoczyło się wielu świadków oskarżenia i obrony. Proces zakończył się jednak bez wyroku.

Dociekliwość sądu stawiała Adolfa Hitlera w trudnej sytuacji. Padły przecież pytania: skąd wódz partii nazistowskiej czerpie środki finansowe? Kto finansuje jego wydatki? Czy kobiety? Czy finansjera?

Alfred Rosenberg i Rudolf Hess napisali list otwarty do gazety partyjnej „Volkischer Beobachter", w obronie wodza. Był to swojego rodzaju początek hagiografii Adolfa Hitlera.

Zajmował wtedy pokój pod nr 41 na Thierschstrasse. Jego biblioteka liczyła zaledwie kilka książek historycznych takich jak: „Mitologia germańska", „Fryderyk Wielki" i dzieło Clausewitza „O wojnie", z którego później cytował całe rozdziały. Nie czytał systematycznie. Jego zainteresowania ograniczały się do czytania gazet i rozprawiania o polityce. Wygłaszał przemówienia, za które otrzymywał zapłatę. Wtedy o wygody nie dbał, a płaszcz przeciwdeszczowy nosił przy każdej okazji niezależnie od pogody. Nosił też wytarte ubranie, które wisiało na nim jak na kołku.

Nigdy nie nabył nawyków samokontroli, samodyscypliny czy też systematycznego porządku. Zaskakiwał otoczenie nagłymi zrywami, nawet jeżeli to wymagało ponadludzkiego wysiłku, by popaść w stan odrętwienia i apatii. Ta zmienność, przeciwstawność myśli, uczuć i działania towarzyszyły Hitlerowi z większymi lub mniejszymi odchyleniami i wahaniami przez całe jego życie niezależnie od okresu i sprawowanej władzy.

W ALPACH SZUKAŁ SAMOTNOŚCI

Przed nieudanym puczem monachijskim, 9 listopada 1923 roku, jak też po wyjściu z więzienia, Hitler był częstym gościem w Berchtesgaden w otoczeniu swoich kompanów i coraz częściej sam bez świadków. Różne krążyły wówczas, a i później plotki o jego życiu osobistym.

Najpierw pensjonat „Moritz", później „Deutsche Haus" w Berchtesgaden stały się jego oazą spokoju, wypoczynku i rozrywki. Dopiero później, kiedy możliwości finansowe partii nazistowskiej poprawiły się, Adolf Hitler wynajął willę „Haus Waschenfeld", w której, jak sam mówił, *„spędził najwspanialsze godziny swego życia"*. Tam również powstawały jego wielkie plany zdobycia władzy.

W późniejszych latach przebudował ją z wielkim rozmachem, dając ujście ukrytym ambicjom niedoszłego architekta. Nazwał tę willę „Berghof".

Po 1925 roku Adolf Hitler przeszedł swoistą metamorfozę. Sprowadził z Wiednia przyrodnią siostrę Angelę Raubal wraz z dwiema córkami. Zamieszkały w willi „Haus Waschenfeld" i prowadziły jego gospodarstwo. Kochliwy Adolf Hitler zapałał namiętnością do starszej z nich blondynki Geli Raubal — która miała 17 lat. Miał 36 lat, kiedy przyszła ta miłość.

Nie rozstawał się z Geli, chyba, że zmuszały go do tego obowiązki partyjne. Ubóstwiał ją. Nie mamy potwierdzenia, czy Geli odwzajemniała jego uczucia. Stał się podejrzliwy i chorobliwie zazdrosny. Wpadał we wściekłość kiedy zorientował się o sympatii Geli do jego szofera. Fakty te jednak nie zostały potwierdzone.

Wynajął obszerny apartament w Monachium, a jego ukochana Geli otrzymała własny pokój. Tak biegły miodowe miesiące.

Samochodem i kierowcą dysponował od roku 1923. Płacił mu 200 marek miesięcznie. Utrzymywał też osobistego sekretarza, którym był Rudolf Hess z pensją 300 marek miesięcznie. Utrzymanie dwóch wielkich domów, mercedesa z szoferem oraz sekretarza pochłaniało krocie marek, które Hitler, nie bez oporu towarzyszy partyjnych czerpał z kasy NSDAP. Dochodziło do intryg i kłótni. Coraz rzadziej zatem przebywał w kwaterze partii, a coraz częściej w Berchtesgaden, u boku Geli.

Adolf Hitler przywiązał się do willi w Berchtesgaden. Coraz częściej też pokazywał się publicznie w Monachium w towarzystwie Geli Raubal. Ich wzajemne stosunki stały się powodem wieloznaczących gestów i uśmiechów, co też nie uchodziło ich uwagi. Hitler z uwag tych nie robił sobie nic.

FAKTY I PLOTKI

Jakiego rodzaju było pokrewieństwo między Gali Raubal a Adolfem Hitlerem? Otóż — jego ojciec Alios Hitler w pół roku po śmierci swojej drugiej żony poślubił o dwadzieścia trzy lata młodszą od siebie Klarę Pölz, która pochodziła ze Spitala wsi z której wywodzili się Hitlerowie. W Wiedniu zarabiała jako służąca. Bliskie więzy krwi wymagały dyspensy biskupa, którą przyszły ojciec i matka Adolfa otrzymali. Z małżeństwa tego urodziło się pięcioro dzieci, trzech chłopców i dwie dziewczynki, Adolf był trzecim. Gustaw i Ida oraz najmłodszy Edward umierają w dzieciństwie. Żyła tylko młodsza siostra — Paula urodzona w 1896 roku.

Miał też Adolf Hitler przyrodnie rodzeństwo z drugiego małżeństwa ojca z Franciszką Matzelberger, pokojówką z hotelu. Z przyrodnią siostrą Angelą zawsze utrzymywał przyjazne stosunki. Ją to sprowadził do Berchtesgaden, by zarządzała mu domem i to w jej córce Geli Raubal zakochał się.

Adolfa Hitlera natura obdarzyła cechami jego ojca. Miał wybujały temperament i trudny charakter. Wobec kobiet był nieśmiały, ale ich towarzystwo wpływało kojąco na jego nieokiełznaną naturę.

Jak kobiety reagowały na Adolfa?

Wygląd jego bladej, wychudzonej, pokrytej ciemnym zarostem twarzy ze spadającym na czoło kosmykiem włosów, przypominał hipnotyzera. Właśnie ten sataniczny wygląd fascynował wiele kobiet. Pod jego wpływem znalazła się Helena Bechstein, Garoli Hoffman, Winifreda Wagner i inne.

Wiarygodne są opisy histerii, jakie owładnęły kobietami w czasie jego przemówień; płakały i krzyczały. Większość tych, z którymi utrzymywał bliższe stosunki potwierdza, że był miły w obejściu, a nawet czarujący, co u wielu może budzić tylko zdziwienie i zaskoczenie.

Wiele mówiło się o bliskich stosunkach łączących Adolfa Hitlera z Henny Hoffman — córką fotografa, jak też Leni Riefenstahl, która odegrała główną rolę w organizowaniu sławnych niemieckich parleitagów w Norymberdze i w pewnym stopniu przyczyniła się do jego wylansowania. Unita Mitford, spokrewniona z Oswaldem Mosleyem, na jego tle targnęła się na swoje życie. Są okresy w życiu Hitlera, kiedy otaczał się poważną liczbą kobiet.

Polityka i podboje przysłaniały życie seksualne Hitlera, a przecież nie da się ukryć jego istnienia. Po pierwsze — został zarażony syfilisem jeszcze w okresie pobytu w Wiedniu. Jakie są dowody na potwierdzenie tej choroby?

Jeden z nich opiera się o „Mein Kampf", gdzie jest mowa o chorobach wenerycznych i ich skutkach. Dlaczego Hitler ten społeczny problem porusza w swoim sztandarowym dziele? Drugi to ten, że kilku lekarzy specjalistów (którzy Hitlera nie leczyli), opierając się na stwierdzonych symptomach występujących u Hitlera, tak fizycznych jak i psychologicznych, stawiają taką hipotezę, nasuwającą analogię z chorymi trzeciego stadium syfilisu. Ale czy tak było faktycznie?

Druga hipoteza, która obiegła świat jeszcze przed II wojną światową, dotyczyła impotencji Adolfa Hitlera. Jak to wygląda w świetle nam dostępnych materiałów? Podobnie jak z chorobą weneryczną. Z czasów monachijskich Putzi Hanfstängl, który znał Hitlera, podobnie jak inni, przekonywająco twierdzą, że Hitler był impotentem i wielu autorów powtarza tę opinię. Ale dowodów na to brak. Jest tylko hipoteza.

17 września 1931 r. pożegnał się z Geli i w drodze do Hamburga dowiedział się, że jego ukochana nie żyje. Zastrzeliła się. Samobójstwo czy morderstwo? Jedno i drugie było możliwe. Zagadka do dziś nie została wyjaśniona. Heindrich Hoffman, który znał oboje i był bliskim przyjacielem Hitlera uważał, że była to śmierć samobójcza z motywów miłości do kogoś innego. Chociaż nigdy nie udało się ustalić o kogo chodziło.

Natomiast gospodyni domu w Monachium, Frau Winter twierdziła, że Geli głęboko kochała Hitlera. Takich ocen spotykamy wiele. To, że Hitler był zakochany w Geli nie budzi wątpliwości. Adolf Hitler nigdy nie był dostatecznie przekonany o samobójstwie Geli. Jego brunatni towarzysze nie byli zainteresowani przyszłym związkiem tych dwojga. Mogli pokusić się o uwolnienie Hitlera od niej na zawsze.

C.D.N.

Jak dziś patrzeć na klasy i warstwy społeczne? Gdzie zaliczyć ludzi sprawujących władzę. Co to znaczy niesprawiedliwy podział dóbr? Czy dogmatyzm zagraża „pierlestroju"?

Nowe spojrzenie na strukturę klasową

Rozmowa z prof. TATIANĄ ZASŁAWSKĄ

Drago Buvacz, były korespondent zagrzebskiego dziennika „VJESNIK" w ZSRR, ponownie odwiedził Moskwę jako przedstawiciel zagrzebskiego tygodnika „DANAS" i przeprowadził wywiad z socjologiem, prof. Tatianą Zasławską. Na początek spytał ją o **„motywy podejmowania badań struktury klasowej do niedawna idyllicznego społeczeństwa socjalistycznego".**

— Oczywiście rozbieżności między najbardziej u nas rozpowszechnionymi poglądami na strukturę społeczną i tę rzeczywistą strukturę, jaką dostrzegałam jako socjolog, ze wszystkimi jej prawdziwymi elementami, w życiu codziennym, zmusiły mnie do powrotu do leninowskiej definicji klasy.

Jak wiadomo w naszej teorii rządził a prawdopodobnie jeszcze długo będzie rządzić, schemat mówiący o dwóch klasach i jednej warstwie: klasie robotniczej, chłopstwie i inteligencji. W wypadku wszelkich innych różnic utrzymywała się tendencja do uważania ich za wewnątrzklasowe, drugorzędne, nie tak istotne. Uważam taki podział za dogmatyczny. Wprowadził go jeszcze w latach trzydziestych Stalin, bez jakichkolwiek dowodów, a odchodzenie od niego było karane. Powiedzmy, również w nowszych czasach: kiedy w latach siedemdziesiątych Rutinianow przedstawił u nas książkę o strukturze społecznej ludności wiejskiej nad jego głową przewaliła się burza, wyrzucali go z partii, człowiek pochorował się.

Taki obiegowy schemat mówiący o dwóch klasach i jednej warstwie nie wyjaśniał zjawisk, które obserwowaliśmy w życiu codziennym. Weźmy, dla przykładu, pozycję kadr kierowniczych, politycznych, pozycję pracowników handlu, czy tych, którzy zajmują się zaopatrywaniem społeczeństwa. Albo też mówiło się o robotnikach i chłopach jako o dwóch klasach i stosowano po prostu jedno kryterium: stosunek do własności środków produkcji. I było to uproszczeniem. Dlatego miałam naturalną chęć nawrotu do Lenina, jako źródła. W jaki sposób on określał klasę?

Chociaż ani jeden człowiek, który żył dawno, nie może w pełni wyjaśniać naszej dzisiejszej rzeczywistości, to jednak chciałam przyłożyć leninowskie zasady i kryteria do dzisiejszego życia i przydać im konkretną treść. Nie można tu mówić o jakiejkolwiek własności środków produkcji — ponieważ u nas dominuje własność społeczna, a i własność kołchozowa jest praktycznie „upaństwowiona" — ale mamy do czynienia ze stosunkiem do środków produkcji. A to jest już o wiele bogatsza kategoria. Lenin mówi także o miejscu w systemie pracy społeczeństwa. Ale chociaż i w jednym, i drugim wypadku chodzi o inteligencję, pozycja wyższych przywódców partyjnych i państwowych jest całkiem odmienna od pozycji wiejskiego nauczyciela. Wreszcie udział w podziale dobra społecznego. Przy tym kryterium od razu widać szczególną pozycję pracowników handlu. Jeśli każde z tych kryteriów zastosujemy twórczo w konkretnym życiu, możemy dojść do szczegółowej struktury społecznej, która nie odpowiada klasycznemu podziałowi na robotników, chłopów i inteligencję.

— Jeśli by przyjąć pani metodologię, jaka — pani zdaniem — byłaby obecnie struktura klasowa czy społeczna społeczeństwa radzieckiego?

— To jest oczywiście sprawa badań. Ale jeszcze ich nie ma. W tym roku pracujemy nad problemami teoretycznymi i metodologicznymi i zostanie to niebawem zawarte w książce pt. „Wstęp do socjologii ekonomicznej". Potem i na tej podstawie rozpoczną się badania socjologiczne.

— Zanim jednak doczekamy się tych badań jak — na podstawie swego dotychczasowego doświadczenia, obserwacji i tego, co nazywa pani sama „zdrowym rozumem" — mogłaby pani przedstawić ten podział klasowy i socjalny?

— Istnieje u nas, po pierwsze, warstwa wyższych kadr rządzących. Są to członkowie Biura Politycznego, Komitetu Centralnego KPZR, Rady Najwyższej ZSRR. Takich ludzi, najwyższych przywódców, jest u nas około 2 tysięcy. Potem następuje średnia warstwa kierownicza, w sferze zarządzania. Można tu mówić bardziej o zarządzaniu, niż o władzy. Tu znów jest wiele warstw. Kim innym jest minister, kim innym szef zmiany.

Następnie wydzieliłabym zwłaszcza tych pracowników, którzy są zatrudnieni w handlu i zaopatrywaniu społeczeństwa. Ma to swoje uzasadnienie metodologiczne. Pod tym względem szczególnie dochodzi u nas do głosu prawo podziału i korzystanie z własności społecznej i gotowego produktu. W odróżnieniu od kapitalizmu z czasów Marksa u nas istnieje różnica między społeczną własnością środków produkcji i podziałem wyników pracy z ich użyciem. Aparat handlowy dzieli u nas dobra, wiele od niego zależy, rozporządza on ogromną, rzeczywistą władzą.

Następnie mamy do czynienia z podstawową masą inteligencji. Rysują się w niej ogromne różnice. Np. między pracownikami naukowymi i nauczycielami. Szczególne miejsce przypada inteligencji twórczej: artystom, pisarzom, aktorom, reżyserom, kompozytorom — wszyscy oni żyją na specyficzny sposób.

Jeśli chodzi o robotników i kołchoźników, oni — moim zdaniem — w ogóle się nie różnią. Ich pozycja jest identyczna, ponieważ doszło do upaństwowienia kołchozów i nie ma żadnej różnicy między kołchozami i sowchozami. Oczywiście i wśród nich jest rozwarstwienie.

Specyficzną pozycję mają robotnicy, którzy korzystają z wielkich i nowoczesnych środków produkcji. Np. budowa BAM. Sześciu robotników obsługuje sprzęt wart pięć do siedmiu milionów dolarów. Mogą go w każdym momencie uszkodzić, ich odpowiedzialność jest ogromna. Dlatego płaci im się 600 rubli miesięcznie (5-krotność płacy średniej), dostają nagrody, korzystają z prestiżu i przywilejów. Wreszcie mamy masę zwykłych robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych.

— Spójrzmy teraz w jaki sposób każda z tych grup społecznych reaguje na „pieriestrojkę", czego można się po każdej z nich spodziewać?

— Stosunek do przebudowy nie kształtuje się według tych, ale według zupełnie innych kryteriów. Jeśli od współczesnego człowieka chcemy uzyskać, by prócz zainteresowania sprawami materialnymi identyfikował się również z celami społecznymi, by wszystko to, co się u nas obecnie dzieje przyjmował z określonym entuzjazmem, to społeczne cele przebudowy muszą umożliwić konsekwentniejsze urzeczywistnianie zasad socjalizmu. Naród musi uznać, że polityka społeczna jest sprawiedliwa. Rzecz nie polega tylko na tym, by taka polityka odpowiadała zasadom sprawiedliwości absolutnej, ponieważ byłoby to nierealne, ale abyśmy poruszali się po osi coraz większej sprawiedliwości w kierunku większości, by sprawiedliwość szerzyła się. Przykładowo, zostali wypuszczeni więźniowie polityczni. Naród cieszy się. I to przyczynia się do jego entuzjazmu. Ludzie chcą pracować więcej i lepiej. Jeśli następnie dodać jeszcze aspekty ekonomiczne — samodzielność przedsiębiorstw, czy samofinansowanie — wszystko to zmierza w tym samym kierunku. Jeśli społecznym rezultatem przebudowy będzie oczyszczanie społeczeństwa, wyzwalanie go od wypaczeń socjalizmu, wprowadzanie w życie prawdziwej logiki socjalizmu — wówczas zainteresowanych i niezainteresowanych przebudową trzeba by szukać we wszystkich warstwach społecznych według kryterium: komu będzie lepiej, a komu gorzej w warunkach poszanowania zasady odnoszącej się do umiejętności i wkładu pracy.

Wszystkie badania społeczne pokazują, że istnieje u nas ogromny nie wykorzystany potencjał pracy i intelektu. Np. około 80 proc. robotników uważa, iż nie pracuje pełnią swoich sił. Jeśli dać ludziom możliwość pracy zgodnie z umiejętnościami, by w miejsce ogromnej masy zakazów — tego ci nie wolno, tam nie idź, to jest zabronione, siądź i oglądaj telewizję — rozwijali swoją aktywność, byłaby to wielka korzyść dla całego społeczeństwa. Nowy system wyborczy powinien wynieść na powierzchnię tych, którzy są najbardziej sposobni, młodzi, energiczni i wykształceni, którzy chcą więcej pracować i lepiej żyć. Trzeba odrzucić postawę niezainteresowanych, których pytasz: „jak żyjesz", a oni odpowiadają: „jakoś leci". I kiedy gospodarka zacznie się szybciej rozwijać, kiedy przejdzie się na nagradzanie według pracy, skorzystają te grupy, które są zdolne, a teraz najbardziej poszkodowane — skorzysta na tym i społeczeństwo w całości.

— Czy nie zagraża niebezpieczeństwo, że taki kurs zostanie wykorzystany przez te siły konserwatywne i dogmatyczne, które tracą pozycję i że przestraszą klasę robotniczą tym, że przebudowa jest wymierzona przeciwko niej, w jej pewność zarobku i zatrudnienia, stabilnych cen itp.?

— Oczywiście, istnieje taka możliwość. Używa się wszelkich środków. Teraz wszystkie te siły mocno się w społeczeństwie polaryzują. Jeśli, powiedzmy, przed rokiem istniała szeroka grupa ludzi, którzy nie mieli konkretnego zdania na temat przebudowy, może około 10 proc. opowiadało się bardzo pryncypialnie „za", a 5 do 10 procent było „przeciw", teraz już i ta grupa niezainteresowanych szybko się rozwarstwia: każdy odczuwa już na sobie przebudowę, widać coraz więcej jej zwolenników, ale i coraz więcej tych, którzy mają negatywne nastawienie do tego procesu. Jest to w pewien sposób i naturalne, gdyż przebudowy nie prowadzi się na podstawie jakiejś wcześniej, wszechstronnie opracowanej koncepcji, ale działa się według metody „prób i błędów" i każdy człowiek, którego dotknie błąd, staje się przeciwnikiem.

— Jednym z podstawowych problemów w tym stosunku do przebudowy będą — jak zaznaczyła to pani już w swoich pracach — zmiany w systemie wynagradzania według wkładu pracy?

— Problem w tym, że system płac nie jest u nas poważniej reformowany już od dziesięcioleci. Mimo pewnych poprawek cały ten system jest wypaczony. Ponieważ mamy gospodarkę planową zarobki są regulowane odgórnie i zaplątaliśmy się w tym. Wysoko wykwalifikowany inżynier zarabia mniej od pracownika fizycznego, a agronom mniej od traktorzysty. Istnieją wielkie różnice w płacach w zachodnich i wschodnich rejonach kraju, między sferą produkcyjną i nieprodukcyjną. Sprawiedliwszy model podziału łatwiej opracować w teorii niż wprowadzić w życie. Ale załóżmy, że udał się nam ten zamiar i każdy otrzymuje akurat za tyle, ile pracował, na zasadzie podziału według wkładu pracy, jak u Marksa. Żeby taki ktoś uzyskał akurat tyle, ile zarobił, w postaci towarów, potrzebny jest również jednakowy system cen dostępny wszystkim.

— Właśnie swoimi uwagami na temat cen rzuciła pani wyzwanie dotychczasowej doktrynie socjalnej i ekonomicznej. Czy może pani pokrótce wyjaśnić na czym polega główny problem?

— Jeśli, powiedzmy, kupuje pan kilogram cukru za rubla, a ja za 50 kopiejek, to nie jest to w porządku i narusza system wynagradzania według pracy i zasadę sprawiedliwości. A u nas tak właśnie jest. Ten sam towar ma różne ceny i to nie tylko według stref terytorialnych, ale i społecznych. Istnieją różne rodzaje handlu i w nich różne asortymenty. Niektóre towary są sprzedawane zamkniętymi kanałami i można do nich dotrzeć jeszcze jedynie przez czarny rynek, za o wiele większą opłatą. Badania pod tym kątem są trudne, ponieważ mowa o kanałach zamkniętych i każdy wie tylko o tych kanałach, które są jemu lub przez przyjaciół dostępne. O wielu natomiast nie wiemy.

To strona niesprawiedliwości w sferze przetwarzania zarobków w towar. Druga kryje się w istotnym oddaleniu ceny towarów od ich społecznej wartości. Weźmy np. mleko i mięso. Wieśniacy nie otrzymują ich od państwa, muszą sami produkować i to wychodzi im drożej, ponieważ w wypadku ludności miejskiej państwo daje dotacje — niedawno pisałam o 40 do 50 mld rocznie, a już mi mówią w Gosplanie o 70 mld rubli. Do kogo to w mieście trafia? Więcej do tych, którzy jedzą więcej mięsa.

Trzeci nurt niesprawiedliwości podziału związany jest z jakością. Różnice w cenach towarów najgorszych i najlepszych są u nas zawężone, a towar najlepszy wędruje specjalnymi kanałami. Ludziom, którzy towar ten kupują, opłaci się, by był on tańszy, dlaczego mieliby opowiadać się za zwiększeniem cen?

— Czy uważa pani, że metodami naukowymi można sprawiedliwie regulować stosunki cen i płac, czy nie zagraża przesadny optymizm, który zauważyłem w rozmowach z radzieckimi ekonomistami, w ich wierze w „naukowe zarządzanie społeczeństwem".

— W tym jestem zbliżona do Giennadija Lisiczkina. W swoich pracach przekonująco i jasno ukazuje na niemożliwość, nawet na głupotę w naleganiu góry, że wszystko będzie regulować. Ekonomia i odpowiednia sfera społeczna muszą mieć możliwości poprawiania nierealnie postawionych celów związanych z cenami i płacami. Ale kiedy mówię o optymalizacji modeli podziału, myślę o tym jak naukowiec, a nie w kategorii szablonów, których trzeba się ślepo trzymać. Życie kieruje się swoimi prawami i trzeba dopuścić w nim korektę płac przez pryzmat stosunków rynkowych, w zgodzie z samorządnością i samofinansowaniem się przedsiębiorstw.

— W Związku Radzieckim wiele mówi się o samorządności. Jaka jest pani wizja naukowa w tym wypadku, jako jednej ze zwolenniczek samorządności?

— Jesteśmy w tej materii dopiero na początku. Byłoby nie w porządku nazywać samorządnością to, że w jakimś zebraniu uczestniczą robotnicy i podnoszą rękę. Chodzi o rzeczywisty udział w zarządzaniu i rzeczywistą realizację własnościowego stosunku do społecznych środków produkcji. Nie mogę powiedzieć, że mam już rozpracowane wyobrażenie o samorządności u nas. To zależy od wielu czynników. Po pierwsze, z góry powinien płynąć proces uwalniania z okowów, dawania ludziom praw. Natomiast z drugiej strony, sam „materiał ludzki" tak odwykł od udziału w zarządzaniu, tak jest bezwładny, że znajduje się w sytuacji człowieka, któremu dopiero rozwiązaliście nogi i chcielibyście, by od razu tańczył. Musi on się wpierw wyswobodzić, rozluźnić, uwierzyć, że stoi, zacząć chodzić, a dopiero wówczas będzie tańczyć. Taka jest nasza obecna sytuacja.

(„DANAS", 03.03.1987)
Zagrzeb

Panorama

BUŁGARIA

Dziennik „Rabotniczesko Deło" w artykule wstępnym „Społeczne cele krytyki w środkach masowego przekazu" stwierdził, że krytyka i samokrytyka są *„elementami rozwoju socjalizmu", „niezastąpionymi środkami usuwania negatywnych zjawisk"*. Zdaniem dziennika obiektem krytyki powinny być takie zjawiska jak: nieefektywne wykorzystywanie zasobów materialnych, zła jakość, powolne uruchamianie mocy produkcyjnych i temu podobne. Gazeta zwraca uwagę na konieczność wywoływania konkretnych rezultatów krytyki. W Bułgarii panuje jawność tego, co dobre, ale obok tego powinna być też jawność tego, co negatywne. Im bowiem silniej będzie się ujawniać zjawiska negatywne, tym łatwiej będzie je można zwalczać.

Na posiedzeniu Komitetu Okręgowego BPK w Burgas poddano ostrej krytyce sposób realizacji planu zagospodarowania południowej części wybrzeża Czarnego Morza. Zdaniem krytykujących występują opóźnienia w realizacji planów, łamie się plany terytorialnej lokalizacji domów wypoczynkowych, zbyt wolno postępują prace nad przeciwdziałaniem erozji wybrzeża.

Tygodnik „Anteni" poddał krytyce postępowanie handlu, który wycofał ze sprzedaży poszukiwane spodnie dla wędkarzy, a następnie wprowadził je ponownie do sprzedaży, ale po cenach 17,30 lewa, zamiast 5,50 lewa, jak było uprzednio. Spodnie są szyte z tego samego materiału, tylko kieszenie mają mniej wygodne. Poprzednich nie ma i klient nie ma wyboru, musi kupować droższe. „Anteni" przypomina, że nie jest to odosobniona praktyka handlu, ale tym razem przebrano już miarę.

CSRS

W Czechach obowiązuje od 1 stycznia 1987 roku nowa ustawa o ochronie przyrody. Każdy, kto niszczy przyrodę podlega karze: osoba prywatna do 5 tysięcy koron, instytucja — do 250 tysięcy koron. W sprawach drobniejszych przewinień karać mogą — bez uciekania się do opinii ekspertów — kolegia przy radach narodowych. Obowiązuje cennik dla wyrządzających szkody w przyrodzie. Na przykład za zabicie orła kara wynosi 50 tysięcy koron, bociana białego — 4 tysiące koron, zniszczenie drzewa będącego pod ochroną o średnicy pnia powyżej 40 cm — 18 tysięcy koron, innego drzewa o średnicy pnia 20 cm — 680 koron. Cennik ten nie obowiązuje w Słowacji.

JUGOSŁAWIA

Szeroko czytany i dyskutowany jest 57 numer słoweńskiego pisma „Nova Revia", w którym zamieszczono 16 artykułów stanowiących „Przyczynki do słoweńskiego programu narodowego". Programu wprawdzie nie ma, ale — zdaniem autorów — powinien powstać. W artykułach tych mówi się między innymi na temat samodzielności poszczególnych państw w federacyjnej Jugosławii. Zarzuca się, że nie wszystkie one są w pełni suwerenne, jak też, że nie wszystkie narody dojrzały do samodzielności. Zdaniem jednego z autorów — a zdanie to nie jest pozbawione aprobaty w Słowenii — Ivana Urbanczicia, Słoweńcy są narodem najbardziej rozwiniętym, republika Słoweńska najbardziej predysponowana do samodzielności federacyjnej. Tymczasem Słowenia musi dotować inne, mniej rozwinięte republiki, co wpycha Słowenię w kryzys i rodzi stagnację. Tymczasem Słoweńcy najbardziej różnią się od innych narodów Jugosławii językiem, kulturą, tradycją i sposobami gospodarowania. Tych różnic nie bierze się jednak pod uwagę. Inny autor — Spomenka Hribar — domaga się nawet własnego wojska dla Słowenii.

Poglądy te obok dużego zainteresowania wywołały też duży sprzeciw i polemikę. Paulina Risimović w tygodniku „Svet" zacytowała między innymi wypowiedź historyka Janko Pletersk ego, którego książka „Narody, Jugosławia, Rewolucja" zyskała w 1985 roku nagrodę belgradzkiego tygodnika „NIN". Powiedział on: — *„Demokratyczna swoboda myślenia jest warunkiem samorządności, ale są i rzeczy, o których nie można dyskutować, jeśli nie pragniemy podcięcia gałęzi, na której siedzimy"*. Poglądy zaprezentowane w 57 numerze „Nova Revia" nazwał on starymi, które uznają tylko niektórzy Serbowie, Chorwaci i Słoweńcy. Uznał je też za bliskie poglądom czetników i przypomniał, że Włochy podpisały układy z Jugosławią, a nie ze Słowenią czy inną republiką. Gdyby nie powstała Jugosławia i nie wzięła pod opiekę inne narody, to na mocy starego układu z 12 listopada 1920 roku zawartego w Rapallo przeszło pół miliona Chorwatów i Słoweńców byłoby pod panowaniem włoskim.

Prezydium KC ZKJ na posiedzeniu 11 marca 1987 roku określiło poglądy zawarte w 57 numerze pisma „Nova Revia" jako antykomunistyczne i antyjugosłowiańskie i poparło poczynania Prezydium KC ZK Słowenii, zmierzające do wyjaśnienia drogą działania politycznego istoty poglądów zaprezentowanych w 57 numerze pisma „Nova Revia".

NRD

Agencja ADN omówiła mającą się w tych dniach ukazać w NRD książkę profesora Uniwersytetu im. Wilhelma Humboldta w Berlinie — Reinera Wernera. Książka nosi tytuł: „Homoseksualizm — wyzwanie dla wiedzy i tolerancji". W książce tej uczony z NRD stawia tezę o konieczności integracji homoseksualistów ze społeczeństwem. Uważa on, że ludzi należy oceniać wedle ich społecznej użyteczności, a nie skłonności seksualnych. W NRD dawno już unieważniono przepisy prawne dyskryminujące homoseksualistów. Zdaniem Reinera Wernera homoseksualizmu nie należy traktować jako szkodliwego społecznie zjawiska, choroby czy skutków wadliwego wychowania. Jest on jedynie przejawem ludzkiej osobowości i tego nie wolno negować. Zdaniem uczonego również nie wolno choroby AIDS ściśle wiązać z homoseksualizmem, gdyż homoseksualiści chorobę tę jedynie przenoszą w sposób przypadkowy. Zdaniem ADN pojawienie się tej książki powinno się przyczynić do *„stworzenia niezakłóconej koegzystencji pomiędzy homoseksualistami a heteroseksualną większością ludności"*.

WĘGRY

Na Węgrzech powstał Związek Zawodowy Pisarzy, na czele którego stanęła Erzsebet Galgoczi. Ona też na łamach „Elet es Irodalom" („Życie i Literatura") wyjaśnia, że jest to związek zawodowy, który grupuje pisarzy, poetów, tłumaczy, aby zajmować się ich interesami życiowymi, zawodowymi i nie jest przeciwstawny dla Związku Pisarzy WRL. Niektóre instytucje nie chciały pertraktować ze ZP WRL, uważając go za organizację społeczną, która nie jest upoważniona do obrony zawodowych interesów pisarzy. Do ZZ Pisarzy może należeć każdy członek ZP WRL i Funduszu Literackiego WRL, kandydatury pozostałych będą rozpatrywane oddzielnie. ZZP zamierza usprawnić opiekę lekarską nad pisarzami, uporządkować zagadnienia związane z honorariami, jak też zainteresować się warunkami życia młodych i starych pisarzy.

P. ŻARLINEK

Doktor Żywago (Fragmenty)

BORYS PASTERNAK

ROZDZIAŁ XV

1.

Pozostaje nam dopisać do końca niezbyt skomplikowaną historię Jurija Andriejewicza, osiem czy dziewięć ostatnich lat jego życia, w ciągu których coraz bardziej poddawał się i zamykał w sobie, zatracając swoje umiejętności zawodowe i pisarskie; niekiedy na krótko ożywiał się, zaczynał działać, by po chwilowym przypływie aktywności znów popaść w stan całkowitej obojętności wobec samego siebie i całego świata. W ciągu tych lat rozwinęła się jego zadawniona choroba serca, którą zresztą sam kiedyś rozpoznał, nie zdając sobie sprawy z jej powagi.

Do Moskwy wrócił w początkach NEP-u, najbardziej obłudnego i fałszywego okresu władzy radzieckiej. Wychudł, zarósł i zdziczał jeszcze bardziej niż w czasie swej wędrówki z partyzanckiej niewoli do Juriatina. Po drodze znów pozbywał się wszystkiego, co mogło mieć jakąkolwiek wartość, i wymieniał to na chleb z dodatkiem jakichś podartych szmat, ratujących go przed całkowitą nagością. W ten sposób przejadł swoją drugą szubę i garnitur, i na ulicach Moskwy pojawił się w szarej papasze, łachmanach i wytartym żołnierskim szynelu z odprutymi guzikami, który przypominał więzienny kaftan. W stroju tym niczym nie różnił się od niezliczonych czerwonoarmistów, tłumnie przewalających się przez place, bulwary i dworce stolicy.

Do Moskwy nie przyszedł sam. Jak cień towarzyszył mu sympatyczny wiejski chłopak, ubrany tak jak doktor w podarte żołnierskie rzeczy. W takim stanie pojawiali się w tych ocalałych moskiewskich domach, w których upłynęło dzieciństwo Jurija Andriejewicza, gdzie pamiętano go i przyjmowano wraz z jego współtowarzyszem po uprzednim dyskretnym upewnieniu się, czy byli już w łaźni — tyfus plamisty wciąż jeszcze szalał — i gdzie Jurijowi Andriejewiczowi opowiedziano o okolicznościach wyjazdu jego najbliższych za granicę.

Obaj stronili od ludzi, i na skutek wyostrzonego skrępowania unikali sytuacji, gdy w gości trzeba było pójść w pojedynkę, lub co gorsza podtrzymywać rozmowę przy stole. Zazwyczaj więc u znajomych wyrastały dwie długie i chude postacie, kryły się w jakimś kącie i w milczeniu siedziały tam przez cały wieczór, nie biorąc żadnego udziału w konwersacji.

Przy swoim młodym współtowarzyszu wysoki i chudy doktor w podartej odzieży sprawiał wrażenie wędrownego proroka, zaś chłopak — posłusznego, ślepo oddanego ucznia i następcy. Kim był ów młody człowiek?

2.

Ostatnią część wędrówki do Moskwy Jurij Andriejewicz odbył koleją, a pierwszą, o wiele dłuższą, przeszedł piechotą.

Widok wsi, przez które przechodził, niczym nie różnił się od tego, co widział na Syberii i na Uralu po ucieczce z leśnego oddziału. Wtedy jednak szedł przez kraj skuty zimą; teraz zaś, w pierwszych dniach ciepłej i suchej jesieni, wędrowało się o wiele lżej.

Połowa mijanych osad nie była całkowicie wyludniona jak po przejściu nieprzyjaciela, pola daremnie czekały na zżęcie zboża; rzeczywiście były to następstwa wojny, wojny domowej.

Przez dwa czy trzy ostatnie dni września szlak wędrówki Jurija Andriejewicza wiódł wzdłuż wysokiego, urwistego brzegu rzeki. Rzekę, płynącą mu naprzeciw, Jurij Andriejewicz miał po prawej stronie. Z lewej szeroko, aż do usianej zgliszczami linii horyzontu, rozpościerały się nie zżęte pola. Z rzadka przerywały je lasy — liściaste, z przewagą dębów, wiązów i klonów. Lasy porastające głębokie wąwozy wybiegały ku rzece, przecinając drogę urwiskami i stromymi zboczami.

Na nie zżętych polach ziarno nie utrzymywało się w przejrzałych kłosach, sypało się z nich, wyciekało na ziemię. Jurij Andriejewicz garściami zgarniał je do ust i żuł, z trudem, gdy nie było możliwości ugotowania kaszy. Żołądek źle trawił surowy pokarm.

Jurij Andriejewicz nigdy w życiu nie widział jeszcze tak złowieszczo burego, brozowego zboża o barwie starego ściemniałego złota. Zboże zżęte w porę jest zazwyczaj o wiele jaśniejsze.

Te płonące bez ognia, te bezgłośnie wołające o ratunek pola obramowane były bezkresnym zwróconym już ku zimie niebem, po którym nieprzerwanie sunęły długie, ciężkie obłoki o czarnym wnętrzu i białych obrzeżach.

Wszystko znajdowało się w ruchu, powolnym i równomiernym. Płynęła rzeka. Droga biegła jej naprzeciw. Po drodze szedł doktor. W tę samą stronę co on ciągnęły obłoki. Pola poruszały się również. Coś ożywiało je bezustannym, drobnym, budzącym wstręt mrowieniem.

W niesłychanych, nie spotykanych dotychczas ilościach na polach rozmnożyły się myszy. Biegały po twarzy i rękach doktora, wślizgiwały się do nogawek i rękawów jego łachmanów, gdy czasem przychodziło mu nocować gdzieś na miedzy. W dzień niezliczone stada przelewały się przez drogę, zamieniając się pod podeszwami w śliską, piskliwą i drgającą miazgę.

Straszne, zdziczałe kosmate wiejskie kundle, które jak gdyby naradzały się wzrokiem kiedy rzucić się na doktora, ciągnęły za nim całą watahą. Na razie zachowywały pełen szacunku dystans. Żywiły się padliną, nie gardziły też mysim mięsem. Obserwowały doktora z daleka, przez cały czas na coś czekając. Unikały jednak lasu: na jego widok zostawały w tyle, skręcały gdzieś w bok, i znikały.

Las był wówczas przeciwieństwem pól. Pola pozbawione człowieka sprawiały wrażenie osieroconych, przeklętych. Lasy, uwolnione od człowieka, odżywały na wolności jak wypuszczeni z cel więźniowie.

Zazwyczaj ludzie, zwłaszcza wiejskie dzieciaki, nie dają dojrzeć orzechom i zrywają je jeszcze zielone. Teraz leśne stoki wzgórz i wąwozów tonęły w nietkniętym, szorstkim, złocistym listowiu, jak gdyby przykurzonym i spierzchniętym od jesiennej opalenizny. W gęstwinie połyskiwały strojne, sterczące, powiązane wstążkami i kokardami, zrośnięte po trzy i cztery orzechy, dojrzałe, gotowe w każdej chwili wyprysnąć ze swoich łusek. Jurij Andriejewicz gryzł i jadł te orzechy bez końca, napychał nimi kieszenie, sakwę. Przez tydzień orzechy były jego głównym pożywieniem.

Doktor miał wrażenie, że na pola patrzy oczami człowieka ciężko chorego, trawionego gorączką, zaś las ogląda jako szczęśliwy rekonwalescent, że w lesie zamieszkał Bóg, a na polach błąka się wężowy uśmiech diabła.

3.

Jakoś w tych dniach, w tej części wędrówki doktor zaszedł do całkowicie spalonej, opuszczonej przez mieszkańców wsi. Przed pożarem wieś ciągnęła się jednym rzędem przez drogę od rzeki. Po stronie rzeki domów nie budowano.

We wsi ocalało zaledwie kilka pojedynczych chat, poczerniałych i opalonych z zewnątrz. One również były puste, nie zamieszkałe. Pozostałe domy zamieniły się w kupy zgliszcz, z których sterczały w niebo czarne kikuty kominów.

Nadrzeczne urwiska pokryte były jamami — mieszkańcy wsi wydobywali stamtąd kamienie do żaren. Trzy takie nie dokończone kamienie młyńskie leżały na ziemi naprzeciwko ostatniej ocalałej chaty. Ta chata również była pusta.

Jurij Andriejewicz wszedł do środka. Wieczór był cichy, ale w momencie otwarcia drzwi do chaty wtargnęło coś na kształt wiatru. Po podłodze potoczyły się we wszystkie strony kłęby siana i pakuł, na ścianach zatrzepotały strzępy papieru. Chata poruszyła się, zaszeleściła. Do dziur z piskiem rozbiegły się myszy, od których roiła się cała okolica.

Doktor wyszedł z chaty. Daleko za polami chowało się słońce. Zachód rozpalał ciepłe złociste zorze na przeciwległym brzegu rzeki, odbicia pojedynczych krzewów i zarośli wyciągały się aż na środek toni. Jurij Andriejewicz przeszedł przez drogę i usiadł odpocząć na jednym z kamieni.

Z dołu, zza krawędzi urwiska wysunęła się pokryta szopą jasnych włosów głowa, potem ramiona, ręce. Ktoś wspinał się od rzeki z wiadrem pełnym wody. Człowiek zobaczył doktora i przystanął, wysuwając się zza urwiska do pasa.

— Chcesz wody, dobry człowieku? Nie rusz mnie, to i ja ciebie nie ruszę.

— Dziękuję. Daj, napiję się, Wychodźże, nie bój się. Po co miałbym cię ruszać?

Właściciel wiadra okazał się obdartym i bosym wyrostkiem. Nie zważając na przyjazne słowa wpił w doktora niespokojny, przenikliwy wzrok. Nie wiadomo dlaczego chłopak był dziwnie zdenerwowany. Postawił wiadro na ziemi, rzucił się ku doktorowi, zatrzymał się w pół kroku i wymamrotał:

— Nijak... nijak...nie, to nie może być zwijuje mi się... Wybaczcie, towarzyszu... pozwólcie że zapytam... wydało mi się, że wy to całkiem znajomy człowiek.... No tak. No tak! Wujek doktor!

— A tyś kto?

— Nie poznajecie?

— Nie.

— Z Moskwy w eszelonie z wami jechaliśmy, w jednym wagonie. Na front pracy pędzili. Pod strażą.

Był to Wasia Brykin. Padł przed doktorem na kolana, zaczął całować jego ręce i rozpłakał się.

Jak się okazało, spalona wieś to były Wierietienniki, rodzinna miejscowość Wasi. Jego matka nie żyła. Podczas pacyfikacji wsi i pożaru, gdy Wasia ukrywał się w jamie po kamieniu, matka zwariowała, przekonana że Wasię wywieźli do miasta, i utopiła się w rzece Pełdze, tej samej, nad brzegiem której teraz obaj siedzieli. Siostry Wasi, Alonka i Ariszka, znajdowały się ponoć w domu dziecka, ale były to nie sprawdzone wiadomości. Doktor zabrał Wasię ze sobą do Moskwy. Po drodze Wasia opowiedział Jurijowi Andriejewiczowi wiele przerażających rzeczy.

7.

Marina mieszkała z doktorem na Spirydonówce. Gordon wynajmował pokój tuż obok, na Małej Bronnej, Marina i doktor mieli dwie córki, Kapkę i Kławkę. Kapitolina, Kapielka, skończyła sześć lat, niedawno urodzona Kławdia — sześć miesięcy.

Początek lata tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku był upalny. Znajomi bez kapeluszy i marynarek przemierzali dwie — trzy ulice i odwiedzali się wzajemnie.

Pokój Gordona miał dziwną formę. W lokalu tym znajdowała się dawniej dwupoziomowa pracownia modnego krawca. Oba poziomy obramowywała od ulicy ogromna lustrzana witryna. Na szkle złotymi literami wypisane było nazwisko krawca i rodzaj jego zajęcia. Wewnątrz spiralne schody łączyły oba pomieszczenia.

Obecnie podzielone były one na trzy.

Dobudowując pomosty wygospodarowano dodatkową klitkę o dziwacznym oknie. Miało metr wysokości i znajdowało się na poziomie podłogi. Szybę pokrywały resztki złotych liter. Między literami widać było do kolan nogi osób przebywających w pokoju. Tam mieszkał Gordon. Gościł właśnie doktora, Dudorowa i Marinę z dziećmi. W przeciwieństwie do dorosłych dzieci doskonale mieściły się w oknie. Wkrótce Marina zabrała dziewczynki i wyszła. Mężczyźni zostali sami.

Toczyła się między nimi rozmowa, jedna z tych letnich leniwych i nieśpiesznych rozmów dawnych kolegów szkolnych, którzy nie pamiętają już, od ilu lat się przyjaźnią. Jak wyglądają takie rozmowy?

Niektórzy dysponują bogatym i wystarczającym zasobem słów. Ludzie ci mówią i myślą w sposób naturalny i precyzyjny. W takiej sytuacji był tylko Jurij Andriejewicz.

Jego przyjaciołom nie starczało potrzebnych słów i wyrażeń. Braki swego ubogiego słownictwa nadrabiali chodzeniem po pokoju, paleniem papierosów, wymachiwaniem rąk, powtarzaniem tych samych zwrotów („to, bracie, nieuczciwe; właśnie, nieuczciwe; tak, tak, nieuczciwe").

Zakończenie

Nie zdawali sobie sprawy, że ten niepotrzebny dramatyzm wcale nie oznacza siły i władczości charakteru, lecz wręcz przeciwnie, świadczy o jego ułomności i niedoskonałości.

Gordon i Dudorow wywodzili się z dobrych profesorskich kręgów. Życie ich toczyło się wśród dobrych książek, dobrych myślicieli, dobrych kompozytorów, dobrej — dawniej i obecnie dobrej — muzyki; nie wiedzieli, że przeciętność gustów jest gorsza niż brak gustu w ogóle.

Gordon i Dudorow nie wiedzieli nawet, że zarzuty, którymi zasypywali doktora, nie wynikają z przyjacielskiej troski o niego i chęci wpłynięcia na jego postępowanie, lecz są jedynie następstwem braku umiejętności wysławiania się i panowania nad swoją myślą w rozmowie. Rozpędzony wóz dyskusji niósł ich w kierunku, w którym bynajmniej nie pragnęli jechać. Nie mogli zatrzymać tego wozu, i wiadomo było, że w końcu na coś wpadną i o coś się roztrzaskają. I rzeczywiście — razem z ładunkiem swoich pouczeń rozbijali się o Jurija Andriejewicza.

On zaś jak na dłoni widział sprężyny ich patosu, ubogość myśli, cały mechanizm ich psychologii. Nie mógł im jednak powiedzieć. „Drodzy przyjaciele, jak beznadziejnie pospolici jesteści wy, i kręgi, które reprezentujecie, i blask waszych autorytetów, i nazwiska, które darzycie szacunkiem. Jedyną prawdziwą i znaczącą waszą wartością jest to, że znaliście mnie i żyliście w tym samym czasie co ja". Czyż jednak można mówić przyjaciołom takie rzeczy? I żeby nie robić im przykrości, Jurij Andriejewicz pokornie wysłuchiwał obydwóch.

Dudorow wrócił niedawno ze swojej pierwszej zsyłki. Przywrócono mu wszystkie prawa, których czasowo był pozbawiony. Uzyskał też zgodę na prowadzenie wykładów i wznowienie pracy na uczelni.

Dzielił się teraz z przyjaciółmi swoimi wrażeniami i przeżyciami z zesłania. Mówił szczerze i z autentycznym przekonaniem. Jego uczucia nie wynikały z tchórzostwa, ani nie były rezultatem jakichś nacisków zewnętrznych.

Mówił, że dowody winy, traktowanie go w więzieniu i po wyjściu na wolność, a zwłaszcza rozmowy ze śledczym wychowały go na nowo, że dojrzał politycznie, że dopiero teraz otworzyły mu się oczy, że rozwinął się jako człowiek.

Wyświechtane frazesy Dudorowa odpowiadały Gordonowi. Współczująco przytakiwał Innokientijowi i zgadzał się z nim całkowicie. Właśnie stereotypowość wygłaszanych przez Dudorowa opinii poruszała Gordona najbardziej. W klepanych banałach dopatrywał się prawd o wymiarze ogólnoludzkim.

Prawomyślne wywody Dudorowa były zgodne z duchem czasów. Ta prawomyślność i oczywista obłuda wstrząsały Jurijem Andriejewiczem. Człowiek pozbawiony wolności zawsze idealizuje swoją niewolę. Tak było w średniowieczu, na tym zawsze bazowali jezuici. Jurij Andriejewicz nie cierpiał politycznego mistycyzmu radzieckiej inteligencji, tego, co było jej największym osiągnięciem, lub jakby wtedy powiedziano, „duchowym sufitem epoki". Jurij Andriejewicz ukrywał przed przyjaciółmi i to odczucie, żeby się nie spierać.

Zainteresowało go natomiast coś innego, opowieść Dudorowa o Bonifacym Orlecowie, jego współtowarzyszu z celi, duchownym. Orlecow miał sześcioletnią córkę Krystynę. Aresztowanie i dalsze losy ukochanego ojca wstrząsnęły nią. Słowa „wyznawca kultu", „pozbawiony praw" i inne takie określenia wydały się jej piętnem hańby. Całą mocą dziecięcego serca przysięgła sobie zmyć to piętno z dobrego ojcowskiego nazwiska. Ten szlachetny i płonący w niej niegasnącym płomieniem cel spowodował, że już teraz stała się po dziecięcemu niezłomną wyznawczynią niepodważalnych w jej mniemaniu prawd komunizmu.

— Wyjdę — mówił Jurij Andriejewicz. — Nie gniewaj się, Misza. Tu jest duszno, na ulicy gorąco. Brakuje mi powietrza.

— Widzisz, że lufcik na podłodze jest otwarty. Wybacz, nadymiliśmy. Ciągle zapominamy, że nie należy palić w twojej obecności. Co ja poradzę, że to tak głupio zbudowali. Znajdź mi inny pokój...

— Wyjdę, Gordusza. Nagadaliśmy się. Dziękuję wam za troskliwość. To nie fochy, tylko choroba, arterioskleroza. Ścianki serca zużywają się, robią się coraz cieńsze, i któregoś dnia mogą pęknąć. Trzasnąć. A przecież nie mam jeszcze czterdziestki. Chciałbym jeszcze trochę pożyć.

— Za wcześnie się przejmujesz. Jeszcze pożyjesz.

— Ostatnio znacznie zwiększyła się liczba i częstotliwość ataków serca. Nie wszystkie przypadki kończą się oczywiście śmiercią. To choroba naszych czasów. Myślę, że ma podłoże psychologiczne i moralne. Od przeważającej większości ludzi wymaga się permanentnego, ujętego w system zakłamania. Nie można bez szkody dla zdrowia dzień w dzień postępować wbrew temu co się czuje, płaszczyć się przed tym czego się nie znosi, cieszyć się z tego, co przynosi ci nieszczęście. Nasz system nerwowy to nie pusty dźwięk, nie wymysł. To zbudowane z tkanki ciało. Dusza zajmuje miejsce w przestrzeni i mieści się w nas jak zęby w ustach. Nie można bezkarnie dręczyć jej w nieskończoność. Ciężko mi było słuchać twojego opowiadania o zsyłce, Innokientij, o tym jak tam dojrzewałeś i jak się tam wycnowałeś na nowo. To tak, jakby koń opowiadał, że sam się ujeździł na maneżu.

— Będę bronić Dudorowa. Ty po prostu odwykłeś od ludzkich słów. Przestały do ciebie docierać.

— Być może, Misza. W każdym razie przepraszam, puśćcie mnie. Nie mam czym oddychać. Naprawdę, nie przesadzam.

— Poczekaj. To wykręty. Nie puścimy cię, dopóki nam szczerze i uczciwie nie odpowiesz. Czy zgadzasz się z tym, że musisz się zmienić, poprawić? Co masz zamiar zrobić w tym względzie? Powinieneś uporządkować swoje sprawy z Tonią, z Mariną. To żywe istoty, kobiety, które potrafią czuć i cierpieć, a nie bezcielesne idee, snujące się po twojej głowie. Poza tym wstyd, żeby taki człowiek jak ty marnował się bez żadnego pożytku. Musisz obudzić się z tego snu, skończyć z tym lenistwem, otrząsnąć się, musisz odnaleźć się w rzeczywistości, pozbyć się tej nieuzasadnionej dumy, tak tak, tej niedopuszczalnej hardości, podjąć pracę, zacząć praktykować.

— Dobrze, odpowiem wam. Ostatnio sam często myślę o sobie w tym duchu i dlatego bez cienia wstydu mogę wam coś niecoś obiecać. Mam wrażenie, że wszystko się jakoś ułoży. I to szybko. Zobaczycie. Słowo daję. Wszystko zmierza ku lepszemu. To niewiarygodne, jak bardzo człowiekowi chce się żyć, a żyć to znaczy iść do przodu, dążyć do doskonałości, i osiągać ją. Cieszę się, Gordon, że stajesz w obronie Mariny tak samo, jak dawniej broniłeś Toni. Ale między nami nie ma żadnych rozdźwięków, nie prowadzę żadnej wojny ani z Mariną, ani z nikim innym. Zarzucałeś mi, że Marina zwraca się do mnie per „wy", a ja do niej „ty" — mnie również to ciążyło. Ale przecież dawno już wykorzenione zostało podłoże tej sztuczności, wszystko się uładziło, zapanowała równość. Pragnę też zakomunikować wam drugą przyjemną nowinę. Znów zacząłem dostawać listy z Paryża. Dzieci wyrosły, czują się zupełnie swobodnie wśród swoich francuskich rówieśników. Szura kończy tamtejszą szkołę podstawową, ecole primaire, Mania zaczyna naukę. Przecież w ogóle nie znam swojej córki. Ale wciąż wierzę, że wkrótce wrócą, i wszystko się jakoś ułoży.

Mam podstawy przypuszczać, że teść i Tonia wiedzą o Marinie i dziewczynkach. Sam im o tym nie pisałem, musiały dowiedzieć się od kogoś innego. Aleksander Aleksandrowicz poczuł się naturalnie urażony w swoich ojcowskich uczuciach, żal mu Toni. Tym tłumaczę prawie pięcioletnią przerwę w korespondencji. Po powrocie do Moskwy przez pewien czas pisywaliśmy do siebie. Potem nagle przestali odpowiadać na listy. Urwało się.

Ostatnio listy znów zaczęły przychodzić. Od wszystkich, od dzieci też. Listy są ciepłe, serdeczne. Coś się zmieniło. Może Tonia znalazła sobie kogoś, daj jej Boże. Nie wiem. Też czasem do nich pisuję. Słuchajcie, ja już naprawdę nie mogę. Wyjdę, bo się uduszę. Do widzenia.

Następnego ranka do Gordona przybiegła półżywa Marina. Nie miała z kim zostawić dzieci; jedną ręką przyciskała do piersi otuloną w koc Kławę, drugą ciągnęła opierającą się Kapkę.

— Jura tu jest? — spytała nieswoim głosem.

— A co, nie nocował w domu?

— Nie.

— No to jest u Innokientija.

— Byłam tam. Innokientij jest na uniwersytecie. Sąsiedzi znają przecież Jurę. Nie było go tam.

— Więc gdzież on jest?

Marina położyła Kławę na kanapie. Dostała ataku histerii.

Przełożył:
MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

— Pomyśl o jakimś tekście do numeru na pierwszy kwietnia — powiedział naczelny.

Pomyślałem: dlaczego tylko ja mam myśleć? Niech inni też myślą. I niewiele myśląc wymyśliłem dwa pytania a propos, które zadałem kilku znajomym:

1. Czy jesteś zwolennikiem wzajemnego nabierania się w dniu 1 kwietnia?

2. Czy dajesz się nabierać znajomym, prasie, TV i radiu na kawały primaaprilisowe i czy sam bierzesz w tym czynny udział?

ALICJA STOKOWSKA, lekarz stomatolog:

1. Oczywiście tak, ale z tym, że kawał będzie naprawdę dowcipny, sympatyczny i sprawiający przyjemność zarówno nabierającemu jak i nabieranemu Chyba żadna z moich pacjentek nie byłaby uszczęśliwiona, gdybym jej powiedziała: „Musi pani usunąć przednie zęby", a po chwili — ha, ha, prima aprilis!

2. Rzadko, jako że te kawały są szyte grubymi nićmi, a w otaczającej nas rzeczywistości często spotykamy sytuacje, które wydają się być doskonałymi żartami, a okazują się najprawdziwszą prawdą.

JACEK ZAORSKI, dyrektor Wydawnictwa Łódzkiego:

1. Tak, ale dopiero od 9 rano, bo raz jakiś dowcipniś zadzwonił do mnie tuż po północy. Już nie pamiętam, co powiedział, chyba, że Wisła się pali, czy coś w tym rodzaju.

2. Jestem odporny na kawały mass mediów, a zwłaszcza znajomych. Jeden z nich chciał mnie kiedyś nabrać twierdząc, że jego książka, którą złożył w wydawnictwie, to absolutny bestseller, jakiego jeszcze nie było. Sam nikogo nie nabieram ani tego dnia, ani w inne, chociaż niektórzy autorzy twierdzą, że robię im kawały przy ustalaniu wysokości nakładu i stawek...

LECH SOSNOWSKI, prezes Oddziału SDH „Central":

1. Dla mnie prima aprilis to wspaniała minizabawa, mająca wielowiekową tradycję w Polsce i innych krajach. Jestem „za"

Prima aprilis!

również z przyczyn bardziej racjonalnych. Otóż wielu rodaków uważa, że w Polsce prima aprilis trwa 365 (lub 366) dni w roku, a więc po co specjalnie eksponować pierwszy kwietnia? Ja natomiast jestem gorącym zwolennikiem wzajemnego nabierania się wyłącznie w tym dniu.

2. Na ogół nie daję się nabierać na kawały primaaprilisowe tzn. na historyjki nieprawdziwe, wyglądające na prawdę. Lecz samo życie zweryfikowało tę zabawę: coraz więcej spraw prawdziwych wygląda na nieprawdziwe. Jeszcze nie tak dawno uważano, że człowiek na Księżycu to wspaniały żart primaaprilisowy. A dziś? Coraz trudniej rozeznać się w różnych sprawach. W sporcie np. po przegranym meczu piłki nożnej jeden trener twierdzi, że przyczyną było przetrenowanie, drugi przysięga, że niedotrenowanie. I kto tu mnie nabiera? Na jedną wiadomość nie dałbym się na pewno nabrać: gdybym 1 kwietnia otrzymał informację, że budownictwo w planowanym terminie odda do użytku tzw. „Central 2", nowo adaptowany obiekt handlowy, uznałbym to za pierwszorzędny dowcip...

WIESŁAW MACHEJKO, dziennikarz, łódzki Ośrodek TV:

1. Tak, ale powinno to czemuś służyć. Ot, choćby rozładowaniu tzw. tłumionych kompleksów (patrz: teoria Freuda). Np. wobec swego zwierzchnika Pierwszego kwietnia ładujemy się do jego gabinetu odtrąciwszy sekretarkę, maszynistkę, gońca i kierowcę — i przy wszystkich bezczelnie śmiejemy mu się w twarz: „No i co, ty stary capie, gorylu, orangutanie, karierowiczu, lizusie, tchórzu, łapowniku?! Doczekałeś się! Czaili się, czaili, aż wreszcie napisali w gazecie wszystko. Prokurator, NIK, PIH, IRCh są już w drodze. Masz ostatnią szansę, pal notatki, wylewaj wódę schowaną w skoroszyty, zjadaj adresy swych panienek!". A gdy przerażony szef kończy wymienione czynności, pokazujesz mu gazetę, w której jest... kolejny panegiryk na jego cześć pióra miejscowego zaprzyjaźnionego dziennikarza. Wtedy możesz zawołać: „prima aprilis!", a zaraz potem strzelić sobie w łeb. W każdym razie jeden z twych kompleksów został rozładowany.

2. To jedyny dzień w roku, kiedy optymistycznie można spojrzeć na świat. Dzwoni przyjaciel z SD PRL: „Stary, składałeś podanie na samochód?". — „Dziesięć razy". — „No i właśnie dostałeś!" — Niemożliwe! Inni są lepsi, bardziej zasłużeni...". — „Dziś takich nie ma! — ryczy przyjaciel — dziś jesteś ty!". — „Dlaczego właśnie dziś?" — spoglądasz na kalendarz i rozumiesz. Ale te piętnaście sekund były najbardziej uroczymi w długich latach wyczekiwania na talon, potem (zmiana ekipy) na asygnatę, teraz — na auto karawan.

Czy biorę udział w nabieraniu bliźnich? Tak, prawie 35 lat. Za dobry pomysł primaaprilisowy naczelny daje nagrodę. Ale co wymyślić? Ruchome chodniki na Piotrkowskiej... Już były i padły. Bo kto miałby latać w nich dziury? UFO na Górniaku... Które to już UFO? Nikt nie uwierzy. Nieznany poemat łódzkiego poety... Wszystkie są nieznane. Opony, ogromny wybór w „Stomilu"! Zmiana czasu dla spragnionych, nie od 13, lecz już od 7 rano. Trudno dziś wykołować ludzi, panie Adamie. Nie z nimi takie numery... Ochocki! Nie tacy jak my ich nanierali. Oni mają swoje przeciwciała. Immunologia!

JAN PIOTR GROMIĘC, pracownik naukowy:

1. Oczywiście tak.

2. Pomysły środków masowego przekazu z reguły są pozbawione fantazji, nie sposób się na nie nabrać. Z góry wiadomo, że będą to informacje w rodzaju: powrót tramwajów na Piotrkowską, otwarcie pierwszej stacji metra, czy jakiś dziwoląg przyrodniczy. Jedyną znaną mi udaną próbą nabrania większej liczby osób przeprowadziło kiedyś Studio „Żak", prowadzące radiowęzeł w domach studenckich PŁ. Otóż koledzy z tego studia, nagrawszy uprzednio na magnetofonie poranny program radiowy, w którym, jak wiadomo, często podawany jest dokładny czas, puścili go pierwszego kwietnia o godzinę wcześniej. Poza tym wszystko się zgadzało, tyle że wiadomości dziennika nie były aktualne, na co zresztą nikt nie zwrócił uwagi — i mieszkańcy akademika godzinę wcześniej niż zwykle pognali w popłochu na zajęcia...

Na ulicy poprosiłem o wypowiedzenie się milicjanta z drogówki. Wprawdzie nie kazał mi dmuchać w balonik, ale popatrzył na mnie tak przenikliwie, że uznałem za stosowne wylegitymować się. Przejrzał mój dowód osobisty, legitymację, bąknął „W porządku", zasalutował — i poszedł.

Przechodzień, będący świadkiem tego qui pro quo, na oko emeryt ze starego portfela, odpowiedział: „Niech pan napisze, że jestem tego samego zdania, co wszyscy". — „Niepotrzebnie się pan krępuje. A dla ciekawości: ile pan ma lat?". — „Też tyle, co wszyscy".

No a ja? Co ja myślę o tradycji kawałów primaaprilisowych?

1. Ten dzień nie jest wyjątkiem. Nabierają mnie przez cały rok. Czekam na tramwaj. Ma kursować co 19 minut. Zjawia się po półgodzinie. Prima aprilis! Hydraulik z ROM miał przyjść w poniedziałek między 8 a 14. Przyszedł o 15. W piątek. Umówiłem się z Kimś na 14. Pomacałem klamkę. Ow Ktoś wybył. Prima aprilis! Mieli wyremontować — nie wyremontowali. Mieli dowieźć — nie dowieźli. Pani X (imię, nazwisko, adres znane redakcji) zapaliła się do mojej propozycji Ależ oczywiście! Z wielką chęcią! Ale gdy przyszło co do czego, powiedziała, że jej mąż się nie zgadza. Znowu zostałem nabrany. I tak codziennie, na okrągło. To może 1 kwietnia ogłosić dniem bez robienia sobie kawałów?

2. Znajomi jakoś odpuścili. Natomiast kawały, którymi nas raczą mass media, są tak toporne, że chyba tylko przedszkolaki dają się nabić w butelkę. Bije się w piersi. Ja też karmiłem czytelników „Expressu" sensacjami pierwszokwietniowymi. A to cielę się urodziło z trzema głowami, a to na pl. Wolności wyląduje helikopter z szejkiem arabskim i jego trzynastoma żonami, a w sklepach pojawiły się specjalne nocniki dla mańkutów z uchem z lewej strony. Ale to było przed pół wiekiem, a od tego czasu szare komórki czytelników jakby trochę wysubtelniały...

ADAM OCHOCKI

1

Pod prąd

Torf chciany i nie chciany

Mamy więc nową sensację — rewelacyjny preparat przeciwrakowy profesora Stanisława Tołpy z Akademii Rolniczej we Wrocławiu. Wszyscy o nim mówią — odkąd telewizja wyciągnęła tę sprawę niczym królika z kapelusza; wszyscy się emocjonują: skuteczny czy nieskuteczny?; wszyscy z napięciem czekają, co będzie dalej — jak na następny odcinek „Ośmiornicy". Cała prasa pisze o nim — „lek nadziei", i zachłystuje się informacją, że na wszechstronne badania nad preparatem rząd właśnie przeznaczył 760 mln złotych i 427 tys. dolarów. A skoro tak, to powinniśmy się cieszyć jak dzieci, skakać z radości do góry trzy razy dziennie przed jedzeniem i to niezależnie od tego, czy już mamy raka, czy też będziemy go mieli dopiero w przyszłości. Hurra!

A mnie to wcale nie cieszy. Powiem więcej: mnie bardzo smuci, że wicepremier Zbigniew Szałajda zobowiązał ministra Benona Miśkiewicza do przyznania AR we Wrocławiu 12 etatów dla pracowników, którzy zajmą się preparatem, że przewodniczący WRN i wojewoda wrocławski osobiście zaangażowali się w sprawę i że w ogóle tak nagle tak dużo się w tym kierunku robi. Przykro mi proszę Szanownych Czytelników, ale nie potrafię jakoś wykrzesać z siebie ani odrobiny radości.

Zaraz! Zaraz! Dajcie mi najpierw skończyć, bo gotowiście uwierzyć, że jestem wariat, wróg państwa i postępu, a na dodatek profesor Stanisław Tołpą uwiódł mi kiedyś żonę, za co teraz z lubością się na nim mszczę. Otóż nic z tych rzeczy! Przeciwnie, jestem pełen uznania dla profesora, szczerze go podziwiam i życzę mu z całego serca jak najlepiej, zaś jego preparat najchętniej widziałbym już jutro w aptekach. Niepokoi mnie i — powiem otwarcie — denerwuje coś całkiem innego. No bo zastanówmy się tylko:

Czy profesor Tołpa dokonał swego wynalazku wczoraj przed północą, że dziś tak o nim głośno? Ależ skąd. On pracował nad swoim preparatem od lat.

Czy gdyby nie zajęła się nim prasa, a przede wszystkim — telewizja, znalazłaby się szybko taka forsa na badania? Idę o zakład, że nie. Powiedziano by raczej: nie ma środków, za duże ryzyko, najpierw musimy spłacić długi, a w ogóle to nas to nie interesuje.

Wreszcie: czy najwyższe władze państwowe powinny interweniować w sprawie — przepraszam za ironię — jakiegoś tam preparatu torfowego, co do którego nie ma jeszcze pewności, iż rzeczywiście pomaga chorym na raka? Moim zdaniem, także nie! Oczywiście dobrze, że zainteresowały się wynalazkiem, że odważyły się sypnąć złotymi i zielonymi, ale gdyby na co dzień z takich działań miała się składać praca rządu, to kto kierowałby wtedy całą gospodarką? Kto podejmowałby decyzje o strategicznym znaczeniu?

W ostatnich latach „Odgłosy" dwukrotnie prezentowały na swych łamach piórami redaktorów Ryszarda Binkowskiego i Pawła Tomaszewskiego wynalazek, który może budzić wcale nie mniejsze nadzieje niż preparat profesora Tołpy. I co za zbieg okoliczności — również był to torf, tyle że zamieniony w paszę. Jak wykazały ponad 20-letnie eksperymenty, zwierzęta jedzą paszę z torfu chętnie, dobrze trawią, przybierają na wadze i wykazują się znakomitą kondycją. Pasza jest łatwa w produkcji, w pełni naturalna, stosunkowo tania i nie wymaga żadnego „wsadu dewizowego" w przeciwieństwie do pasz, jakimi z taką satysfakcją karmiliśmy nasze zwierzęta w poprzednim dziesięcioleciu.

I co? I nic!

Najpierw pasza z torfu długo nikogo nie obchodziła, bo byliśmy zajęci budowaniem drugiej Polski. Potem — żeby utrzeć nos natrętnemu wynalazcy — wypróbowani „eksperci" zdyskwalifikowali ją oficjalnie, choć prywatnie... Nie. nie zdradzę, co mówili prywatnie, gdyż nie chcę mieć procesu o zniesławienie. W każdym razie w końcu z ulgą o paszy zapomniano i w ten oto sposób jej trudny problem został z dziecinną łatwością rozwiązany.

Nie chciałbym dziś niczego przesądzać, ale gdyby swego czasu na przebadanie paszy z torfu znalazło się kilkaset milionów złotych, nawet bez dolarów, być może inaczej wyglądałoby teraz polskie rolnictwo, a i obraz sklepów mięsnych był nieco inny. Niestety, Stanisław Frontczak — autor wynalazku — nie ma tytułu profesorskiego, jest skromnym mieszkańcem Łodzi i nie zagląda do niego telewizja mimo, że pasza opatentowana została w PRL i w... USA.

Czy paszą z torfu także powinien zająć się teraz osobiście wicepremier Zbigniew Szałajda? Nie wiem. Być może tak, skoro zajął się preparatem torfowym, skoro nie było innego wyjścia, by nie poszedł on w błogie dla urzędników zapomnienie. Ja w każdym razie wolałbym, żeby tak jednym, jak i drugim wynalazkiem zajęły się samorzutnie, bez odgórnych nakazów i ze szczerą ochotą jakieś samodzielne przedsiębiorstwa, czy placówki naukowe w nadziei, że mogą w ten sposób zarobić i zaskarbić sobie społeczne uznanie. Żeby same były w stanie zaryzykować, poświęcić trochę grosza na niezbędne badania.

I z tego byłbym naprawdę zadowolony.

JÓZEF RETMAN

2

Co ma kot do nadmiaru zebrań?

Najpierw opowiem o kocie. Ten kot został zamordowany. Dokonał tego Roman R. z Gorzowa Wielkopolskiego. Najpierw kot mieszkał w piwnicy Romana R. I wszystko było w porządku. Później kot zjadł dwa kanarki Romana R. I już nie było w porządku. Roman R. — siedemnastoletni młodzieniec — najpierw kota skopał, a następnie opryskał jakimś łatwopalnym świństwem i... podpalił. W obronie kota stanął sąsiad z ulicy. Roman R. pobił interweniującego. Ale dwóch innych mężczyzn włączyło się do akcji i pojmanego mordercę kota zaciągnęli na milicję. Prawomocny wyrok opiewa na 6 miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem na 5 lat oraz ustanowiono opiekę kuratora sądowego. Chwała tym, którzy wystąpili w obronie mordowanego kota. Może innym młodocianym i nie tylko młodocianym sadystom odechce się.

Tyle o morderstwie kota.

Teraz możemy przejść do drugiej sprawy: do nadmiaru zebrań. Oto jak donosi „Dziennik Łódzki" w czwartek, 19 marca 1987 roku chorzy, którzy chcieli w śródmieściu Łodzi zaraz po południu złożyć wizytę lekarzowi, aby pomógł im w ich dolegliwościach, odeszli z kwitkiem, gdyż lekarze akurat gremialnie radzili nad... usprawnieniem pracy służby zdrowia. Takich przykładów można znaleźć więcej.

Gdy szuka się kontaktu z jakimś dyrektorem, kierownikiem i innymi urzędnikami różnych szczebli, to najczęściej dowiaduje się, że są oni akurat... na naradzie. W tej sytuacji w różnych województwach różni ludzie wpadli na pomysł, aby drastycznie ograniczyć ilość narad. Jak to zrobić? Wprowadzić dni bez narad. Dziennikarze ten pomysł podchwycili i rozpisali się o tym, jak to będzie fajnie, gdy nastaną dni bez zebrań.

Nie chcę odbierać pierwszeństwa „Teleexpressowi", ale to właśnie tam powiedziano, że cały ten szum koło dni bez zebrań, to nic nowego, bo w 1977 roku wydano takie zarządzenie, które postanawia, że „we wtorki, środy i soboty nie mogą być organizowane żadne zebrania". Sięgnąłem do źródła i okazało się, że tak. Istnieje takie zarządzenie. Nosi ono nr 49 i jest wydane przez prezesa Rady Ministrów 16 sierpnia 1977 roku. Jest i co gorsza obowiązuje, nikt go nie odwołał, ale nikt go nie przestrzega i teraz wielu przeciwników narad biega sobie w glorii, jako wybitni myśliciele, którzy wymyślili dni bez zebrań. A właśnie, że nie wymyślili.

Gdy swego czasu nie zapłaciłem podatku, bo zupełnie nie wiedziałem, że coś takiego mnie obowiązuje, urzędniczka powiedziała z przekąsem, że niewiedza nie broni przed działaniem prawa. Teraz mogę się zrewanżować i przypomnieć różnym urzędniczym wynalazcom, że niewiedza nie chroni przed działaniem prawa, a oni nie dość, że łamią zarządzenie, to jeszcze udają, że wymyślają coś nowego.

Opowiadałem o tym znajomemu, a on machnął lekceważąco ręką i powiedział: — E, takie tam zarządzenie, pewnie podpisał je Piotr Jaroszewicz! — Owszem podpisał je Piotr Jaroszewicz, ale co to ma do rzeczy? Jeśli zarządzenie, przepis, prawo jest złe, to należy je anulować, zmienić, znowelizować. Zapewne i to zarządzenie wymagałoby jakiejś korekty, choćby z tego powodu, że wtedy gdy powstało, nie było wolnych sobót. Ale istota jego jest racjonalna i powinna obowiązywać, a nie obowiązuje.

W tym miejscu czas wyjaśnić, co wspólnego ma kot z nadmiarem zebrań. Ma. Mianowicie Roman G. z Gorzowa Wielkopolskiego skazany został na podstawie rozporządzenia prezydenta Rzeczypospolitej o ochronie zwierząt wydanego w ...1928 roku. Prezydentem był wówczas Ignacy Mościcki, skompromitowany wraz z sanacją klęską wrześniową w 1939 roku, ale rozporządzenie wydane przez niego przed blisko 60 laty skutecznie działa i dziś. I nikt jakoś nie macha lekceważąco ręką.

Mam w związku z tym pewien wniosek. Proponowałbym nieśmiało, aby zawsze przed przystąpieniem do reformowania jakiejś dziedziny naszego życia i odkrywania na nowo Ameryki sprawdzić czy przypadkiem wcześniej ktoś już tej pracy nie wykonał i czy czasem nie trzeba zacząć tylko przestrzegać tego co już dawno postanowiono, a o czym wszyscy dokładnie zapomnieli. Upominam się tym o odrobinę szacunku dla działalności porządkującej nasze życie. Odnowa nie znaczy bowiem, że to samo robimy od nowa.

ZENON POROWATY

3

Sport

Tańczyć całym ciałem

W niedzielę oglądałam w programie 2, w kinie familijnym zabawny film „Piętaszek". Znana od lat historia angielskiego rozbitka, który na samotnej wyspie ratuje z opresji Murzyna, nazywa go Piętaszkiem i cywilizuje, została pokazana od drugiej strony. To Piętaszek próbuje nauczyć swojej filozofii życia Robinsona Cruzoe i... ponosi klęskę. Ale nie to mnie najbardziej zastanowiło. Jest tam taka scena, gdy Piętaszek prosi Robinsona Cruzoe, aby zatańczył. A gdy ten próbuje tańczyć jakiś wówczas modny w Anglii taniec — Piętaszek woła: — Tańcz panie całym ciałem, tańcz duchem!

Później był mecz hokeja na lodzie między Polską a Norwegią. Polacy wygrali 5 do 1. Wygrali też poprzedni mecz z Chińską Republiką Ludową 14 do 0. To bardzo wysoki wynik. Przed nimi mecz z NRD. Ważny mecz. Wszystkie mecze są ważne, bo jest szansa — jak mówią sami hokeiści — wygrania grupy B i awansowania do grupy A. Już to się wielekroć naszym hokeistom zdarzało. Tylko, że zaraz potem spadali z grupy A do grupy B. I wszystko zaczynało się od nowa.

Boję się trochę o ten trzeci mecz Polaków z NRD, właśnie dlatego, że jest trzeci. Otóż mistrzostwa świata rozgrywane są we włoskiej miejscowości Canazei, która leży na wysokości 1400 m nad poziomem morza. Nasi hokeiści przygotowywali się do tych mistrzostw na polskich równinach. Przy trzecim meczu może przyjść kryzys. Mogą ujawnić się skutki aklimatyzacji. Już tak w historii udziału naszej reprezentacji w mistrzostwach bywało. Na początku były piękne sukcesy, a później przychodził kryzys i było przykro. Czy się historia powtórzy, będziemy wiedzieli już w poniedziałek, ale ten tekst będzie już w druku i nic nie da się w nim zmienić. Zresztą dla moich rozważań nie jest to aż tak istotne.

Mamy teraz trochę sukcesów. Piłkarze wygrali mecz z Finlandią i Norwegią. Mecz Holendrów z Grekami w ramach eliminacji w grupie, w której i Polska gra, pokazał, że zwycięstwo jest w zasięgu naszych możliwości. Prognozy niby dobre, ale ciągle mam takie wrażenie, że nasi sportowcy „nie tańczą całym ciałem". Mówiąc inaczej nie są profesjonalistami.

Na szczęście spory o tym, czy sport u nas jest amatorski czy zawodowy mamy już za sobą. Ale teraz byłoby może celowe pospierać się na inny temat: co jest istotą amatorstwa, a co istotą profesjonalizmu? Zawodowcem nie jest bowiem ten, kto bierze pieniądze za to, co robi. To chyba jasne i oczywiste. Jeśli ktoś istotę zawodowstwa upatruje tylko w fakcie brania pieniędzy za pracę, to jest to nieporozumienie. Profesjonalizm kojarzy mi się raczej z doskonałym opanowaniem tego, co się robi. Amatorszczyzna natomiast jest udawaniem, sileniem się na profesjonalizm bez pełnych umiejętności. Amator zawsze znajdzie dziesiątki powodów, aby usprawiedliwić się, dlaczego nie osiągnął tego, co osiągnęli inni, dlaczego dał się pokonać, prześcignąć, dlaczego inni byli lepsi. A to sprzęt ma lichy, a to trenował nie tam, gdzie trzeba, a to trenerzy od niego zbyt wiele wymagali i go przetrenowali, a to jedno, a to trzecie. Amator może mieć nawet najlepszy sprzęt, jaki jest na świecie, ale pozostanie amatorem. Jego filozofia sportu jest amatorska.

Henryk Gruth — reprezentant Polski w hokeju na lodzie powiedział Wojciechowi Harendzie ze „Sztandaru Młodych" o zasadach obowiązujących w sporcie zawodowym:

— „Tam nie ma spotkań mniej i bardziej ważnych — każde trzeba grać na pełnych obrotach, gdyż inaczej manager może cofnąć fundusze. Każdy zawodnik ma podpisany kontrakt, nikogo nie interesuje, ile facet zarabia. Jego zadaniem jest zrobienie dla kibica dobrego widowiska, za które ci przecież zapłacili".

Francuscy grotołazi, gdy przyjechali do Zakopanego, aby wydobyć z V syfonu zwłoki jugosłowiańskiego grotołaza Aleksieja Petrjukicia, powiedzieli, że u nich miesięcznie zdarzają się co najmniej 2 wypadki w jaskiniach, ale zwłok nikt nie wydobywa. Skoro jednak Polacy ich wezwali, zapłacili, to oni wykonają zadanie, jakie im zlecono. I wykonali. Precyzyjnie posługując się takim sprzętem, jaki był do tego niezbędny. Polacy z uznaniem i zazdrością określili to jako najwyższy przejaw profesjonalizmu. Podziwiali do perfekcji doprowadzoną umiejętność Francuzów.

Nasi sportowcy, kiedy jadą występować w zagranicznych klubach szybko uczą się profesjonalizmu. Przestają liczyć na obiektywne trudności. Wiedzą, że powodzenie ich kontraktu zależy od ich kondycji, umiejętności, formy. Stają się profesjonalistami. W Polsce byli najlepszymi wśród dobrych amatorów. A może wreszcie skończymy z amatorszczyzną i nasi sportowcy też zaczną „tańczyć całym ciałem" wraz z duszą?

BOGDA MADEJ

Sodoma

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".

JACEK KRAKOWSKI

(7)

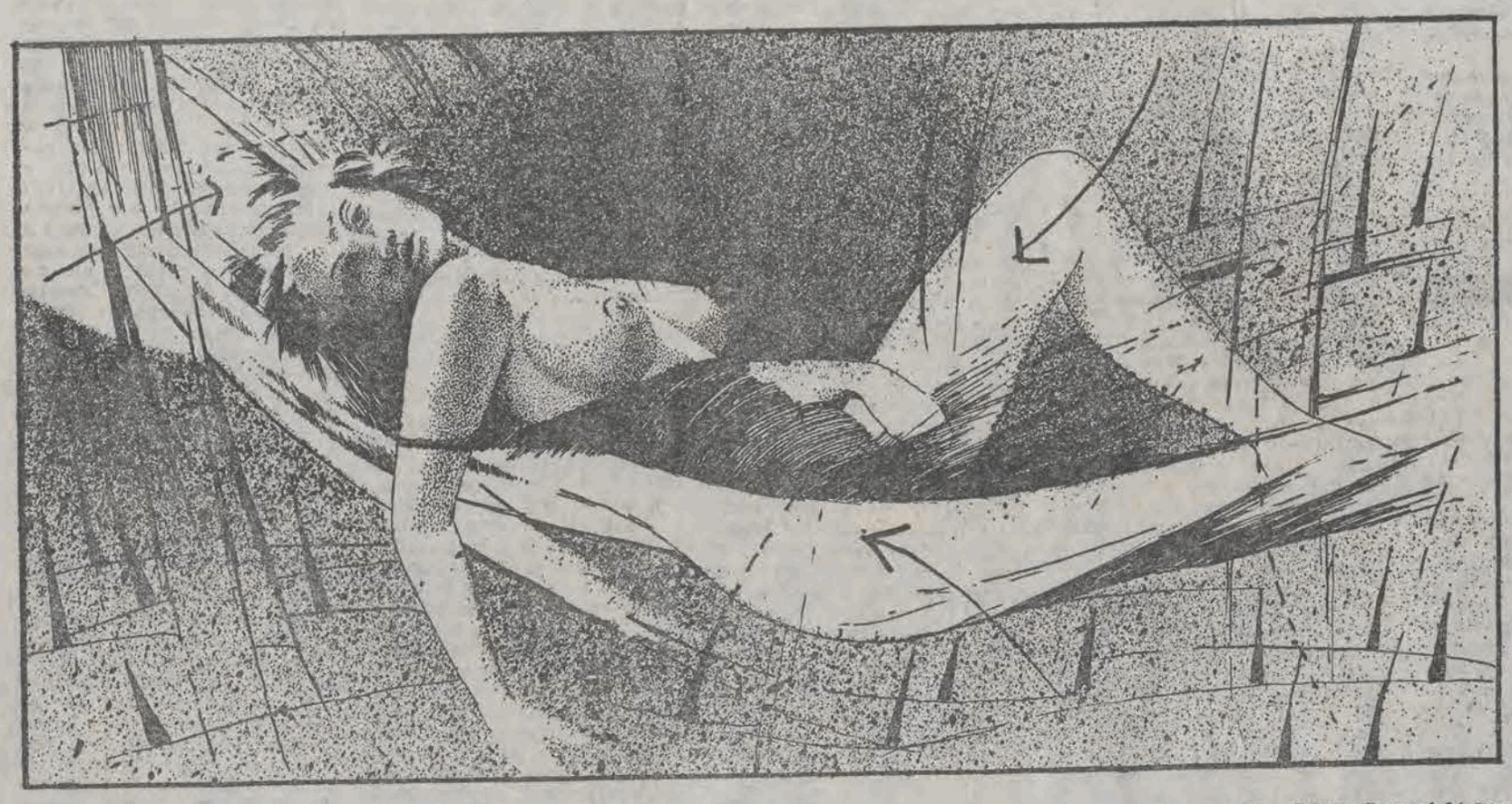

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Byliśmy na tym balu w charakterze wykidajłów, przerwał jej Laurenty, i zaręczam pani, że Hieronima tam nie było.

Wszystko jedno, rzekła Atanazja, mam chyba prawo dowolnie kształtować moje wspomnienia, a wspominam tylko to, o czym nie chcę zapomnieć.

Ale to nieprawda, wtrącił się Sylwester.

Przepraszam was, rzekł Lancelot, ale nie wypada przerywać kobiecie w takim stanie..

Nie szkodzi, powiedziała Atanazja, ziewając ze znużeniem. A cóż to jest prawda? Póki nie potraficie odpowiedzieć na to pytanie, nigdy nie dowiecie się, co nią nie jest. Jaki możecie mieć dowód na to, że coś było, jeżeli tego już nie ma? Tamte rzeczy są teraz, ale nikt nie wie, co się z nimi działo przedtem. Tamte myśli są tylko tamtymi myślami. Owszem, mogę przypuszczać, że miałam je już wcześniej — cholerna dedukcja, a może indukcja — ale to mnie do niczego nie zobowiązuje. Prawda jest taka na jaką wygląda, a wygląda tylko teraz. Mogę to już chyba teraz powiedzieć, że zasadzacie się na pochopnej tożsamości. Siedzicie na niej jak kura na zbuczym jaju. Tymczasem wylęgnie się tylko z niego smród i nic więcej. Te wszystkie prawdy, wolności, sprawiedliwości... To nie dla człowieka. Dociera jedynie do niego myśl na ten temat, która zapewne nie jest dla niego przeznaczona, a on usiłuje swoim zwyczajem r e a l i z o w a ć te pojęcia. I dziwi się, i dyskutuje!... Chwyta się różnych sztuczek, nie wiadomo właściwie dlaczego. Z nudów zapewne, z nudów.

Kochanie, nie mów tak dużo. Wiesz przecież, że to cię męczy, szepnął Lancelot, kładąc dłoń na jej czole.

Dobrze już, dobrze, zaraz skończę. I tak nie powiedziałam jeszcze najważniejszego.

Chciałem zauważyć, rzekł Laurenty, że zawsze robiła pani wrażenie rozsądnej realistki i nie mogę zrozumieć...

Człowieka przed śmiercią nachodzą różne dziwne myśli, westchnęła Atanazja, i nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, co mówi. Mimo to powinniście słuchać mnie uważnie i nie przerywać ciągle głupimi uwagami.

Nagle otworzyły się drzwi i ciężko dysząc wbiegły Xenia i Felixa.

Zapomniałyśmy podpasek, krzyknęła Xenia, a nigdy nie wiadomo co się może w podróży przydarzyć.

Powinny tu gdzieś być, powiedziała Felixa, szperając po szufladach.

Macie tu, rzekła Atanazja, wyciągając z kieszeni sukni owinięte w papier pakieciki. Tylko żebyście nie spóźniły się na mój pogrzeb.

Będziemy mamuśku, będziemy na pewno, krzyknęła Xenia.

Pędzimy już, pa, zawołała Felixa. Przesłała nam dłonią całusa i po chwili trzasnęły za nimi drzwi. Atanazja nawet nie drgnęła.

Atanazjo, szepnął Lancelot.

Może ona naprawdę umarła, spytał Laurenty.

Babskie histerie, odrzekł Lancelot, chodźcie do mojego gabinetu.

A co z nią, spytał Sylwester.

Nie wiem. Jest dorosła i niech sama za siebie decyduje.

Przeszliśmy do pokoju Lancelota, a on od razu wyjął z biurka wielką butlę wina i napełniając nim trzy kryształowe kieliszki, powiedział:

Teraz nareszcie możemy szczerze ze sobą porozmawiać.

O czym, spytał Laurenty.

O byle czym, ważne jest, żebyśmy szczerze ze sobą porozmawiali. Myślicie, że kogoś interesuje to, o czym będziemy ze sobą rozmawiać. Ludzie zajęci są swoimi sprawami i nikt nie ma czasu na wysłuchiwanie cudzych dykteryjek, choćby nie wiem jak ciekawych. Tak moi drodzy, ostatnio życie stało się nad wyraz uciążliwe i niebezpieczne. Nie możecie się więc dziwić, że nikt właściwie nie chce was słuchać. Cieszcie się, że w ogóle możecie jeszcze mówić, nawet jeśli mówicie do siebie. Być może, że wkrótce i to przestanie was interesować. Ale wracając do tematu: w sytuacji, w której się znajdujemy, możemy chyba pozwolić sobie, jak myślę, na pewną szczerość, a nawet wylewność. Mam nadzieję, że dojdzie wkrótce do poklepywania się po kolanach, wesołych śmiechów, kordialnych całusów z dubeltówki, a kto wie, może nawet do głaskania po rozporkach. Będziemy zapewne przy tym rozprawiać o życiu, o jego wyczynach i kalectwach, jego przyczynach i skutkach podając kwestie językiem swobodnym, a nawet wyuzdanym. Cóż, ta noc skłoni nas zapewne do jeszcze innych przedsięwzięć, ale na razie sza... Spróbujmy raczej ustalić, czego właściwie od siebie chcemy. To ważne, gdyż inaczej nigdy nie zrozumiemy na co nas nie stać.

Powinniśmy natychmiast udać się na poszukiwanie Xeni i Felixy, rzekł Laurenty. W przeciwnym razie nie zdążymy ich uratować.

Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. W końcu Sodoma jest takim miejscem, które dla wielu ludzi po prostu nie istnieje.

A jednak Hieronim wyraźnie zastrzegł, że bez twoich córek nie mamy po co wracać, zauważył Sylwester.

Myślał zapewne o swoich wnuczkach jako o krowach cielnych i stąd to nieporozumienie. Zresztą teraz wy jesteście przebrani w ich suknie. Nie zapominajcie także o uderzającym podobieństwie: Laurenty do złudzenia przypomina Xenię, a Sylwestra wprost nie można odróżnić od Felixy. Poza tym nikt nie wie o waszej zamianie oprócz mnie i Atanazji. A propos, czy Hieronim nie wspominał nic o jej powrocie?

Wiedzieliśmy, że cierpi, ale tak zręcznie wymigiwał się od wypowiedzenia głośno jej imienia, że postanowiliśmy nie zmuszać go do złożenia jednoznacznego oświadczenia w tej sprawie. Uważamy jednak, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zabierzemy ją ze sobą. W końcu była kiedyś jego kochanką, którą dotychczas wspomina z rozrzewnieniem. Szczególnie czule mówił o pewnych ekscesach podczas kąpieli w solance. Dotąd jeszcze smak soli budzi w nim nieodparte skojarzenia. Ale przede wszystkim zależało mu na uratowaniu pańskich córek.

Mówiąc między nami, to dziwne dziewczyny. Nie wiem, czy będzie miał z nich jakikolwiek pożytek. Śpią całe dnie, a nocami, przebrane za mężczyzn, wyruszają do miasta. Często wracają znienacka, pod byle pretekstem, chcąc mnie i Atanazję przyłapać na kopulacji, ale zaręczam wam, że jeszcze nigdy im się to nie udało. Atanazja wprost umiera z przerażenia, co się z nimi może stać, ale nie daje tego po sobie poznać. Postanowiliśmy niczego im nie zabraniać i konsekwentnie trzymamy się tej zasady.

Czy to znaczy, że nie wiesz, gdzie można by je znaleźć? W końcu chyba muszą gdzieś być, nawet gdyby przebywały tam tylko incognito. Chyba żeby oddaliły się z miasta...

Nie, nie, to wykluczone. Mają zbyt wiele do powiedzenia t u t a j i nie zdążyłyby w ciągu nocy opuścić miasta, nawet gdyby chciały. Z pierwszym lepszym patrolem policji wdałyby się od razu w nie kończące się spory na temat zagadki bytu.

Przecież zagadka bytu istnieje tylko dla nas, jakże więc można dyskutować na jej temat.

A jednak jest ona tym, co powoduje nasze zachowanie się na jej tle. O tym właśnie zachowaniu potrafią ględzić godzinami. Jak ktoś postąpił, co jedna zrobiłaby gdyby nie to, a druga co zrobi, jeśli coś innego, dlaczego tamten ktoś chciał inaczej... Sami rozumiecie: głęboka psychologia połączona z niezwykłą znajomością życia. Oczywiście, nikt tych bredni nie bierze sobie do serca. Ten kto zna życie jest życiem i nie musi się na ten temat wypowiadać. To tak jakby rzeka usprawiedliwiała się przed topielcem, że jest taka głęboka. Co do psychologii, moralności, socjologii etyki, estetyki i tym podobnych przemądrzałych określeń, są one zwyczajnymi wymysłami tych, którzy próbują innym narzucić sugestię możliwości realizacji czegoś więcej niż tego, co daje nam sama rzeczywistość. A ona, jak wiadomo, niczym takim się nie posługuje.

Dokąd więc wyruszają co noc Xenia i Felixa?

Trudno na to odpowiedzieć w sposób jednoznaczny. Wyruszają tam dokąd chcą, a my nie wnikamy w ich zachcianki. Jak mi kiedyś wyznała Xenia, zdają się całkowicie na los i nawet przypływ szczerości, który ją ogarnął, uważała za swego rodzaju „przypadek w konieczności". Felixa uważała natomiast, że to myśl kusi je pewnymi realizacjami, do których co prawda nie dorosły, ale które stwarzają im szanse „nieodpowiedzialnych prób", niezrozumiałych w zamierzeniach i być może niepotrzebnych, dzięki temu jednak świadczących o pewnym istniejącym wokół nas n a d m i a r z e, nie dla nas przeznaczonym do wykorzystania.

A jednak powinniśmy je odnaleźć, jakkolwiek by one teraz były. Hieronim ostrzegał nas, że nie możemy kierować się przekonaniami, lecz przywidzeniami. W ten sposób jaśniej zdamy sobie sprawę ze swych ograniczeń.

Nie zawsze warto posługiwać się argumentami, powiedział Lancelot, napełniając kieliszki resztką wina. Przeważnie na nic się one nie zdają, zabierając tylko cenny czas tym, którzy za wszelką cenę próbują dowiedzieć się czegoś lub zrozumieć coś więcej. Od czasu do czasu wydaje im się, że chwytają już jakąś zasadę, lecz po chwili tracą znowu grunt pod nogami, nie wiedząc do czego prowadzi ta rozmowa. Moglibyśmy sobie raczej uświadomić do czego prowadzą ich bezsensowne pijackie paplaniny. To smutne, ale wydaje mi się, że są jeszcze tacy, którzy ciągle na coś liczą, obojętne co by to nie było: paczka zapałek znaleziona na ulicy, niespodziewany spadek, czy też nowy światopogląd, który zaakceptują z całą rozkoszą, wyłącznie z braku jakiegokolwiek pojęcia o czymkolwiek. Wykażą przy tym duży spryt, co skłoni innych do podziwu. Przeczytają książkę i powiedzą, że się nią nie znudzili, gdy tymczasem wszystkie książki są nudne do niemożliwości, gdyż są to tylko słowa i zdania, które ktoś sobie napisał, dłubiąc przy tym w nosie. A jednak — stwierdzą ci, którzy poszukują — coś się w tym kryje. Niewątpliwie, lecz nikt nie wie co, bowiem nikt nie jest w stanie dostrzec tego, co zostało ukryte.

Lancelocie, usłyszeliśmy nagle rozgrymaszony głos Atanazji, Lancelocie, świeca zgasła, a ja tak boję się ciemności.

Przepraszam was na chwilę, zaraz wracam, rzekł Lancelot i wyszedł z gabinetu.

Idziemy, szepnąłem do Laurentego.

Idziemy, szepnąłem do Sylwestra.

Narzuciliśmy na siebie obszerną, czarną pelerynę, która wisiała na haku wbitym w drzwi i wymknęliśmy się z domu.

SODOMA II

Wokół nas plenił się splątany gąszcz zdziczałych ogrodów. Krzewy tarniny, głogów i dzikich malin sczepione z konarami grusz i jabłoni oplatały zwoje winorośli, opadające kłębami pędów w gęstwinę ostów i łopianów, wybujałych wysoko ponad kożuch trawy. Zieleń wisiała w powietrzu wydzielając ze swego przerośniętego pleśniami wnętrza zapach stęchlizny, fetor ciał drobnych gryzoni rozkładających się w ostrokrzewych pułapkach, mdły aromat białych ślimaków, spływających potokami lepkiej śliny z pokurczonych liści, dotkniętych liszajami zarazy. Przedzieraliśmy się przez szeleszczącą gęstwinę z trudem odnajdując zarosłą chaszczami ścieżkę. Czarny płaszcz, którym otuleni wyszliśmy z domu Questów rozpadł się, zwisając zbutwiałymi strzępami z gałęzi rozrośniętych krzewów agrestu, splątanych z pnącymi różami, na których liściach drżały rojowiska mszyc. Brnęliśmy coraz dalej w głąb ogrodu, rozdeptując nieruchome ropuchy i padalce, leniwie przesuwające się wśród traw. Nad naszymi głowami zwisały ogromne, na wpół zgniłe jabłka przeżarte przez roje białych larw. Zdejmowaliśmy z twarzy lepkie sieci, pełne much i motyli, a ociężałe włochatonogie pająki osuwały się na niciach z naszych ramion. Wilgotny upał spływał potokami lepkiego potu, zaklejał usta i nosy błonami więdnących liści, w których zakamarkach czaiło się ruchliwe robactwo. Wreszcie wyrwaliśmy się z zarośli, wychodząc na polanę pokrytą sięgającą do pasa trawą. Na hamaku, rozpiętym między dwiema spróchniałymi lipami, leżała otyła kobieta, opierając ramię na czerwonej poduszce, obszytej frędzlami.

Hej, hej moi mili, zawołała, kiwając na nas ręką, chodźcie bliżej! Co, nie poznajecie mnie?

Jej tłustą, naznaczoną brodawkami twarz oblewały plamy silnego makijażu. Tusz sączył się z rzęs czarnymi strugami na uróżowane policzki, usta rozpływały się w amarantowej czerwieni, a ciemny puder z szyi wraz z potem rozpełzł się po dekolcie.

Nie poznajecie mnie, spytała, kiedy podeszliśmy bliżej. To ja, Aurora Borealis. Ostatnio poprawiłam się trochę, ale niestety, muszę znowu schudnąć. Dlatego całymi dniami kołyszę się na hamaku, czego nie cierpię. Robi mi się niedobrze i dzięki temu cały dzień nie mogę wprost patrzeć na jedzenie. Właśnie przed chwilą wymiotowałam, dodała, ocierając usta zaplamioną serwetą.

Jej różowa, mocno wydekoltowana suknia z głębokim rozcięciem z boku także była powalana resztkami jedzenia. Aurora wyprostowała tłustą nogę i przypatrując się zielono wymalowanym paznokciom u stopy, przestała zwracać na nas uwagę.

Szukamy jakiegoś mieszkania, rzekł Lancelot. Tylko na jeden dzień.

To się cudownie składa, odrzekła Aurora, mam tutaj dla was coś odpowiedniego. Przytulne mieszkanko, ciepła woda rano i wieczorem, śniadanie do łóżeczka. Tam — wskazała ręką w kierunku niebywale rozrośniętych krzewów jaśminu, półkoliście osłaniających polanę — za tymi krzaczkami. Po czym wychyliwszy się z hamaka, mrugnęła do nas kilkakrotnie, mówiąc: O zapłacie porozmawiamy wieczorem.

Jaśmin skrywał pordzewiałe pręty starego płotu i na wpół otwartą furtę, zaplątaną w gałęzie. Przesunęliśmy się przez nią, wychodząc na zarośnięty trawą podjazd przed zrujnowanym domem. Była to właściwie sterta byle jak skleconych przybudówek podpartych filarami, połączonych schodami i balkonami, które piętrzyły się bezładnie rozrastając się w górę i na boki w kształt przypominający piramidę. Przewrócony pień spróchniałego dębu zwalił część drewnianych komórek, wdzierając się gałęziami do środka tego domu. Widzieliśmy mieszkania pozbawione ścian, wewnątrz których krzątali się ludzie zajęci swoimi codziennymi obowiązkami. Starsza, przygarbiona kobieta ścierała kurze z mebli, mężczyzna naprawiał okno, chłopiec odrabiał lekcje... W innych mieszkaniach, których ściany zwaliło padające drzewo, ludzie także zajmowali się wyłącznie swoim życiem, nie biorąc pod uwagę, że mogą być przez kogoś obserwowani: ktoś podcierał się w ubikacji, jakaś młoda para kopulowała na podłodze, młody człowiek onanizował się przed lustrem... Podeszliśmy do drzwi wejściowych zbitych byle jak z nieheblowanych desek, na których czarną farbą widniał niedbale wymalowany napis „Willa Speranza". Z boku uchyliło się małe okienko i jakby znajomy głos zawołał:

Witam, witam, proszę, wejdźcie do środka.

Drzwi po chwili uchyliły się z piskiem i ujrzeliśmy twarz obrośniętą gęstą, siwą brodą i łysą głowę błyszczącą w promieniach zachodzącego słońca.

To ja, Hieronim, nie poznajecie mnie. Nie mówiłem wam, że mam dom w mieście, bo wiecie jak to jest... Ludzie zaraz dowiedzą się i rozplotkują, że leżę na milionach. A sami przecież widzicie, że to nic szczególnego. Owszem, wynajmuję kilka pokoi, ale szczerze mówiąc, to tysiąc dopłacam miesięcznie do tego interesu. Ale co zrobić, gdy człowiek nie lubi samotności.

Mówiłeś, że twoja noga tu więcej nie postanie, rzekł Laurenty.

Tak się tylko mówi, odparł Hieronim, zapraszając nas do środka. Takie gadanie nie ma żadnej wartości, powinniście już dawno o tym wiedzieć. Ale nie martwcie się, dla was zawsze znajdzie się wolny pokój. A jak wam się podoba samo miasto? Urocze, prawda....

Hieronim prowadził nas ciemnym, wilgotnym korytarzem, niosąc przed sobą lampę naftową.

Czemu ci ludzie tutaj mieszkają, spytał Sylwester, skoro w centrum miasta stoją puste domy. Sami widzieliśmy: piękne mieszkania, ogromne okna...

To powietrze, odrzekł Hieronim, jest tutaj wprost nadzwyczajne. Uwaga, schodek! Co dzień dostaję tysiące listów, w których oferuje mi się majątki, błagając jednocześnie, abym odstąpił choć kąt w moim pensjonacie. Cóż moi drodzy, moda i snobizm. Życzycie sobie pokoju na strychu czy w piwnicy?

C.D.N.